# ZOFIA GRZESIAK

## ŻYCIE • WSPOMNIENIA • TWÓRCZOŚĆ

SCRIPTORES

SCRIPTORES

OŚRODEK BRAMA GRODZKA TEATR NN

NR 49

OŚRODEK BRAMA GRODZKA

TEATR NN .PL

ISSN 1644-9444 NR INDEKSU 333 530

NR 49 (2020)

**Wydawca:**
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”
ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin
www.teatrnn.pl
teatrnn@tnn.lublin.pl

**49. numer „Scriptores” przygotował zespół w składzie:**

**Pomysłodawca:** Tomasz Pietrasiewicz

**Redaktor prowadząca:** Agnieszka Wiśniewska

**Redakcja:** Maciej Tuora, Monika Adamczyk-Garbowska

**Współpraca:** Hanna Abramowicz, Batosz Gajdzik, Volodymyr Dyshlevuk, Jacek Jeremicz

**Skład:** Piotr Brania

**Druk i oprawa:** Drukarnia Akapit

**ISSN:** 1644-9444

Na okładce wykorzystano fragment mapy:
Specjalna mapa kolejowa Polski z wyszczególnieniem wszystkich linij kolejowych szerokotorowych, dwutorowych, jednotorowych oraz wszystkich bez wyjątku stacyj, Warszawa ok. 1921, wyd. Fr. Karpowicz (Zakł. Kartogr. W. Główczewski), CBGiOŚ. IGiPZ PAN, sygn. D.3932, (rcin.org.pl).

Copyright © Wszelkie prawa zastrzeżone dla Ośrodek Brama Grodzka - Teatr NN
Copyright © Wanda Lotter

# Zofia Grzesiak
# Życie • Wspomnienia • Twórczość

# Spis treści


Od redakcji 5
Biogram 7
Wanda Lotter, *Moje wojenne wspomnienia o Mamie* 15
Monika Adamczyk-Garbowska, *Zofia Grzesiak – In Memoriam* 25
Listy Zofii Grzesiak do Moniki Adamczyk-Garbowskiej 29
Wybór prozy 39
*Stan małżeński* 40
*Fańcie* 45
*Sześć córek* 48
*Ten umarł, ta zwariowała, tamtego zabili w więzieniu* 56
*Pajka córka Pajki* 68
*W leśnej ziemlance* 71
*Wyspa nad Horyniem* 80
Słowniczek 107
Archiwum Zofii Grzesiak 109
Bibliografia 112


# Od redakcji

Zofia Grzesiak, pierwotnie Nechume Szwarcblat, urodziła się 1 września 1914 r. w Kryczylsku, skąd ciężkie i długie losy wojenne przywiodły ją ostatecznie wraz z mężem i córką do Lublina. Przez większość życia pisała wspomnienia, powieści i opowiadania. W swojej twórczości przywołuje wydobywane stale z pamięci obrazy przedwojennych sztetli, opisując żydowską, ukraińską oraz polską kulturę lat dzieciństwa i młodości, ale zawarła w niej również obrazy Zagłady. Pomimo że pisała w języku polskim jej twórczość przepełniona jest jidyszyzmami i ukrainizmami, tak jak jej rodzinna wielojęzyczna miejscowość.

Tom ten ma na celu zaprezentowanie biografii pisarki i jej twórczości mocno osadzonej w konkretnych realiach i wspomnieniach, nierzadko autobiograficznej, i pod wieloma względami unikalnej. Poznajemy ją m.in. ze wspomnień córki, Wandy Lotter, i zaprzyjaźnionej z Zofią Grzesiak profesor Moniki Adamczyk-Garbowskiej, która pomagała w wydawaniu, pracach redakcyjnych oraz popularyzacji jej utworów i użyczyła nam listy otrzymane od pani Zofii.

Wybrane spośród ogromnego archiwum opowiadania oraz niepublikowany wcześniej fragment powieści *Wyspa nad Horyniem* dają wyobrażenie o różnorodności i bogactwie pisarstwa Zofii Grzesiak. Znajdujący się na końcu tomu słowniczek powinien pomóc w zrozumieniu, a zarazem docenieniu stylu oraz języka Autorki, a zawarte w tomie informacje o pozostawionym przez nią archiwum mogą rozbudzić ciekawość badaczy, którzy w przyszłości chcieliby podjąć temat jej życia i twórczości.

Oddawany do rąk Czytelników numer „Scriptores" to kolejna z naszych monografii opowiadających – niekiedy zapomniane – historie literackiego Lublina. Wcześniej ukazały się m.in. tomy dotyczące Józefa Czechowicza, Anny Langfus oraz Julii Hartwig.


Publikacja ta nie powstałaby, gdyby nie pomoc i cierpliwość wielu osób zaangażowanych w jej przygotowanie. Szczególne podziękowania należą się dyrektorowi Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN" Tomaszowi Pietrasiewiczowi, za dostrzeżenie twórczości Zofii Grzesiak i pomoc w wydaniu tego numeru „Scriptores" oraz pani Wandzie Lotter, córce Autorki, za współpracę, czasochłonną redakcję tekstów oraz udostępnienie opowieści swojej Mamy i pozostawionego przez nią archiwum.

## Zofia Grzesiak

**Pierwotnie Nechume Szwarcblat (ur. 1 września 1914 w Kryczylsku – zm. 1 sierpnia 2004 w Lublinie) – pisarka polsko-żydowska, autorka powieści i opowiadań opisujących życie w przedwojennych sztetlach oraz okres Zagłady. Powstała w języku polskim twórczość Zofii Grzesiak charakteryzuje się silnym związkiem z językiem jidysz, dzięki czemu ujawnia ona swoiste cechy dwujęzyczności. Nechume Szwarcblat ocalała z Zagłady dzięki pomocy Tadeusza Grzesiaka, który po wojnie został jej mężem.**

Nechume Szwarcblat wychowywała się w biednej rodzinie chasydzkiej Mortha Wolfa i Rejzełe z domu Gutman; miała jedną siostrę Cywię. Jej rodzina zajmowała się handlem, zaś dziadek był kantorem w miejscowej synagodze. W ich domu posługiwano się głównie językiem jidysz. Nechume ukończyła jedynie kilka klas chederu, żydowskiej szkoły elementarnej.

Przed wojną Nechume mieszkała we wsi Kryczylsk, tu wydano ją za mąż i 9 września 1939 roku urodziła córkę, której nadano imiona Oksana Krajna.

Po wybuchu wojny i bombardowaniu wsi cała jej najbliższa rodzina przebywała w getcie w Sarnach, gdzie wszyscy zostali zamordowani. Przed śmiercią byli zmuszeni do wykopania własnych grobów.

Nechume Szwarcblat i jej córka zostały uratowane przez Tadeusza Grzesiaka, Polaka pochodzącego z Lubelszczyzny, który zdołał uzyskać dla nich polskie dokumenty i zobowiązał się do opieki nad nimi.

Tadeusz znał Nechume z sąsiedztwa. Ponieważ był komunistą, został zmuszony do ucieczki z Kryczylska. Przed wyjazdem zapytał Nechume Szwarcblat, czy ona wraz z córką nie chciałaby do niego dołączyć. Po latach tak wspominał swoją decyzję:

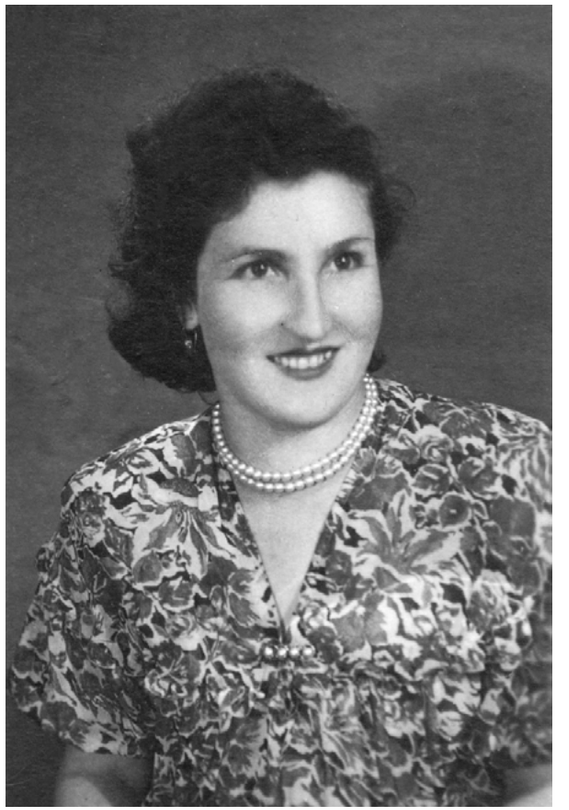

Zofia Grzesiak ok. 1940 r. Archiwum Wandy Lotter.

„Ponieważ w latach 1933–1935 byłem więziony za działalność komunistyczną, zdawałem sobie sprawę, że gdy przyjdą Niemcy, to ukraińscy nacjonaliści wydadzą mnie i bez

Zofia i Tadeusz Grzesiakowie tuż po wojnie w Poznaniu. Archiwum Wandy Lotter.





sądu zostanę rozstrzelany. Postanowiłem zmienić miejsce zamieszkania. Byłem kowalem i to dawało szansę przeżycia, chociaż samemu byłoby mi łatwiej niż z rodziną i obciążeniami narodowościowymi Nechume i jej półtorarocznego dziecka. Uważałem jednak, że jako człowiek zwalczający antysemityzm, mam obowiązek uratować przynajmniej dwoje zagrożonych ludzi".

Aby ukryć swoje żydowskie pochodzenie, Nechume Szwarcblat posługiwała się polskim świadectwem maturalnym, z którego przyjęła dla siebie imię Zofia, natomiast od swojego opiekuna Tadeusza nazwisko Grzesiak. Tadeusz, Zofia i jej córka podawali się za polską rodzinę. Tadeusz Grzesiak stał się dla dziewczynki przybranym ojcem.

W lutym 1943 roku w ich domu na Wołyniu zostali napadnięci przez ukraińskich nacjonalistów, realizujących program czystek etnicznych wobec ludności polskiej. W czasie napaści Tadeusz Grzesiak został postrzelony w prawą rękę i tylko cudem udało mu się zbiec przed bandytami. Bojówkarze oszczędzili kobietę i jej córkę, ostrzegając przed kolejnym napadem. Po powrocie Tadeusza cała trójka uciekła ze wsi, skazując się na

Tadeusz Grzesiak. Fotografia z legitymacji pracowniczej. Archiwum Wandy Lotter.

Zofia Grzesiak na spotkaniu w bibliotece z Arnoldem Słuckim, 1 poł. lat 60., autor nieznany.

Zofia i Tadeusz Grzesiakowie w czasie wyprawy w Tatry, lata 50., autor nieznany.

długą tułaczkę i częste zmiany miejsca zamieszkania.

W maju 1943 roku rodzina Grzesiaków została zatrzymana podczas niemieckiej łapanki w Sarnach i trafiła do obozu pracy w Leopoldsdorf pod Wiedniem.

Zofia Grzesiak wraz z mężem dostała pracę w fabryce. Była jednak zbyt słaba fizycznie, dlatego została przeniesiona do innej pracy jako sprzątaczka. Wraz z córką mieszkała w baraku dzielonym z pięcioma rodzinami i trzynaściorgiem dzieci. Przez cały czas ukrywała swoją żydowską tożsamość.

Kiedy front rosyjski zbliżał się do Austrii, w obozie nieznacznie poprawiły się warunki życia: Tadeusz Grzesiak był w stanie dorobić, wyrabiając i sprzedając papierosy. Zofia Grzesiak, dzięki znajomości języka jidysz, podobnego do niemieckiego, była zaś w stanie porozumieć się z lokalną ludnością.

W 1945 roku, po przejściu Armii Czerwonej, rodzina Grzesiaków wróciła bydlęcymi wagonami do Polski. Zatrzymali się w Jastkowie u rodziny męża. Pozostawiając dziecko pod opieką ciotki Tadeusza, udali się w podróż w poszukiwaniu stałego miejsca zamieszkania. Tadeusz Grzesiak chciał, aby wyjechali do Gdańska, jednak osłabiona doświadczeniami wojennymi Zofia nie była gotowa na tak długą podróż. Już razem z córką osiedlili się w wyludnionej Pile (niem. Schneidemuehl) [byli szesnastą rodziną, która zamieszkała na tych terenach], gdzie wzięli ślub, a Oksana Krajna została ochrzczona, otrzymując imię Wanda. Tadeusz Grzesiak zajmował się pracami rzemieślniczymi,

Zofia i Tadeusz Grzesiakowie wraz z córką Wandą na weselu Moniki Adamczyk i Krzysztofa Garbowskiego, 19 VII 1986. Archiwum Moniki Adamczyk-Garbowskiej.

Zofia i Tadeusz Grzesiakowie na swojej działce w okolicach Sławinka. Archiwum Wandy Lotter.

po czym otworzył mały, lecz szybko rozrastający się warsztat i pracował w nim, zdobywając doświadczenie jako mechanik. Szkolił w nim szesnastoletniego syna swojej ciotki. Niedługo potem otworzył również olejarnię, która wraz z warsztatem została wkrótce upaństwowiona.

W 1952 roku, ze względu na utratę własności firm oraz przyszłość córki, Grzesiakowie przenieśli się do Lublina, aby tam zapewnić Wandzie lepszą edukację.

Tadeusz Grzesiak uzyskał stałą pracę w Fabryce Samochodów Ciężarowych, dzięki czemu otrzymał mieszkanie. Zofia Grzesiak nie pracowała zarobkowo. Na co dzień zajmowała się domem, a w wolnych chwilach pisała powieści, opowiadania i prowa-

Zofia Grzesiak na swojej działce w okolicach Sławinka. Archiwum Wandy Lotter.

dziła dziennik. Nie wiadomo dokładnie, kiedy zaczęła je tworzyć.

Wanda po zdaniu matury wyszła za mąż za Juliusza Lottera. Ukończyła szkołę położnych i przez parę lat pracowała w swoim zawodzie. Zachęcona przez pochodzącego z Krakowa męża podjęła następnie studia w tamtejszej Wyższej Szkole Ekonomicznej (obecnie Uniwersytet Ekonomiczny), które ukończyła w 1970 r.

Sytuacja polityczna roku 1968 (protesty studenckie i nagonka antysemicka) nie odbiła się na losach rodziny. Ani Tadeusz, ani Zofia Grzesiakowie nie pracowali na wysokich stanowiskach. W następnych latach Wanda Lotter – coraz bardziej świadoma pochodzenia swojej rodziny – starała się nawiązać kontakt ze środowiskami żydowskimi. Pierwszą pomocną osobą okazała się Klara Szyc, żona słynnego parasolnika, który miał swój zakład przy ulicy Lubartowskiej. Później uczęszczała na spotkania w Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Żydów, mieszczącym się przy Krakowskim Przedmieściu w Lublinie.

W 1983 roku Zofia Grzesiak została jedną z bohaterek zamieszczonego w kwietniowym numerze „Więzi" reportażu Małgorzaty Niezabitowskiej, poświęconego lubelskiej społeczności Żydów ocalałych z Zagłady (zob. bibliografia). Obok reportażu zamieszczono także jej opowiadanie *Stan małżeński*. Dzięki tej publikacji twórczość Zofii Grzesiak oraz historia jej rodziny zaczęły wzbudzać coraz większe zainteresowanie.

Państwo Grzesiakowie zaprzyjaźnili się z Moniką Adamczyk i Krzysztofem Garbowskim. Pierwsze zetknięcie Moniki Adamczyk z twórczością Zofii Grzesiak miało miejsce poprzez publikację Małgorzaty Niezabitowskiej, zaś pierwsze osobiste spotkanie jesienią 1985 r. Krzysztof Garbowski, przyszły mąż Moniki Adamczyk, zaprowadził ją do państwa Grzesiaków. On sam z kolei dowiedział się o Zofii Grzesiak na prywatnym wieczorze autorskim u doktor Anny Żuk. Monika Adamczyk, pracująca wtedy dla wychodzącego w Lublinie kwartalnika literackiego „Akcent", z którym w dalszym ciągu jest związana, zaczęła czynić starania, żeby pomóc pani Zofii Grzesiak opublikować w nim fragmenty





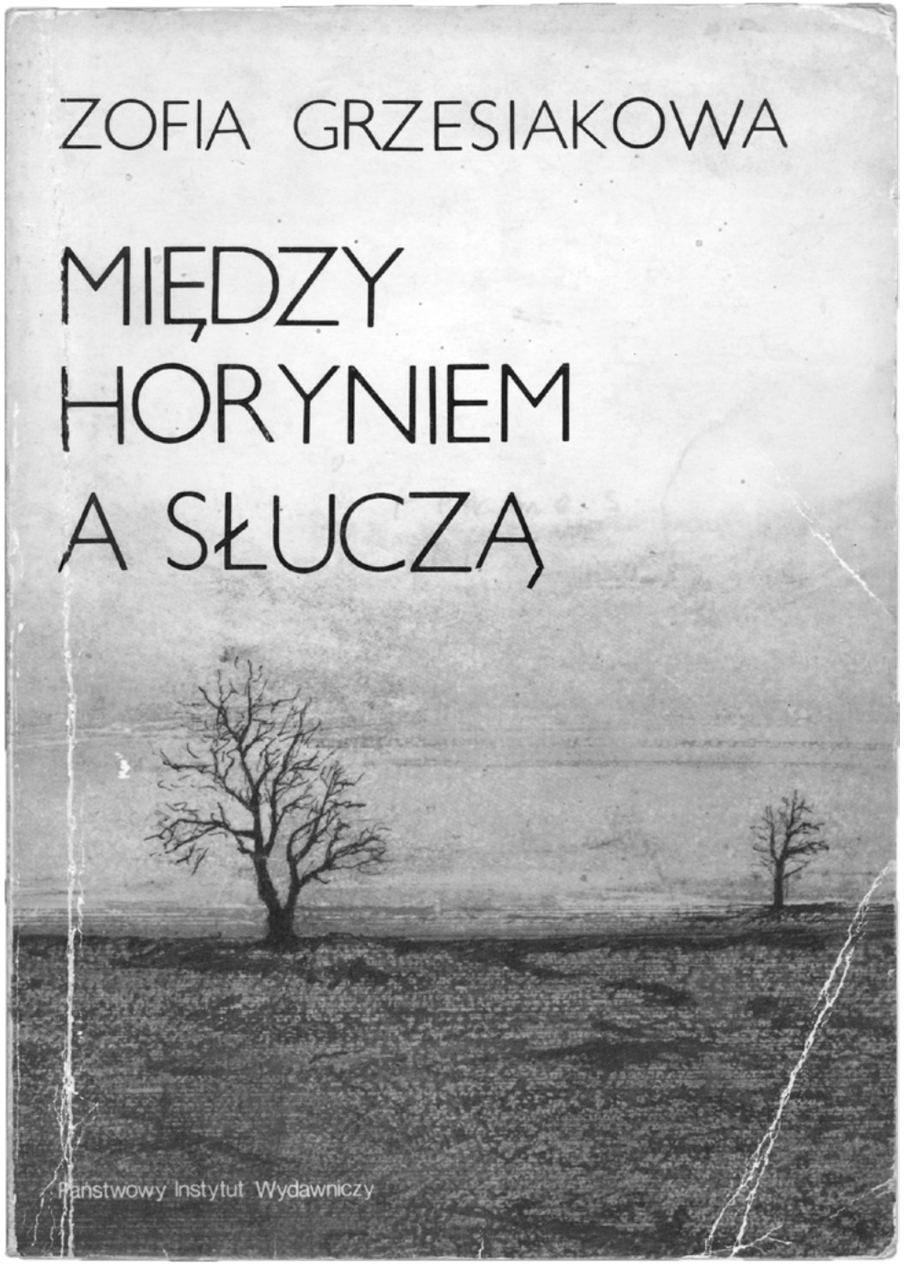

powieści czy opowiadania. Pomagała także w przygotowaniu do wydania pierwszej wersji autobiograficznej powieści Zofii Grzesiak *Między Horyniem a Słuczą*. Cały czas utrzymywały bardzo bliskie kontakty osobiste i zawodowe.

Dzięki staraniom Moniki i Krzysztofa Garbowskich udało się wprowadzić prozę Zofii Grzesiak w obieg angielski. Przekład jej opowiadania *Stan małżeński* ukazał się w kanadyjsko-amerykańskim piśmie „Kfari" w 1990 r. Kiedy Monika Adamczyk-Garbowska pod koniec lat dziewięćdziesiątych przygotowywała wraz z profesorem Antonym Polonskym antologię poświęconą powojennym pisarzom polsko-żydowskim [*Contemporary Jewish Writing in Poland: An Anthology*, University of Nebraska Press, 2001] zamieszczone zostało w niej także to opowiadanie, uważane obecnie za jeden z najlepszych utworów pisarki.

Osiemnastego lipca 1985 roku Tadeusz Grzesiak został odznaczony medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata" za ukrywanie swojej żony i przybranej córki.

W 1992 roku, nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, ukazała się (jak dotąd jedyna wydana) powieść Zofii Grzesiak *Między Horyniem a Słuczą*.

Tadeusz Grzesiak zmarł w 1998 roku. Zofia Grzesiak odeszła sześć lat później. Została pochowana obok męża na cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie. Pozostawiła po sobie ogromne archiwum maszynopisów i rękopisów, obejmujące wydane utwory oraz nigdy niepublikowane powieści, opowiadania i dzienniki.

Opracowali:
Bartosz Gajdzik i Maciej Tuora





# Moje wojenne wspomnienia o Mamie

Wanda Lotter

Zastanawiam się, jak zacząć wojenne wspomnienia. Jak z ogromu wielu, wspólnie z Matką, przeżytych lat wybrać to, co istotne, najważniejsze i najciekawsze i wszystko to zmieścić na kilku stronach niniejszego opracowania. W jaki sposób opisać ten wrogi czas między narodzinami i śmiercią milionów istnień ludzkich.

Jak opisać życie wśród ludzi dobrych i okrutnych, nieobliczalnych i zwyczajnych, dumnych, ufnych i przerażonych, jak cały naród, gdy w każdym przeżytym dniu kryły się na zmianę całe kosmosy: wiary, nadziei, emocji, wielkiego bólu, pustki i znów na nowo rodzącej się nadziei.

Na szczęście powojenne pokolenie nie zna już gorzkiego smaku niedostatku, zniewolenia, czy bezwzględnej walki o przetrwanie, o życie, wreszcie o godność i wolność. Na szczęście, nasze przeżycia, to tylko odległa, najpewniej nieciekawa już historia ludzi mojego pokolenia i moich bliskich, tych dzisiaj szarych, zwykłych obywateli...

Nie wolno jednak zapominać o tym, co było, przeciwnie, trzeba pamiętać, że nic w życiu nie jest dane raz na zawsze, ani stabilizacja życiowa, ani dobrobyt, a przede wszystkim cudowna młodość, która tak szybko przemija...

Dlatego warto czasami poznać historię tych ludzi, którzy osobiście doświadczyli całego ogromu bestialstwa i dramatów ludzkich. Zresztą w minionym okresie każdy, bez względu na narodowość stał się w jakimś sensie ofiarą tamtych lat; że przypomnę, w wielkim skrócie: warstwy kulturotwórcze naszego społeczeństwa były przez znane reżimy systematycznie niszczone, hitlerowcy wymordowali Żydów, komunizm zlikwidował ziemiaństwo, a inteligencję wykrwawiły kolejne fale emigracji...

Moje wspomnienia o Matce to Jej historia, zwłaszcza wojenna, ponieważ wojna pozostawiła w naszym życiu niezatartą i niegojącą się ranę. Ja w latach okupacji byłam tylko mało świadomym dzieckiem, które nie rozumiało ogromu tragedii dorosłych i było na swój dziecięcy sposób w miarę szczęśliwe... oczywiście też tylko do czasu!

Tymczasem Zofia – moja Mama – w ciągu całego swego życia doświadczyła więcej zła, niż była w stanie udźwignąć. Ale mimo wszystko potrafiła zachować godność osobistą i czyste sumienie, tylko bardzo często mówiła... „to cholerne zmęczenie", to „bolesne umordowanie się całokształtem"...; na ogół jednak skrzętnie ukrywała swoje troski i dolegliwości przed najbliższymi i otoczeniem.

Fiodor Dostojewski – mówiąc o znaczeniu wspomnień w życiu – napisał między innymi: „Nic nie jest tak szlachetne, mocne, zbawienne i przydatne w życiu jak dobre wspomnienie. Kto zgromadził wiele takich wspomnień z dzieciństwa, zaopatrzył się na całe życie". Myślę, że w przypadku mojej Mamy ta zasada nie mogła się sprawdzić, a jednak...? Jeżeli po bestialskim wymordowaniu całej Jej rodziny była jeszcze w stanie – z maleńkim dzieckiem na ręku, uciekając z miejsca na miejsce jak ścigany zbrodniarz – przetrwać tę nieludzką gehennę i zachować niewyczerpane pokłady ludzkiej god-

ności, to naprawdę była Wielka – wielkością Herkulesa.

Szkoda tylko, że do końca swoich pracowitych dni, po tym ogromie dramatycznych przejść już nigdy nie potrafiła w swej pamięci przywoływać przyjemnych wspomnień, wesołych momentów, czy radosnych wydarzeń z przeszłości. Wokół Niej zapadła swoista ciemność i ten strach, który pozostał w niej do końca, zamknięty od wewnątrz, przyciskał Ją do ziemi, pogłębiał rozpacz i poczucie bezsilności.

Pamiętam, że ten ustawiczny lęk Ją degradował, niszczył, paraliżował i porażał. Tak naprawdę dla mojej Matki wojna nie skończyła się nigdy. Na nic były wszelkie aplikowane jej „medyczno-psychiczne wsparcia". Za każdym razem zdradzały ją oczy, patrzące gdzieś w bok lub nisko nad ziemią. Bała się, że ktoś zauważy jej bezgraniczny lęk. Czuła, że to właśnie w Jej oczach kondensacja strachu jest największa i najbardziej wyrazista.

O sobie i o swoim ciepłym, cichym domu rodzinnym mówiła niewiele. Wiem tylko, że Jej dom był głęboko religijny. Zofia – Nechume żyła w biedzie, ale w otoczeniu serdecznej miłości rodzicielskiej. W Jej domu rodzinnym mówiono w kilku językach: po żydowsku, po polsku, po ukraińsku i po rosyjsku. Rodzina była liczna, rozsiana na całym ówczesnym Polesiu i Wołyniu. Mama była najmłodsza z trojga rodzeństwa. Dom podlegał wszelkim surowym, twardym obyczajom i tradycji żydowskiej, chociaż niewątpliwie służącym zdrowiu. Kuchnię babcia prowadziła ogromnie rygorystycznie. Do mlecznych i mięsnych potraw były osobne naczynia, także miednice i ręczniki. Wszystko musiało być koszerne. W domu pieczono chały, stół w wieczór szabasowy musiał być nakryty białym obrusem. Przy zapalonych przez moją babkę świecach jedzono, modlono się i śpiewano.

Ale mimo tego pozornie spokojnego, ciepłego nastroju, to prawdziwe, ówczesne życie tak naprawdę sielanką nigdy nie było.

Jeszcze na długo przed wojną zaczęły zmieniać się nastroje wśród mieszkańców, zwłaszcza w większych miastach. Na wsiach sytuacja była znacznie spokojniejsza, ponieważ tu wiadomości docierały z pewnym opóźnieniem.

W latach 30. XX wieku, do głosu zaczęły dochodzić: powszechny brak tolerancji, arogancja, pogarda, upokarzanie słabszych mniejszości narodowych. Już wówczas w każdym żydowskim domu zamieszkał strach, o którym wprawdzie nigdy nie rozmawiano głośno, ale który wywoływał wśród dorosłych obawy i podskórne lęki. Notowano coraz częstsze niepokojące przykłady agresji i groźne przypadki brutalizacji życia między sąsiadami.

Początkowo wszystkie te wiadomości przemycano po domach drogą okrężną, reglamentując brutalne przykłady po kropelce jak truciznę. Przede wszystkim bano się skrajnie nacjonalistycznego motłochu rozmaitych narodowości. A potem nastała długa noc wojenna. Żydzi zostali skazani na całkowitą i bezwarunkową zagładę. Cała Mamy ukochana rodzina zginęła, pochowana w wykopanych przez siebie bezimiennych grobach.

Zofia bardzo boleśnie odczuwała fakt, że musiała ukrywać swoją żydowskość, że zmuszona była w chwilach grozy reagować wprost „diabelskim" spokojem. Po wielu latach napisze w swej powieści... „ziemia koło Saren tryska żydowską krwią, rusza się i drży od żydowskich ciał".

Wkrótce ukraińscy nacjonaliści rozpoczęli rzeź Polaków na Wołyniu. Pamiętam do dzisiaj straszne słowa mojej Matki – mówiła wówczas – „kiedy żydowskie piętno Kaina złączyło się z piętnem polskości i zagroziło





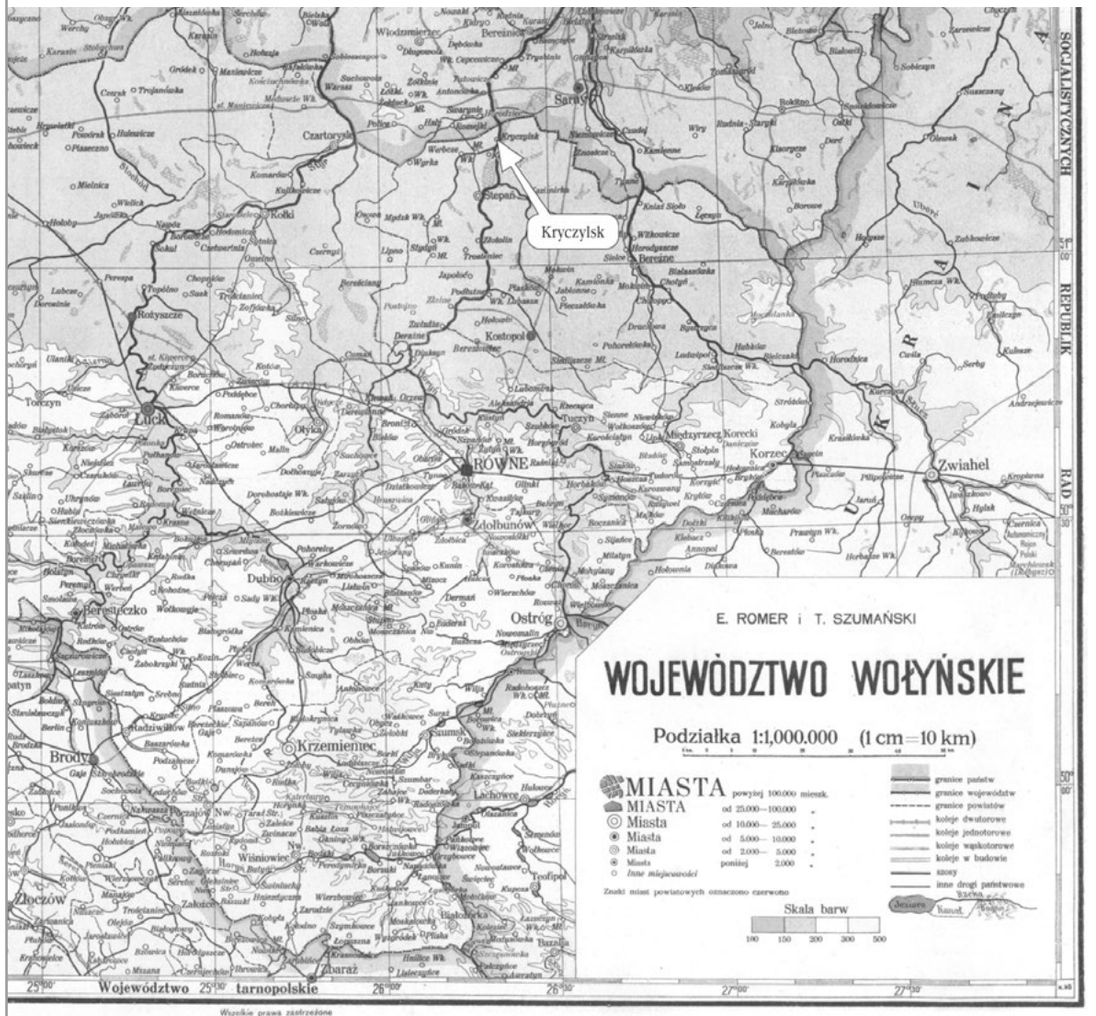


Eugeniusz Romer, Teofil Szumański, Województwo wołyńskie (fragment), Lwów-Warszawa 1930. Źródło: polona.pl

życiu Tadeusza Grzesiaka, jedynego przyjaciela i opiekuna jej i dziecka – Zofia-Nechume skwitowała to sentencjonalnie: „Polak i Żydówka, dwa grzechy w jednym domu, czy to nie za wiele?...".

Wojnę udało się przeżyć tylko mojej Matce i mnie, a to dzięki bohaterskiej pomocy Polaka, 27-letniego wówczas Tadeusza, który z całym oddaniem zaopiekował się nami, i z nami dzielił już swój los do końca swego pracowitego życia. Zmarł jako „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata" w czerwcu 1998 roku.

Po wyzwoleniu Mama opisała swoje losy w książce pt. *Między Horyniem a Słuczą*. Był to jak gdyby Jej czas narodzin na nowo; czas, który domagał się refleksyjnej oceny i prawdziwego opisu zarówno lat młodości, jak i przyspieszonego przejścia w tragiczną dorosłość.

Pisanie pozwalało Jej przezwyciężyć traumę przeszłości i choć częściowo uwolnić się od strachów zamkniętych w najgłębszych zakamarkach jej duszy.

Mama już w dzieciństwie podejmowała nieśmiałe próby literackie; wszystko jednak zginęło wraz z domem rodzinnym. I dopiero w 1968 roku (zwróćmy uwagę na symbolikę tej daty) powróciła do pisania. Myślę, że potrzeba pisania stanowiła dla Niej swoistą ucieczkę we własny, na zawsze utracony świat. W książce tej przedstawiła dzieje Nechume Szwarcblat, córki ubogich Żydów – kantora Mordche i jego żony Rejzy. Powieść *Między Horyniem a Słuczą* zawiera wspomnienia z dzieciństwa i młodości autorki, wiernie ukazuje tradycje Żydów mieszkających na zapadłej poleskiej wsi, pośród mieszkańców Ukrainy, Białorusinów, Litwinów, Niemców Czechów i Polaków. W książce tej wspomina również o prawdziwej miłości młodej żydowskiej dziewczyny do polskiego chłopca. Obok wątków biograficznych autorka przedstawiła zagładę Żydów i Polaków na kresach przedwojennej Polski, a także zrelacjonowała przeżycia w austriackich obozach pracy.

Ale powieść Mamy nie oskarża. Ujawnia wprawdzie przykłady bestialstwa nawet ze strony sąsiadów, ale także poświadcza najgłębsze człowieczeństwo innych, którzy narażając siebie i swoje rodziny przychodzili Żydom z pomocą. Wspomina więc między innymi takich bohaterskich ludzi, jak pani Buksztelowa czy Ukrainiec Abramczuk oraz cały szereg innych osób ostrzegających Tadeusza i Matkę przed niosącymi śmierć bandytami.

Zofia-Nechume pisząc o ludziach sobie znanych, ukazała swój stosunek do życia, swoją ogromną wrażliwość i umiejętność wnikliwej obserwacji. W jej najbliższym otoczeniu kwitło przecież bujne życie, krzyżujące różne narodowości i wyznania, różne kultury, języki, tradycje i obyczaje.

Cały dorobek literacki Mamy koncentruje się na ukazaniu prawdy o naturze człowieka i o losach wojennych, które dotknęły miliony niewinnych istnień ludzkich. Natomiast kolejna książka (jeszcze niewydana), *Wyspa nad Horyniem*, w całości poświęcona jest tradycji żydowskiego, wiejskiego życia na ubogiej poleskiej wsi. Przedstawia barwny, wielokulturowy przekrój społeczny, pełen tradycji, wierzeń, ale także ludzkich radości i smutków.

Myślę, że pisanie dla Mamy, to jakby poszukiwanie swoich przodków, swojej rodziny i otoczenia pośród popiołów krematoriów, pośród kości leżących w zbiorowych mogiłach, to także „odszukiwanie" swych bliskich, aby zwrócić im należną pamięć i honor.

Jej bohaterowie, to osoby wprawdzie niezbyt widowiskowe, ale w jakiś sposób poruszają czytelnika, zwłaszcza ich charaktery, opisy przyrody, światło, zmieniające się pory roku, koloryt miejsc i czasu.

Wiem, że pisanie o namiętnościach ludzkich jest trudne i niebezpieczne, ale Jej sposób „malowania" postaci bohaterów potrafi pobudzić uczucia, chwilami z niezwykłą siłą albo delikatnością pieszczoty, w zależności od miejsca i sytuacji.

Pisała z ogromną pasją i zaangażowaniem. Wciąż widzę Ją siedzącą na łóżku, z maszyną do pisania na kolanach, aby wykorzystać wczesnoporanne godziny na pisanie, zaś dalsze godziny dnia poświęcić





obowiązkom domowym matki i żony. W Jej życiu, obok pisania, najważniejszy był dom, w nim ład i porządek oraz troska o jedyną córkę i męża. Mogłabym godzinami opisywać tysiące szczegółów czyniących z tego Jej i naszego domu miejsce jedyne w swoim rodzaju, niezwykłe, chociaż nietętniące szczególną wesołością. Cóż, tkwiące w Niej rany, które wprawdzie pozostawały w ukryciu, wciąż były niezabliźnione i krwawiły.

Nie mniej ważną pasją Mamy było czytanie. Książki kochała od dziecka, chociaż tak trudno było je wówczas zdobyć.

Książki były dla Niej niczym ciepłe, bezpieczne schronisko. To one pozwalały Jej uciec przed złą przeszłością, pozwalały choć na moment wyrwać z duszy rozpaczliwe wspomnienia, wreszcie sprawiały, że zdolna była przezwyciężyć traumę przeszłości i choć na moment uwolnić się od strachów zamkniętych w najgłębszych zakamarkach Jej duszy.

* * *

Jak wspomniałam wcześniej, tereny dzieciństwa i młodości mojej Mamy to okolice Równego, Saren i inne, położone na Polesiu i Wołyniu. Przed wojną mieszkała tam ludność wielonarodowa, tj. ukraińska, polska, niemiecka, czeska i żydowska.

Jak się żyło w tej plątaninie języków, obyczajów, odmiennych tradycji i narodowości? Trzeba powiedzieć, że do wybuchu wojny w miarę normalnie, a dopiero potem powstał potężny mur, spowodowany trudnymi powszechnie warunkami materialnymi i społecznymi.

Należy także pamiętać, że na wiele lat przed wojną z racji szalejącego kryzysu i bezrobocia na terenach mego dzieciństwa panował wszechobecny głód. Na przednówku na polach i łąkach rósł jedynie szczaw, z którego moja babcia i inni gotowali niezabielany barszcz. Do tego barszczu brakowało nawet kartofli. Dopiero w lipcu robiło się trochę lżej. Były już jabłka, kolby kukurydzy gnące się do ziemi, był groch, kapusta, marchew, bób, cebula, ogórki, można było jeść, jeść do woli.

Pamiętam częste zabawne powiedzenie mojej Babci przytoczone przez Mamę:

„U nas – mówiła – jak u tego biednego Mazura, gdy po żniwach jest chleb, to soku brzozowego nie ma, a gdy wiosną jest sok brzozowy, to nie ma chleba".

Nikt jednak wtedy jeszcze nie przewidywał tego, co dopiero miało nastąpić i jakie barbarzyństwo będzie niosła ze sobą ta najstraszniejsza wojna.

Tymczasem wraz z wojną i posuwającym się frontem na dobre rozszalała się anarchia. Nagle odezwały się jakieś zapomniane przez lata waśnie międzysąsiedzkie, odrodziła się jakaś dawno zapomniana wola zemsty oraz zachłanność niemająca granic.

W naszej pamięci zachował się na przykład taki, jakże smutny obrazek:

Zaraz na początku wojny polski dziedzic, u którego pracowali Ukraińcy, musiał uciekać przed bandami, aby ratować swoje życie i życie swojej rodziny. Cały jego dobytek zostaje rozkradziony lub zniszczony; po ucieczce dziedzica z pałacu, chłopi ukraińscy grabią wszystko, co tylko można było wynieść, resztę niszczą i dewastują. Nawet kompletny analfabeta ciągnie worek z książkami, których nigdy nie będzie czytał, bo nie potrafi, ale przecież pana polskiego trzeba zniszczyć. To co, że był dobry i dawał zarobić na chleb? A przecież chleba na przednówku wszystkim brakowało, a zwłaszcza wiejskiej biedocie: Ukraińcom, Polakom i Żydom.

Kompletna anarchia zwiększyła się jeszcze po 17 września 1939 roku, to jest po wkroczeniu Rosjan na te tereny. W radiu

głos w języku ukraińskim obwieszcza, że nastąpi wyzwolenie Ukrainy spod jarzma polskich panów. Wkrótce potem dają się słyszeć hasła ukraińskich nacjonalistów: smert Lacham, smert Żydam i wtedy już zaczyna się prawdziwa gehenna, prawdziwy dramat tamtejszej społeczności.

Znika wszelka radość życia i wszelka nadzieja. W naszych uszach coraz częściej słychać tylko szczęk żelaza i łoskot wrogich złowieszczych samolotów.

Ale to, co przerażało i najbardziej bolało mieszkańców tamtych terenów, to nagła zmiana w zachowaniu sąsiadów Ukraińców, ponieważ po wkroczeniu Niemców ukraińscy sąsiedzi już bez żadnej żenady wyrażają swą bezgraniczną radość z tego tytułu i słychać coraz głośniejsze hasła, mówiące o śmierci Polaków i Żydów.

Ukraińscy nacjonaliści czekali na hitlerowską armię jak na zbawienie. Ich zdaniem, armia niemiecka miała przynieść im wolną Ukrainę.

W takich warunkach przychodzę na świat. Mój poród odbierają dwie babki, przybyłe wprost z pola, i brudnymi rękami biorą się do dzieła. Poród mojej mamy był wyjątkowo ciężki, ale ostatecznie skończył się szczęśliwie. Tylko, że dziecko było niedożywione, ciągle płakało. Brakuje mleka, a chłopi nie chcą pieniędzy, bo do ówczesnych rubli nie mają zaufania. Toteż dziecko wciąż choruje i drze się całymi dniami. Córkę zrozpaczona matka poi herbatą słodzoną cukierkami, pozostałymi po zlikwidowanym jeszcze przed wojną sklepie spożywczym.

Mamie, tak jak i innym, brakowało wówczas wszystkiego: jedzenia, ubrań, towarzystwa przyjaciół oraz książek do czytania, które mogłyby z powodzeniem zastąpić przyjaciół.

Tymczasem wojenna pożoga trwała i z dnia na dzień stawała się potworniejsza.

W roku 1940 miasto Równe pękało w szwach od nadmiaru uciekinierów przybyłych z centralnej Polski. W obiegu były ruble, nikt ich jednak nie lubił i nie szanował. Toteż przed rzadkimi sklepami ustawiały się kilometrowe kolejki po wszystko, co tylko zjawiało się na półkach.

Wkrótce Równe po nalocie niemieckim zostało zrównane z ziemią, wszędzie czuć było zapach spalenizny i posmak piekła. Trupy walają się po ulicach. Wokół widać jedynie cmentarzysko nasycone dymem. Jak okiem sięgnąć tylko gruzy i gruzy. I tylko firanki z rozszarpanych okien miotają się na wietrze jak żałobne chorągwie.

Ale to wciąż dopiero preludium tego, co miało niebawem nastąpić. Afisze głosiły jednoznacznie, jaki los czeka Żydów. Od tej pory moja Matka stale czuje chłód kuli na swojej szyi i to wrażenie pozostało Jej aż do śmierci.

Z Równego prawie nikt nie przeżył, bo albo zabił ich Stalin, albo wymordowali Niemcy. W roku 1943 albo jeszcze wcześniej w ciągu 2 dni pod Równem Niemcy, Litwini i Ukraińcy wymordowali 25 tysięcy Żydów, po prostu całe miasto. Wśród pomordowanych byli Żydzi zasymilowani i ortodoksi, myśliciele, artyści, syjoniści i komuniści, słowem wszyscy mieszkańcy Równego i okolic, w tym około 4 tysięcy dzieci. Wraz z tymi ofiarami zamordowano wówczas całą rodzinę Zofii, zarówno ze strony matki, jak i ojca.

Rozmiar tragedii ludzkiej z dnia na dzień przekraczał wyobraźnię. Naród żydowski wstąpił na drogę męczeństwa. Ludzie panicznie zaczęli bać się wszystkiego: Niemców, godziny policyjnej, sołtysa, a najbardziej własnych, ogarniętych paniką i lękiem, myśli.

W 1940 roku przyszedł nakaz ze Zdołbunowa, aby babcię, mamę i mnie odprowadzić do jam wykopanych przez Żydów dla Żydów, gdyż, jak głosiły niemieckie rozporządzenia, miasto to musi być wolne od Żydów.





W ten sposób w Równem już Żydów nie ma, a nas czeka kolejna ucieczka przed śmiercią. Trzeba było wszystko w domu zostawić na swoim miejscu, żeby wyglądało, że tylko na chwilę opuściliśmy swoje mieszkanie...

Za wypożyczenie furmanki i koni oraz za nasz ratunek Mama oddała sołtysowi jedyną złotą pamiątkę, rodzinny klejnot przekazywany z pokolenia na pokolenie. Wraz z oddaniem tej jedynej rodzinnej pamiątki skończył się ostatecznie jakikolwiek związek Matki z Jej rodziną i z rodzinną tradycją.

Po tych przejściach wszyscy pozostali przy życiu ludzie nauczyli się cierpieć po cichu i żegnać najbliższych bez zbędnych słów i bez okazywania rozpaczy.

A mimo to gdzieś w głębi duszy pozostały marzenia. Wyobraźnia podsuwała obraz prawdziwego życia za ścianą ciepłego domu nieobjętego wojną, za zasłoniętymi czystą firanką szybami. Oczyma duszy widziano szczęśliwe rodziny, gdzie na matach z zabawkami bawią się roześmiane, pachnące, wykąpane dzieci. Gdzie słychać muzykę i można odczuwać upragniony spokój.

Każdy w tamtym okresie marzył, aby za sprawą jakiegoś zaklęcia nie być już zaszczutym, podejrzanym przybyszem, ale stać się nagle zwyczajnym, ludzkim mieszkańcem tej Ziemi, członkiem ludzkiej wspólnoty i aby już nigdy nie było różnicy między nami a okupantem. Byliśmy przecież tak jak okupant istotami ludzkimi, które czują strach, pragnienie, cierpienie i miłość. Bo tak naprawdę, cóż wiemy o mechanizmach ludzkich serc i ludzkiej duszy?

Tymczasem Oksanka-Wanda jest malutka, jej sprawy wojenne jeszcze nie dotyczą. Za to warunki życia stają się coraz bardziej nikczemne. Życie w ukryciu z porażającym lękiem i z odczuwanym, skrajnym niedostatkiem wszystkiego staje się wprost nie do zniesienia. Bielizna i ubrania prane w popiele były czarne jak nasze ówczesne życie.

Ale nadchodzi pamiętny dzień 15 V 1943 r. Mama otrzymuje rozkaz stawienia się na roboty do Faterlandu. Dla Mamy i dla mnie wyjazd do Niemiec, to prawdziwe niebezpieczeństwo i groza. Jak pracować niewolniczo bojąc się zarówno bomb, głodu, szykan i dalszego upodlenia...?

Mamie pozostała już tylko jedna troska: jeżeli umierać to razem z córką. A może uciec z transportu, ale dokąd? Tak więc nie ma rady, trzeba jechać w nieznane.

Niemcy uzbrojeni po zęby wiozą niewolników jak aresztantów. W drodze Mama zachorowała na grypę. Bardzo się bała, aby w gorączce nie zacząć majaczyć i w ten sposób nie powiedzieć tego, co nie trzeba.

Po drodze czekała nas łaźnia z lodowatą wodą, bez okrycia i bez ręczników. Nie mamy nawet jakiejkolwiek szmatki, aby można się było osuszyć. W łaźni są kobiety i dzieci, wszyscy razem, a łaźnię obsługiwali młodzi własowcy. Potem golono głowy i na szyi zawieszano numery więzienne, namalowane na drewnianych deszczułkach.

Przez kilka godzin trzeba było stać na zimnym cemencie dygocąc z zimna, zmęczenia i głodu, bez ubrania, które w tym czasie podlegało dezynfekcji.

Do tego wszystkiego słychać jedynie skomlenie i rozdzierający wrzask dzieci, które płakały wniebogłosy z zimna i głodu.

Okazuje się, że nasz transport jedzie do obozu do Austrii. W drodze do obozu wszyscy podróżni ogarnięci są strachem, aby chociaż nie dostać się do fabryki zbrojeniowej, bo te są bombardowane prawie codziennie. Mama już straciła szesnaście kilogramów

wagi, jest coraz słabsza, jak więc podoła ciężkiej, niewolniczej pracy?

Ponad trzy tygodnie trwa męcząca podróż do Austrii. Wiadomo już tyle, że rodzin nie rozdzielą, że praca jest ciężka, a wyżywienie tragiczne. Dzieci nie dostaną cukru ani mleka. Obsługę obozów przejściowych, podczas których Niemcy wybierają sobie odpowiednich więźniów do rozmaitych robót, wykonują prawdziwi sadyści chyba z samego dna piekła.

Sękatą, grubą lagą ganiają głodnych, wykończonych ludzi z jednego baraku do drugiego, gdzie trwa swoista giełda siły roboczej, rekrutującej się spośród przywiezionych tu niewolników.

Dla nas docelową metę stanowi Leopoldsdorf (przedmieście Wiednia) i baraki z pluskwami, piętrowymi pryczami, dwoma ławami i nieheblowanym stołem, przy którym będzie się jadło miskę zupy z suszonej brukwi. Baraki stoją obok kompleksu cegielni. Na 20 metrach kwadratowych pomieszczenia baraku, na pięciu podwójnych pryczach ulokowano ogółem 16 osób dorosłych i 13 dzieci.

Dla mnie pobyt w obozie oznaczał bezgraniczną samotność i dojmujący głód. Czas się dłużył jak przysłowiowych siedem lat niewoli. Przecież większą część swego smutnego dzieciństwa przeżywałam w pojedynkę, bez przyjaciół i rówieśników. Nauczyłam się opowiadać sama sobie bajki, które wymyślałam na poczekaniu. I to one wypełniały i tworzyły cały mój obozowo-barakowy świat. Nie mogłam przecież z nikim rozmawiać, by język nie zdradził naszego pochodzenia. Jeśli musiałam odpowiadać na jakieś pytania, mówiłam po ukraińsku lub po polsku, ale raczej unikałam wszelkich kontaktów z otoczeniem. Toteż kontakty międzyludzkie zastępowałam własną wyobraźnią. W wyobraźni pokonywałam ogromne, baśniowe krainy. Trzeba dodać, że tę samotność mam zamkniętą w sobie do dziś. Ona mnie nie męczy. Zresztą podczas wojny dzieci uczono, że niczego tak naprawdę nie wolno... I dzieci to rozumiały i poddawały się wszystkim rygorom bez szemrania. Taka była bezgraniczna wola przetrwania.

Ale wróćmy do życia w obozie:

Strój więźniarek składał się z zielonego nakrapianego żakietu i długiej spódnicy z tego samego materiału, na nogi rozdano trepy na drewnianej podeszwie, i onuce zamiast pończoch czy skarpet. Do tego munduru trzeba było na stałe przyszyć na piersi białą łatę z napisem „Ostarbeiter". Drewniaki były bardzo ciężkie i stukały przy każdym kroku.

Robotnicy pracujący w cegielni przy cegle mieli na sobie żółtoczerwonawy nalot i wyglądali jak Indianie.

Na początku życia obozowego panował niesłychany terror. Tak na przykład pilnujący kobiet wojenny inwalida niemiecki bez nogi niezgorzej wywijał swoją drewnianą kończyną i walił nią pracujące tam kobiety po plecach i gdzie popadło.

Praca Mamy polegała na wożeniu wagonikiem cegieł do pieca. Manewrowanie wózkiem po szynach na zakrętach było nie lada wysiłkiem i wymagało szczególnych umiejętności. Koła Maminej wagonetki zwykle wyskakiwały z szyn i cegły z hukiem wysypywały się na posadzkę. Trud postawienia ciężkiej wagonetki na tory był dla słabej, wycieńczonej kobiety wprost niewyobrażalny. Każdy ceglany pustak ważył 11 kilo, podczas gdy mama w tym czasie sama ważyła zaledwie 42 kilo.

Ponadto nie mogła pozbyć się przykrego ustawicznego kaszlu, zamęczającego ją w dzień i w nocy. Do tego była skrajnie niedożywiona. Swoją mizerną porcję czarnego jak ziemia chleba oddawała córce, wiecznie nienasyconej i ustawicznie żądającej jedzenia, tj. kawałka zwykłego chleba.





Dopiero w czwartym roku wojny dyscyplina w obozie nieco zelżała. Nadzorcy jakby łagodnieli i chociaż nadal do robotnic zwracali się w obraźliwy sposób... „auf kurwy jedne...", to jakby bardziej miękko i nieco ciszej. Częściej teraz już można było ukraść kartofel i po cichu go zjeść. Jedynie zima tego roku była nie do zniesienia. Każdą szparą baraku wciskał się mroźny wiatr.

Ale zbliżała się Wielkanoc. Armia niemiecka cofała się bezustannie, co ogromnie cieszyło więźniów i napawało nadzieją.

W tym czasie zachorowałam na odrę i leżałam samiutka w baraku, ponieważ mama nie dostała ani jednego dnia wolnego, aby ze mną pobyć w tych dniach przykrej choroby.

W lipcu 1944 roku front rosyjski szybko posuwał się do przodu. W ciągu lata coraz częściej porzucano robotę, aby uciec do schronu przed bombardowaniem Wiednia i odłamkami artylerii.

Historia jednak z wolna się odmienia. Teraz Niemcy i Austriacy zaczynają się bać. W tym miesiącu został wyzwolony Lublin. W baraku pędzi się po kryjomu bimber i robi papierosy, w zamian za co otrzymuje się bezcenne kartki na żywność i można nabyć coś dodatkowego do zjedzenia. Tymczasem nie ustaje bombardowanie Wiednia. Na ulicach walają się ludzkie szczątki, które więźniowie grzebią w papierowych workach we wspólnej mogile. Powoli wyczuwa się jednak zbliżający się koniec wojny, ale jeszcze i tak setki mężczyzn wywieziono z cegielni w głąb Niemiec, do fabryk zbrojeniowych.

Na wiosnę 1945 r. coraz bardziej wierzono już w haniebną klęskę Niemców. Ale jeszcze Austriacy nie pozwalają więźniom uciekać do schronów, w których sami się chronią, a które zostały przecież zbudowane przez samych więźniów. Trzeba więc było szukać opuszczonych piwnic, która w naszym przypadku okazała się porzuconą winiarnią.

W obliczu ostatecznej klęski nazizmu zostaje wreszcie zrównany cierpieniem los wszystkich żyjących tam ludzi: Niemców, Austriaków, Polaków, Rosjan i Żydów.

Ponieważ front sowiecki znajduje się już coraz bliżej, zostajemy odwiezieni ciężarówkami do granicy austriacko-węgierskiej. Dalej jednak trzeba wracać do domu na własną rękę, co nie jest ani łatwe, ani proste, ale jest wielkie pragnienie powrotu do kraju za wszelką cenę. Chociaż wiemy, że nikt tam z rodziny na nas żywy nie czeka. Jedziemy czym kto może przez Węgry. Po drodze mijamy wszędzie ślady okrutnej walki życia ze śmiercią.

Dopiero pod koniec kwietnia ładujemy się do wagonów. Jedziemy przez Jugosławię i Rumunię do Polski. Podróż w koszmarnych warunkach trwała ponad miesiąc w towarzystwie wszy wielkości ziarna, ale kto by się tym przejmował. Jedziemy przecież do domu, do wytęsknionego kraju, do wymarzonych, normalnych, cywilizowanych warunków bytowania.

Do Lublina przyjechaliśmy 7 maja 1945 roku.

Tak więc ostatecznie jednak wyrwaliśmy się z tej apokalipsy, z tego zaklętego kręgu powszechnej Zagłady – teraz już we troje: już jako Zofia, Tadeusz i Wanda – ich córka.

Lublin, 22 września 2015 r.

Zofia Grzesiak i Monika Adamczyk-Garbowska przed domem przy ulicy Puchacza, Lublin, czerwiec 1989 r.





# Zofia Grzesiak – In Memoriam

Monika Adamczyk-Garbowska

O Zofii Grzesiak dowiedziałam się z reportażu Małgorzaty Niezabitowskiej opublikowanego w kwietniowym numerze „Więzi" z 1983 roku. Kto by wtedy przypuszczał, że w Lublinie mieszka nieznana niemal nikomu pisarka posiadająca w domu tysiące gęsto zapisanych ręcznie lub na starej maszynie do pisania stron?

Kiedy przeczytałam fragmenty jej prozy, te opublikowane w „Więzi" oraz te otrzymane parę lat później bezpośrednio od autorki, wydawało mi się, że pozostaje ona pod znacznym wpływem Juliana Stryjkowskiego czy Isaaca Bashevisa Singera. Szybko uzmysłowiłam sobie jednak, że kiedy zaczęła pisać, w ogóle nie znała tych autorów, a podobieństwo bierze się częściowo ze wspólnoty doświadczeń – przedstawiała bowiem podobną jak oni rzeczywistość, przedwojenny świat Żydów polskich – a częściowo z faktu, że jej polszczyzna przesycona jest językiem jidysz.

Zofia Grzesiak urodziła się jako Nechume Szwarcblat 1 września 1914 roku w Kryczylsku na Wołyniu. Pochodziła z ubogiej rodziny chasydzkiej Mortha Wolfa Szwarcblata i Rejzełe z d. Gutman. Rodzice zajmowali się handlem, ojciec był także kantorem w miejscowej synagodze. Nechume i jej starsza siostra Cywia dorastały w surowej, religijnej atmosferze tradycyjnego chasydzkiego domu. Przyszła pisarka ukończyła jedynie kilka klas chederu. W 1938 r. wydano ją za mąż i 9 września 1939 r. urodziła córkę, której nadano imiona Oksana Krajna. Po wybuchu wojny cała rodzina przebywała w getcie w Sarnach, niedaleko Kryczylska, gdzie wszyscy oprócz Nechume Szwarcblat i jej córki zostali zamordowani. Uratował je i zaopiekował się nimi mieszkający przed wojną w sąsiedztwie Tadeusz Grzesiak, polski kowal pochodzący z Jastkowa k. Lublina. Na podstawie zdobytego polskiego świadectwa maturalnego Nechume przyjęła imię Zofia, a od swojego opiekuna nazwisko Grzesiak. Do lutego 1943 r. – kiedy to zostali zaatakowani przez ukraińskich nacjonalistów dokonujących czystek etnicznych – mieszkali dalej w Kryczylsku jako polska rodzina. W czasie napadu Tadeusz Grzesiak został postrzelony w rękę, lecz zdołał uciec. Nechume i jej córka ocalały, ale wkrótce po powrocie Grzesiaka, z obawy przed kolejnymi napaściami zostawili dom i tułali się od wsi do wsi. W maju 1943 r. w Sarnach na Wołyniu podczas łapanki zostali zatrzymani przez Niemców i trafili do obozu pracy w Leopoldsdorf na przedmieściach Wiednia. Mieszkali w kilkudziesięcioosobowym baraku, ukrywając żydowską tożsamość Zofii-Nechume i jej córki. W 1945 r., po wkroczeniu do Wiednia Armii Czerwonej, wrócili do Polski i po zakończeniu wojny Zofia i Tadeusz wzięli ślub. Początkowo zamieszkali w Pile (tam Oksana Krajna została ochrzczona, otrzymując imię Wanda), gdzie Grzesiak otworzył mały warsztat mechaniczny, a później także olejarnię (wkrótce upaństwowione). W 1952 r. rodzina przeniosła się do Lublina – on podjął pracę w Fabryce Samochodów Ciężarowych, ona zajmowała się domem, w wolnych chwilach pisząc powieści i opowiadania oraz prowadząc dziennik. W 1985 r. Tadeusz Grzesiak za uratowanie Nechume i Oksany Krajny został odznaczony medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata".

Zofia Grzesiak odczuwała wielką potrzebę tworzenia, ale przez wiele lat pisała do szuflady. To, że jej proza w ogóle ujrzała światło dzienne, należy zawdzięczać ludziom, którzy z niemałym wysiłkiem przełamali jej opory oraz mężowi, Tadeuszowi, w którym pisarka miała wiernego czytelnika i prawdziwą podporę duchową. Ona sama bowiem była osobą bardzo skromną, zupełnie pozbawioną wiary we własne siły. Jej kompleksy wynikały z faktu, że nie posiadała żadnego formalnego wykształcenia oprócz kilku klas chederu, żydowskiej szkoły elementarnej. Jej językiem ojczystym był jidysz, polskim zaczęła posługiwać się na co dzień dopiero w czasie wojny, a pisać – na początku lat 60. XX w. Nic więc dziwnego, że w jej prozie występują błędy gramatyczne i ortograficzne, co jednak nie ma wpływu na wartość utworów, charakteryzujących się wielką siłą obrazowania, dogłębnym rysunkiem psychologicznym postaci i znakomitym darem obserwacji, pozwalającym na plastyczny opis szczegółów obyczajowych.

Niewyczerpanym źródłem twórczej inspiracji, widocznym także wyraźnie w bogatym języku pisarki, są tereny, z których pochodziła, ta część Kresów, gdzie Polacy, Żydzi i Ukraińcy aż do wybuchu drugiej wojny światowej tworzyli unikalną wspólnotę społeczno-kulturową. Przedmiotem zainteresowania autorki są szczególnie losy kobiet żydowskich i ukraińskich (pisała o nich np. w pozostającej w rękopisie powieści-rzece *Pajka*) zmuszanych – ze względu na brak odpowiedniego posagu czy też z konieczności zabezpieczenia rodziny przed nędzą – do poślubienia niekochanych, często dużo od nich starszych mężczyzn. To „przekleństwo posagu" stanowi niemal obsesyjny temat prozy Zofii Grzesiak, przesądzający także o sile narracji i sprawiający, że opisywany przez nią świat jest pozbawiony idealizacji charakterystycznej dla wspomnień wielu innych autorów obrazujących życie w żydowskich miasteczkach.

Szczególny dramatyzm cechuje także jedyną do tej pory opublikowaną powieść *Między Horyniem a Słuczą*, opartą na tragicznych i szczęśliwych zarazem wydarzeniach z własnego życia. Alter ego autorki, dwudziestokilkuletnia Nechume, poznaje jeszcze przed wybuchem wojny polskiego kowala Tośka (którego pierwowzorem był Tadeusz Grzesiak), ale małżeństwo nie wchodzi w rachubę, poślubienie katolika oznaczałoby bowiem odstępstwo od własnej wiary i tradycji. Wraz z wybuchem wojny, a zwłaszcza po 1941 r., kiedy tereny „między Horyniem a Słuczą" zostają opanowane przez Niemców, wymogi religii i tradycji przestają mieć znaczenie, gdyż najważniejsze staje się ratowanie życia własnego i swoich najbliższych. Fakt, że przyszłej pisarce udało się ocaleć z Zagłady, zawdzięczała zaradności i hartowi ducha jej przyszłego męża, który – jak często powtarzała –„nie pozwolił zatonąć ich małemu okręcikowi". Jemu też poświęcona jest ta 430-stronicowa książka, wydana po znacznych skrótach (w oryginale liczyła ponad 1200 stron maszynopisu z pojedynczym odstępem) dokonanych przez autora wstępu Andrzeja Z. Makowieckiego.

Odkrycie twórczości Zofii Grzesiak za sprawą reportażu w „Więzi" zaowocowało, oprócz wydania powieści, publikacjami w „Akcencie", „Kamenie" i „Fołks-Sztyme". Reportaż Małgorzaty Niezabitowskiej znalazł się w albumie *Remnants: The Last Jews of Poland*, New York 1986; wyd. polskie: *Ostatni. Współcześni Żydzi polscy*, Warszawa 1993, zdjęcia T. Tomaszewski). Kilka utworów Zofii Grzesiak ukazało się później w przekładzie na język angielski, w tym w antologii współczesnych pisarzy polsko-żydowskich *Contemporary Jewish Writing in Poland* (Lincoln, Nebraska, 2001), gdzie opowiadanie *Marriage* (przekład *Stanu małżeńskiego*, debiutu z „Więzi") znalazło się obok utworów tak uznanych pisarzy jak Henryk Grynberg czy Hanna Krall.

Ciągle zaabsorbowana różnymi sprawami domowymi Zofia Grzesiak z trudem znajdowała czas, aby pisać. Cicha i nieśmiała, nabierała pewności siebie, kiedy miała okazję czytać na głos fragmenty swej twórczości, czy to na wieczorach autorskich, czy w zaciszu własnego mieszkania. Zyskiwała wtedy niezwykłą siłę, która sprawiała, że jej proza nabierała jeszcze więcej życia, niczym w mistrzowskim aktorskim wykonaniu.

Zainteresowanie twórczością Zofii Grzesiak, mające miejsce w drugiej połowie lat 80. i na początku 90. XX w. na fali popularności tematyki żydowskiej, z czasem osłabło. Zbiegło się to z załamaniem psychicznym autorki po śmierci męża w 1998 r. oraz ciężką chorobą, w tym utratą słuchu, bardzo utrudniającą jej kontakt z ludźmi. Prawie do końca próbowała jednak pisać. Pozostawiła po sobie ogromne archiwum, obejmujące maszynopisy i rękopisy. Jej spuściznę, na którą składają się nigdy niewydane powieści, opowiadania i dzienniki, oblicza się na kilkanaście tysięcy stron zawierających m.in. powieści: *Pajka, Marynia, Mitia, Przekleństwo posagu* i *Wyspa nad Horyniem* oraz utwór bez tytułu oznaczony przez autorkę jako „historia cioci Judki". Jej bogata i oryginalna twórczość zasługuje na uwagę wydawców i badaczy.

Panią Zofię Grzesiak i jej męża Tadeusza poznałam osobiście w październiku 1985 r. Bardzo szybko się zaprzyjaźniliśmy i utrzymywaliśmy razem z moim mężem, Krzysztofem, bliskie kontakty odwiedzając się wzajemnie. Starałam się także zainteresować jej twórczością różne redakcje i wydawców. Kilka opowiadań ukazało się w kwartalniku „Akcent", z którym blisko współpracuję od początku jego powstania w 1980 r. W 1994 r. Pani Zofia zaczęła unikać spotkań towarzyskich ze względu na postępującą głuchotę. Coraz częściej, zarówno w sprawach osobistych, jak i redakcyjnych, kontaktowałam się z nią poprzez jej męża i córkę – Wandę Lotter. Brak bezpośredniego kontaktu skłonił ją do napisania kilku listów, które stanowią dla mnie cenną pamiątkę. Dają one wyobrażenie o postępującej chorobie, a jednocześnie dowodzą, jak ważny był dla niej kontakt z ludźmi zainteresowanymi jej twórczością. „U mnie głucho coraz głuszej" – pisze w liście datowanym 22 XII 1994 r. – „Z tego faktu bardzo cierpię. Nie jest to przyjemne ani dla mnie ani dla mego otoczenia. Z tego powodu znalazłam się w straszliwej pustce, której nikt nie jest w stanie pojąć." Jednocześnie pisze w sposób bardzo obrazowy, niepozbawiony ironicznego dystansu wobec siebie: „Od rana do południa kręcę się jak bąk po domu, czyli sprzątam, piorę, prasuję, przy tym stękam, bo po osiemdziesięciu latach gnaty skrzypią, trzeszczą i po prostu buntują przeciw jakiejkolwiek pracy..." (16 IX 1995).

Listy podaję w oryginalnej pisowni opatrzone kilkoma niezbędnymi przypisami.

M. A.-G.





# Listy Zofii Grzesiak do Moniki Adamczyk-Garbowskiej

**Droga Pani Moniko**

Z wielką trwogę posyłam Pani trzy opowiadania do wyboru pod tytułem „Der szojchet", „Obrzezania" o tematyce żydowskiej – i fragment powieści ukraińskiej pt. „Pajka". Uprzejmie proszę by je Pani przeczytała i według swego zdania uznała które z tych opowiadań by się nadawało do druku. Te wszystkie opowiadania szczególnie o tematyce żydowskiej są duże, warsztatowo źle napisane. Myślę jednak, po fachowych skrótach może by się coś dało z tego zrobić, a może podzielić z jednego opowiadania zrobić dwa, gdyż jestem więcej niż pewna że takiej ilości stronic nie da się zmieścić. Doskonale wiem że dzisiaj pisze się książki cienkie. Ja niestety nie potrafię coś krótkiego napisać u mnie zawsze wbrew mojej woli treść rozwleka się bez końca i na tę chorobę nie mam lekarstwa. Więc zdaję się kochana Pani Moniko całkowicie na Panią i pozwalam robić skróty jakie Pani będzie uważała za konieczne.

Na tym kończę i pozdrawiam, życzę Pani siły i wytrzymałości w swoich zmaganiach na których natrafia Pani w swojej pracy twórczej

Pozdrowienia dla Męża i Dzieci

z poważaniem

Zofia

Lublin dnia 20 XI 94.

---

Lublin 22.12. [1994]

**Droga Pani Moniko!**

Moje gratulacje za wybitną książkę przekazaną przez Panią Polskim czytelnikom pod tytułem „Polska Singera. Rozstania i powroty"*. Z kolei ja serdecznie dziękuję za podarowaną mi tę książkę z dedykacją. Bardzo się ucieszyłam, gdyż się nie spodziewałam, że dostanę. Z doświadczenia znam, że nie wszystkich można obdzielić. Ja z tego powodu miałam wiele wymówek, że zostali pominięci. Niektórzy z moich pobratymców powiedzieli mi wprost że mi tego nie wybaczą. Może mają rację. Ale w tym czasie kiedy książka się ukazała, mój mąż leżał śmiertelnie chory w szpitalu. Moje książki zostały chaotycznie rozdysponowane i niewłaściwie. Tak widocznie musiało być.

Droga Pani Moniko! Pani książkę przeczytałam jednym tchem. Mogę pozazdrościć siły i wytrwałości w poszukiwaniu i udokumentowaniu wypowiedzi wybitnych krytyków historyków na temat twórczości tego niezwykłego pisarza.

---

* Chodzi o moją książkę *Polska Isaaca Basbevisa Singera – rozstanie i powrót*, wydaną przez Wydawnictwo UMCS w Lublinie w 1994 r.

Jeszcze raz gratuluję i życzę dalszych sukcesów. Ostatnio czytałam dwie książki Marka Haltera pod tytułem „Pamięć Abrahama" i „Synowie Abrahama". Czy Pani zna te książki? Jest to bowiem historia starego rodu drukarzy żydowskich sięgających czasów Gutenberga, z którymi identyfikuje się autor poprzez swoich pra-pradziadków piszących kronikę przez wieki ze szczególnym podkreśleniem tragicznych losów i wydarzeń do czasów współczesnych. Dzięki tej książce „Pamięć Abrahama" dowiedziałam się, że żółte łaty jak również geta nie były wcale wymysłem Hitlera. Czytałam też ostatnio pierwszą książkę izraelskiego pisarza Amosa Oza „Mój Michał". Na pewno Pani ją zna.

Wanda wróciła z wycieczki z Izraela pełna zachwytu Jerozolimą i innymi miejscami, które zwiedzała. Sama natomiast myślę, że co innego oglądać kraj okiem turysty oprowadzanego specjalnie wyznaczonymi do tego celu szlakami, a co innego mieszkańca czy emigranta borykającego się z codziennym i chyba bardzo skomplikowanym życiem.

Co więcej? U mnie głucho coraz głuszej. Z tego faktu bardzo cierpię. Nie jest to przyjemne ani dla mnie ani dla mego otoczenia. Z tego powodu znalazłam się w straszliwej pustce, której nikt nie jest w stanie pojąć.

Droga Pani Moniko proszę mi wybaczyć za ten nieco przydługawy list. Po prostu chciało mi się z kimś życzliwym choć listownie porozmawiać, czy podzielić się wrażeniami czy przedyskutować jakąś książkę, czy jakiś inny temat. Niestety ani bezpośrednio ani telefonicznie tego zrobić nie mogę, gdyż mając głuchotę która na mnie nagle spadła bo jeszcze w południe normalnie rozmawiałam z sąsiadką na strychu, a już na drugi dzień stałam się głucha jak ściana i przez to czuję jak mój umysł jałowieje. Może nie umysł, tylko moje życie stało się bardzo smutne i jałowe. Jedynie co mi pozostało to kręcić się w kółko i robić te same czynności dzień w dzień. Trochę pisać i czytać przeważnie nocą w czasie bezsenności, która stała się moją nieodłączną towarzyszką a jakoś tam czas mimo wszystko szybko ucieka, a mnie trudno jakoś się ze wszystkim pozbierać.

Na tym kończę. Życzę Pani wszystkiego najlepszego w nadchodzącym roku i dalszych sukcesów w pracy twórczej i zawodowej. Pozdrawiam również Pani Małżonka z całego serca i życzę jemu jak również wam obojgu zdrowia, spokoju i pociechy z dzieci.

Zofia Grzesiak [podpis nieczytelny]

PS. Mam ogromne wyrzuty sumienia, że obarczyłam Panią swoimi opowiadaniami, zważywszy że Pani jest obarczona ogromem własnych obowiązków.

---

Lublin, dnia 16.9.95

**Droga Pani Moniko!**

Po pierwsze dużo serdecznej wdzięczności za autograf książki pod tytułem „Spinoza z ulicy Rynkowej"*. Wraz z wdzięcznością życzę Pani dalszych sukcesów na trudnym, aczkolwiek bardzo fascynującym twórczym polu. Pomimo trudności wydawniczych daje jednak wiele satysfakcji.

---

* Chodzi o dokonany przez mnie przekład opowiadań Isaaca Bashevisa Singera wydany przez Wydawnictwo „Atext" w 1995 r.

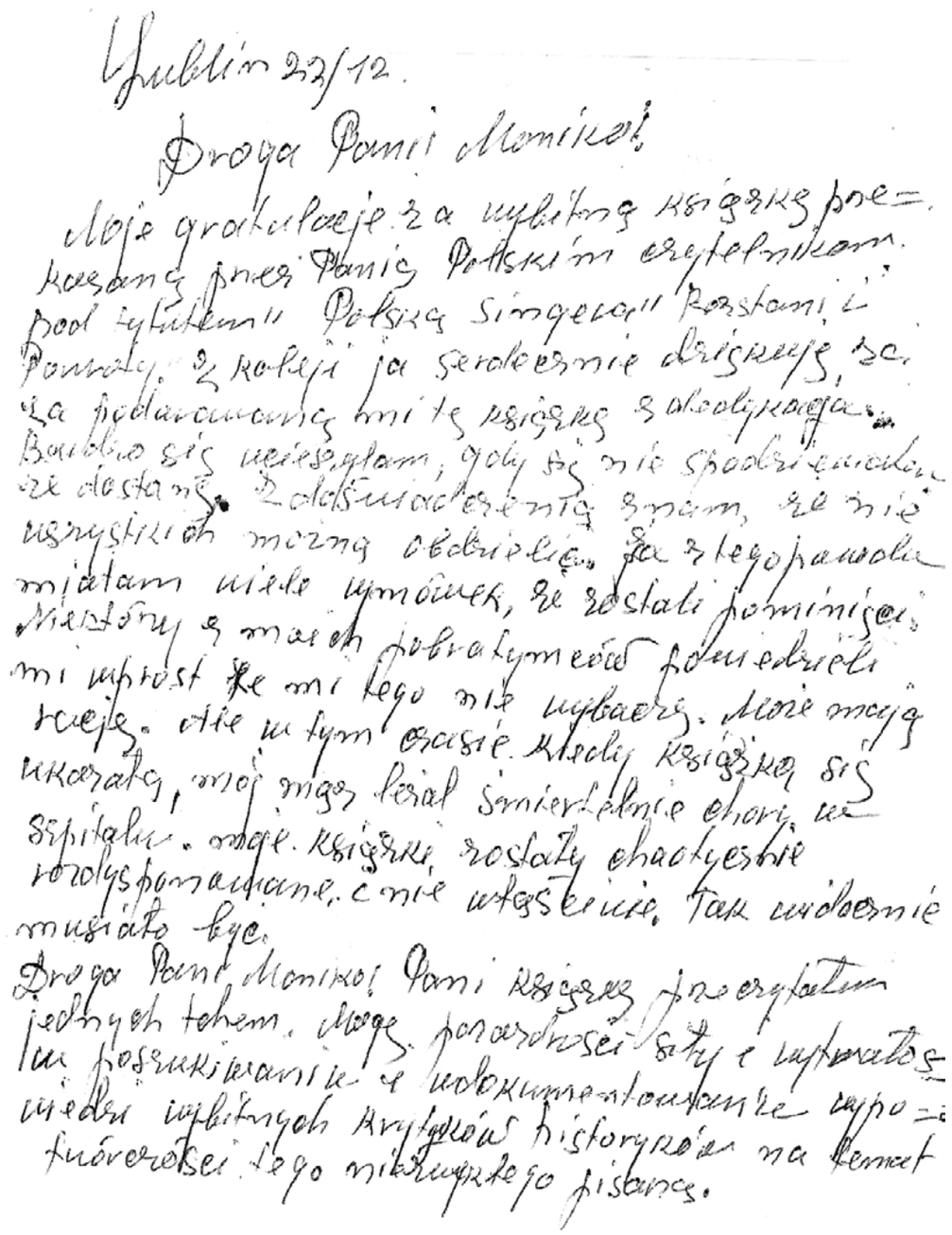

Jeszcze raz gratuluję i życzę dalszych sukcesów. Ostatnio czytałam dwie książki Marka Haltera pod tytułem "Pamięć Abrahama" i "Synowie Abrahama". Czy Pani zna te książki? Jest to barwna historia starego rodu drukarzy żydowskich sięgających czasów Gutenberga, z którymi identyfikuje się autor poprzez swoich pra-pra dziadków piszących kronikę przez wieki ze szczególnym podkreśleniem tragicznych losów i wydarzeń do czasów współczesnych. Dzięki tej książce "Pamięć Abrahama" dowiedziałam się szczegółowo tak jak również Geta nie były wcale wymysłem Hitlera. Czytałam też ostatnio pierwszą książkę Izraelskiego pisarza Amosa Oza "Mój Michał". Napewno Pani ją zna. Wanda wróciła z wycieczki z Izraela pełna zachwytu Jerozolimą i innymi miejscami które zwiedzała. Ja natomiast myślę, że co innego oglądać przez okno turysty, zwłaszcza turysty oprowadzanego specjalnie wyznaczonymi do tego celu szlakami, a co innego mieszkańca czy emigranta borykającego się z codziennym i chyba bardzo skomplikowanym życiem.

co więcej? We mnie głucho co raz głuszej. Z tego faktu bardzo cierpię. Nie jest to przyjemne ani dla mnie ani dla mego otoczenia. Z tego powodu znalazłam się w straszliwej pustce, której nikt nie jest w stanie pojąć.

Droga Pani Moniko proszę mi wybaczyć za ten nieco przydługawy list. Po prostu chciało mi się z kimś życzliwym chociaż listownie porozmawiać, czy podzielić się wrażeniami czy przedyskutować jakąś książkę, czy jakiś inny temat. Niestety ani bezpośrednio ani telefonicznie tego zrobić nie mogę, gdyż moją głuchotą, która na mnie nagle spadła. Jeszcze w południe normalnie rozmawiałam z sąsiadką na strychu, a już na drugi dzień stałam się głucha jak ściana. Czuję jak mój umysł jałowieje i przez to umysł tylko moje życie. Może nie smutne i jałowe! Stało się bardzo Jedynie co mi pozostało to kręcić się w kółko i wciąż to samo czyta cały dzień, w dzień, trochę pisać i czytać

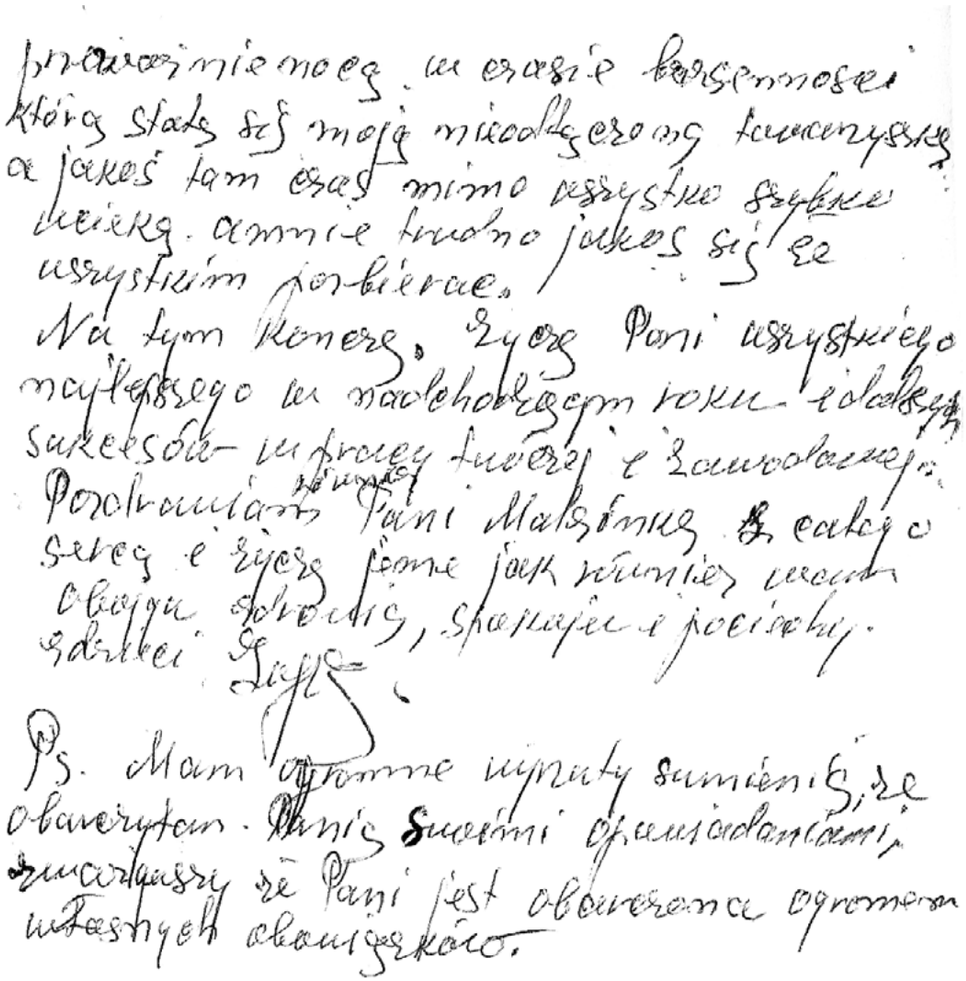

P.S. Mam ogromne wyrzuty sumienia, że obarczyłam Panią swoimi opowiadaniami, zwłaszcza że Pani jest obarczona ogromem własnych obowiązków.



Drugie podziękowanie za dobrą wiadomość z faktu ukazania się wkrótce mego opowiadania w Akcencie. Nie wiem czy będę mogła, czy będę w stanie kiedykolwiek Pani się odwdzięczyć za pomoc, by to opowiadanie zostało umieszczone w kwartalniku.

Przyznam się szczerze, że nie liczyłam, by to nastąpiło prędko, sądziłam może za rok, za dwa albo i dłużej.

Cieszę się bardzo, że Pani podjęła nowe zadanie, by napisać, jak mąż mi opowiadał, książkę o Żydach w Polsce*. Życzę Pani owocnej pracy, a o sukces jestem więcej niż pewna.

Teraz nieco o sobie. Myślę, że mój mąż opowiadał jak obecnie spędzam czas. Otóż absolutnie jałowo. Od rana do południa kręcę się jak bąk po domu, czyli sprzątam, piorę, prasuję, przy tym stękam, bo po osiemdziesięciu latach gnaty skrzypią, trzeszczą i po prostu buntują przeciw jakiejkolwiek pracy.

Na działce też bywam tylko dwa razy w tygodniu, choć w dalszym ciągu ją bardzo lubię i staram się, by moje kwiatki, których uwielbiam siako tako wyglądały. Najtrudniejsze są dojazdy autobusem i czekanie na przystankach, a najtrudniej jest coś donieść czy przynieść z działki. No i trochę ciągnę drugi tom „Przekleństwo posagu", którą powinnam skracać i wbrew rozsądkowi rozrasta się coraz bardziej. Całe szczęście, że nie myślę o jej wydaniu. Sponsora nie znajdę, bo kto zechce się zająć takim czymś. Gdybym była taką znaną jak Kolins** z serialu Dynastia i napisała takie coś jak „Żony Holiwodu" może jakieś wydawnictwo by to wydało, lecz ja czegoś tak „smakowitego" nigdy bym się nie odważyła napisać. Dziwię się nawet, że takie poważne wydawnictwo jak Czytelnik tę książkę wydało, lecz jak widać pieniądz i moda ma dzisiaj większą wartość niż książka dająca coś więcej niż rynsztokowe słownictwo.

No ale trudno. Takie czasy i trzeba się z tym pogodzić.

Co u mnie więcej? W dalszym ciągu ubożeję duchem. Z tego faktu ogromna pustka. Do tego trudności z czytaniem z powodu katarakty. Powinnam już dawno pójść na operację oczu, lecz się boję, po operacji przez dłuższy czas nie będę mogła czytać. A czytanie jest jedynym lekiem na bezsenne noce, na stresy frustracje i inne kłopoty, których mi nie brak.

Ostatnio moja córka była chora. Od czasu amputacji jej piersi cośkolwiek by nie było zaraz przychodzi na myśl to najstraszniejsze.

Mąż jak Pani go widziała ostatnio też nie jest w dobrze formie. Podeszły wiek i ciężkie choroby, które ostatnio przechodził nie sprzyjają dobrej kondycji. W dodatku złodzieje obcięli wszystkie kable elektryczne ze wszystkich ogrodów, zaczął budować wiatrak, a to praca na miarę inżyniera. Praca ciężka, żmudna, kosztowna, wymagająca wytrwałości i siły młodego silnego człowieka, a nie schorowanego staruszka, ale cóż dzięki temu ma jakieś zainteresowanie. Proszę tylko Boga, by mu się to udało, by miał z tego faktu satysfakcję.

I znowu na swój sposób się rozwlekle rozpisałam, a to dlatego, że brak mi kontaktu z ludźmi, a Panią Pani Moniko traktuję, jak bardzo mi bliską osobę. Przez to piszę do Pani o wszystkim co leży mi na sercu, a najtragiczniejsze jest to, że nie mogę się porozumieć

---

* Nie wiem jaką książkę pani Zofia miała na myśli. To stwierdzenie jest prawdopodobnie wynikiem nieporozumienia.

** Chodzi o aktorkę Joan Collins odgrywającą w serialu *Dynastia* rolę Alexis Carrington Colby. Collins jest także autorką książek biograficznych i powieści, ale książka *Żony Hollywoodu* została napisana przez jej młodszą siostrę, pisarkę Jackie Collins.

z nikim telefonicznie, ani odebrać telefonu. Ostatnio miałam wielki kłopot. Na pewno mój mąż o tym wspominał, że przyjechała dziennikarka z Frankfurckiej telewizji i chciała się koniecznie ze mną spotkać. Jej tłumacz cały dzień bez przerwy do mnie dzwonił, a ja nie mogłam zrozumieć o co mu chodzi. Dopiero wieczorem jak mąż wrócił do domu, z nim się porozumiał.

Tak samo nie wiedziałam o tym teatrze „N.N." pod artystycznym kierownictwem Tomasza Pietrasiewicza. Przeczytałam dopiero o tym w „Słowie Żydowskim". Przyznam się szczerze, że gorzko zapłakałam, że przez nieszczęsny słuch oderwałam się całkowicie od kulturalnego życia. W tym samym artykule w „Słowie Żydowskim" przeczytałam o promocji Pani książki. Gratuluję.

Nie wiem co stało się z Panią Anną Żuk.* Wcale się ze mną nie kontaktuje. Czy się na mnie rozgniewała? W dalszym ciągu uważam, że ona była moją opatrznością. Gdyby nie ona nie poznałabym nigdy Pana Krzysztofa, ani Pani. Miła, kochana Pani Moniko!

Przepraszam bardzo Pani Moniko, że tyle razy Pani zapraszała nas do siebie. Proszę mi wierzyć, że bardzo pragnęłam z Panią porozmawiać, lecz nie mogłam się odważyć. Czuję się okropnie, gdy ktoś do mnie mówi, a ja nie rozumiem. Moja utrata słuchu jest z powodu uszkodzenia ślimacznicy. Za jednych sześćset milionów starych złotych w Warszawie operują i przywracają słuch. Lecz ja już jestem w takim wieku, że muszę się pogodzić z głuchotą.

No myślę poreszcie kończyć tę przydługą „litanię", która zmęczy Panią czytaniem.

Moc pozdrowień dla całej rodziny.

Życzę zdrowia, sukcesów w pracy zawodowej i twórczej.

Oddzielne pozdrowienia od męża.

Z poważaniem zostająca życzliwa Zofia Grzesiak.

---

14.3.96

## Droga, Kochana Pani Moniko!

Otóż nie wiem jak mam wyrazić wdzięczność dla Pani za tyle dobra co Pani dla mnie czyni i za trud włożony w moje teksty w czasie redagowania mego opowiadania. Sądzę, że musiała Pani włożyć dużo starań by to opowiadanie się ukazało w ostatnim kwartalniku**. Jak wiem chętnych do umieszczenia swoich tekstów w Akcencie jest bardzo wielu i na pewno o wiele lepszych twórców niż ja. Słowem miałam ogromne szczęście, że dane mi było najpierw poznać Pana Krzysztofa, a potem za jego pośrednictwem poznałam Panią, która z kolei już tyle razy daje mi powód do radości i podtrzymuje mnie na duchu, że tylko dzięki Pani moje opowiadanie zostało przekazane czytelnikom.

---

* Dr hab. Anna Żuk, filozof, pracownik naukowo-dydaktyczny UMCS. W latach osiemdziesiątych XX w. starała się zainteresować różne osoby twórczością Zofii Grzesiak. To od niej Małgorzata Niezabitowska dowiedziała się o istnieniu Zofii Grzesiak i uczyniła ją jedną z bohaterek swojego reportażu o Żydach lubelskich zamieszczonego w nr 4 „Więzi" z 1983 r. W tym samym numerze ukazało się opowiadanie Zofii Grzesiak *Stan małżeński* stanowiące jej debiut pisarski.

** Chodzi o fragment powieści *Pajka*, który ukazał się w „Akcencie" w 1996 r. ( nr 1, s. 51–61).





Co u mnie ostatnio córka chorowała na zapalenie oskrzeli i na nerki, jakby tego było jeszcze mało cierpi na migrenę i na nadciśnienie. Był to dla nas jak zwykle wielki niepokój, ale już chwała Bogu wyzdrowiała. Następnie ja zachorowałam na zapalenie oskrzeli i znowu antybiotyki i różne inne leki pochłaniające całą niemalże emeryturę.

Mąż również ledwo zipie, słowem nie ma się czym chwalić. Przez to całą zimą nie wytykaliśmy nosa z domu. Mąż niecierpliwie czeka wiosny, że pójdzie na działkę i zajmie się konkretną robotą na świeżym powietrzu.

Poza tym nic więcej. Spędzam czas na czytaniu, trochę też piszę, wcale nie licząc na wydanie, gdyż jestem świadoma, że cudów nie ma. Staram się być zadowolona z tego, że choć tyle mi się udało zawdzięczając dobrym ludziom, z którymi udało mi się zetknąć. Resztę czasu spędzam na kręceniu się po domu, jak kot za własnym ogonem, a jak Pani na pewno wie, że w domu nigdy końca z robotą, żeby tylko chcieć robić. A czas i tak szybko ucieka, niedawno było Boże narodzenie, a już mamy wielkanocne Święta za pasem.

Co słychać u Państwa? Na pewno Pani coś tłumaczy nowego. Myślę, że na brak pracy Pani narzekać nie może.

Przepraszam bardzo, że Pani czekała na męża w redakcji, a on zgodnie z umową się nie zjawił. Miał pójść, lecz było zimno i córka nie chciała żeby wychodził z domu, zabrała to oświadczenie i chyba wysłała pocztą. Sądzę, że w czasie nadeszło do redakcji.

Dziękuję Bardzo Pani Moniko, za zaproszenie nas do siebie. Z miłą chęcią bym się z Państwem spotkała, tyle bym miała Pani do powiedzenia, ale cóż. Mój słuch całkowicie wysiadł. Trudno mi już porozumieć się z Mężem.

Ale może by Państwo byli tak uprzejmi i przyszli do nas. Teraz mamy więcej przestrzeni. Tak, że bez żadnych przeszkód moglibyśmy się spotkać u mnie.

Jeżeli by Pani nie odmówiła, prosiłabym, by Pani zechciała przedzwonić, czy się Pani zgadza i w którym dniu. Byłabym bardzo usatysfakcjonowana.

Na tym kończę i jeszcze raz dziękuję za radość jaką mi Pani sprawiła.

Życzę Pani Dużo szczęścia, zdrowia, by mogła Pani bez zakłóceń kontynuować swoją pracę twórczą na Polu tłumaczenia wybitnych pisarzy, jak również w pracy zawodowej.

Moc pozdrowień dla całej waszej rodziny.

Oddzielne pozdrowienia od mego męża i mojej córki. Z poważaniem dozgonnie wdzięczna Zofia Grzesiak.

napewno byłby ~~wnuk~~ już u niego wnuk.

Pajka przechyliła głowę i piła gorący gorzkawy napar. i przyglądała się jak ~~jej mąż~~ dorodny Stiopa jej mąż, stojąc przy oknie przygładzał wąsy. ~~i przeglądał się w małym lusterku~~ przeglądając się w lusterku.

spojrzała na dziecko i westchnęła.

Skrzypnęły dzwi w sieniach, a do domu weszła sąsiadka, która trzymała pod czarną chustką okrągłą dużą bułkę.

Dobry deń pozdrowiła sąsiadka stojąc przy dzwiach. Przyniosłam bułkę dla waszej chorej, Niech nie je czarnego chleba , bo może jej zaszkodzic, powiedziała Rejza ~~p~~, którą zwali grubą Rejzą, albo Wyslanichą, i podeszła ~~podchodząc bliżej~~ do posłania , na którym leżała blada jak ściana Pajka.

Jak się czujesz Pajko ?spytała Rejza podając jej bułkę .

Ech lentaj, gdybym zdiął pasa i tak parę razy plecy przełoił, odrazu by wyzdrowiała, Cztery dni temu jak się rozsypała jak zgniła beczka i jeszcze dzisiaj w barłogu leży. a gdy zazula zakuka, gdy przyjdzie wiosna i trza będzie pójść w pole, Pajus dopiero będzie ~~dopiero płótno tkała~~. przędzę snowała, płótno tkała i w domu siedziała

Stepane , tak że nie można obruszyła się gruba Rejza. To to baba , ~~a nie~~ a nie ~~skotyna zwierzyna, urodzić dziecko~~ przyrównając zwierzyna.

Urodzic dziecko, to ciężki kawał roboty. Gdybys widział Stepan , jak moj Awrum skakał koło mnie ~~gdy leżałam w barłogu~~, gdy urodziłam mu bachurka. Pilnował mnie cały tydzień jak oka w głowie. Chuchał, dmuchał muchy odganiał, rosołki mi gotował miód z jajkiem mi ucierał, żeby mi się tylko prędziej wnętrznosci goiły.

Pajka podniosła się trochę, chudą ręką głaskała bułkę leżącą na szarej poduszce.

Diaku tobi Rejzio za bułkę. Jak tylko wyzdrowieję przyniosę ci kawałek płótna na scierkę rzekła cicho przytulając bułkę do piersi.

Po tygodniu Matrona z Borysem poniesli dziecko do chrztu. świaszczenik pokropił noworodka święconą wodą i dał mu na imię Jowhenia. Stiopa zapłacił popu dwa ruble , wypili dwie flaszki samogonu i Pajus wzięła się do swoich codziennych obowiązków.

wstawała ~~o świcie~~ o świcie wiązała troczki ~~pod szyją~~ od koszuli pod szyją, przypinała płótniany fartuch , zakręcała nie czesane włosy na kimbałkę, krzesała z krzesiwa iskrę i dmuchając co sił na hubkę

Maszynopis opowiadania *Narodziny Pajki*, lata 90. Archiwum Wandy Lotter

# Wybór prozy

# Stan małżeński

„Więź”, nr 4, 1983, s. 40–44.

Akurat w tym czasie, kiedy Rejzki szwagier, a Chaski mąż dogorywał, przyjechał Mejłach z Werbcza i powiedział, że znalazł w Sarnach dla niej chłopca. Od jej ojca, Jankla, wytargował niezły posag i ustalił dzień, w którym przywiezie chłopca na oględziny.

Jankł z Małką postanowili, ponieważ ich córka Rejzke już dawno przekroczyła wiek, w którym dziewczęta wychodzą za mąż, w dodatku Rejzke jest najbrzydsza... W biodrach ma nie więcej niż dziesięcioletnia dziewczynka, a że jest bardziej podobna do karliczki niż do normalnej dziewczyny, trzeba jej dać więcej posagu niż młodszym siostrom, które są od niej wyższe i o wiele piękniejsze. Trzeba ją będzie lepiej od reszty córek wyposażyć, nie zważać na nic, aby się tylko chłopcu spodobała, z wyprawą i ślubem nie zwlekać i niech już ten „największy garb usunie się z pleców”.

Starsza córka Chasie była rozżalona.

– Jak to? Jak raz w tym czasie, kiedy mój Mojsze leży w gorączce i wypluwa resztki płuc, a ja wkrótce zostanę nieszczęśliwą wdową, wam w głowie wesela? Jak możecie nawet o tym pomyśleć? Pomóżcie mi lepiej, abym mogła zawieźć chorego do Lwowa do szpitala. On potrzebuje pomocy. A na to potrzebne są pieniądze. Skąd mam je wziąć, skoro daliście mi mniej niż trzecią część, jaką macie zamiar dać Rejzce?

Rodzice kiwali głowami, godzili się z nią, boleli nad jej czarnym losem. Powiedzieli, że rozumieją ją bardzo, lecz czemu ma za to odpowiadać Rejzke, która powinna też nareszcie wyjść za mąż, zwłaszcza że Muszkełe, Chańcie, Rywkełe też już podorastały. Recheł najmłodsza i już też skończyła szesnaście lat. „Muszę je wszystkie powydawać za mąż. A Rojtszyldem nie jestem”.

Całkiem innego zdania niż Chasie była sama Rejzke.

– Dość – powiedziała – spychania mnie w najdalszy kąt... Chasie! Kto ci jest winien, że Mojżesz zachorował na gruźlicę? Przez to, że ty masz gruźlika, ja mam posiwieć panną? Chcę tak samo jak inne dziewczęta mieć męża i dzieci. Dlaczego mam być gorsza od ciebie?

Wśród łez i sprzeczek przygotowywała się Rejzke na pierwsze w życiu spotkanie z kawalerem. Myła głowę w rumianku, przypiekała włosy gorącymi szczypcami, smarowała twarz słodką śmietanką, świeżutkim smalcem, który miał ujędrnić i wygładzić cerę. Do pantofli na bardzo wysokim obcasie włożyła korki, aby ją jeszcze o parę centymetrów podwyższyły. Poszyła sobie wymoszczony watą stanik i specjalny pas na biodra, aby to i tamto korzystniej wyglądało.

W oznaczonym dniu przyjechał. Patrząc na kawalera można było stwierdzić, że faktor był nie lada specjalistą w dopasowywaniu par. Dopasował narzeczonego, jakby go uszył na miarę. Ociupinkę tylko wyższy od Rejzki. Chudziutki, ze skośnymi oczkami patrzącymi jednocześnie na wschód i zachód. Nieco koślawy i chyba w głowie również coś tam nie wszystko było w kupie. Lecz na początku było powiedziane, że na nic nie trzeba zważać, byle tylko Rejzke się spodobał.

Rejzke drżała z zachwytu. Pomyśleć, pierwszy raz w życiu była ośrodkiem zainteresowania. Przyjechał kawaler wyłącznie do niej, podał jej rękę, potem poszli na rozmowę bez świadków. Siedząc w sypialni rodziców przy stole, dowiedziała się od niego, że jest stolarzem, że uczył się w szkole rzemieślniczej, że jest sierotą, że wychował się w sierocińcu, że nigdy nie widział swoich rodziców.





Rejzke słuchała i wprost nie wierzyła, że obok niej siedzi mężczyzna i opowiada jej o sobie, a jak Pan Bóg dopomoże, będzie z nim zaręczona i jak każda inna będzie chodziła ze swoim narzeczonym pod rękę.

Młodzi wyszli z alkierza rozpromienieni. Wszystko ułożyło się pomyślnie i jeszcze tego samego dnia odbyły się zaręczyny, tak że Małke mogła być pewna, że Bóg rzeczywiście kojarzy pary siedem dni przed urodzeniem. Nie tylko Małke, wszyscy w okolicy mogli potwierdzić, że byli do siebie podobni wzrostem, ruchami, jakby ich jedna i ta sama matka urodziła.

Ponieważ świat już trochę się kołysał, a wiatr przynosił różne wieści, że w Berlinie smażą się plany wojenne, trzeba było nie zwlekać i szybko poprowadzić Rejzke do ślubu. Niech jej Jidł nakryje głowę. Niech wszystko, choć skromnie, ale odbędzie się jak trzeba, pokąd świat stoi w miejscu.

Wyprawę przygotowano bardzo szybko. Zresztą Rejzke oprócz żelaznego kapitału, który leżał złożony wyłącznie dla niej, a było tego chyba z kilkaset dolarów, przysłanych przez dobrą ciocię Tojbe z Ameryki – miała swoich parę złotych uciułanych szyciem zapasek, spódnic i katanek dla wiejskich bab. W ostatnich tygodniach Rejzke przestała szyć dla zarobku. Szyła własne... Poszwy, poszewki, prześcieradła, obrusy, bieliznę, którą tylko jej ręce potrafiły wymościć watą. Dzień i noc – zapominając o bożym świecie, siedziała Rejzke nad maszyną i szyła wszystko, co będzie niezbędne w szczęśliwej przyszłości, na którą z taką tęsknotą czekała, przez tyle smutnych dni.

Gdy wszystko już było do ślubu gotowe, przyjechał narzeczony i wzięli ślub, i jak wszystkie małżeństwa na całym świecie, które kładą się spać, Rejzke ze swoim mężem również poszli do alkierza, aby położyć się do łóżka, na którym leżały ze świeżego pierza nowe poduchy w adamaszkowych poszewkach, skropionych wodą kwiatową, aby pierwsza noc z mężem była przyjemna i pachnąca, aby na całe życie pozostała w pamięci. Z wielką ciekawością i z jakąś bolesną niecierpliwością czekała na tę poślubną noc, w której miała przeżyć wymarzoną i dotychczas nieznaną miłość. Widziała często, jak chłopaki tulą do siebie dziewczęta. Chodzą razem – trzymając się za ręce – zaglądając sobie w oczy. Całują się... Jej nigdy żaden chłopak nie pocałował ani nawet na nią nie spojrzał. Młodzi chłopcy przynosili spodnie do szycia, żartowali z młodszą siostrą Rachelą. Szczypali ją za ramię i za ledwie odznaczające się piersi. Ale choć przyszli do niej, traktowali ją obojętnie. Żaden nie patrzył na nią inaczej niż na maszynę, na której szyła. W nocy, leżąc na swoim łóżku, w skrytości marzyła, aby choć byle jaki chłopak uszczypnął ja w ramię. Chciała wiedzieć, co czuje dziewczyna, gdy męska dłoń dotyka jej ciała, gdy jego usta dotykają jej ust. Ale wszystkie dociekania do lat trzydziestu zostawały w sferze marzeń i mąciły spokój ducha. Gdy wstawała, czuła się upokorzona i zawstydzona, bała się nawet spojrzeć na domowników, zdawało się jej, że wiedzą, czym jej myśli są zajęte, przemywała szybko oczy, przygładziwszy byle jak włosy siadała przy maszynie i turkotem głuszyła burzę, która rozpętała się w jej głowie.

I oto kiedy się już niczego w życiu oprócz turkotu maszyny nie spodziewała, przyszedł najszczęśliwszy dzień – zaręczyła się. Należą do niej męskie ręce. Jego usta będą jej własnością. Aby tylko przez tych kilka tygodni nic złego nie zaszło. Szyjąc swoją wyprawę modliła się, aby narzeczony był zdrów i tęsknił za nią, i w szczęśliwej godzinie odbył się ślub. Każdą myśl poświęcała narzeczonemu. Była przekonana, że dopiero właściwie odżyła. Do tego czasu nie była żyjącą istotą,

była tylko kółkiem od maszyny, które się kręciło i kręciło. I oto przyszła poślubna noc. Rejzke spodziewała się, że Jidł nie będzie już skrępowany, nie będzie siedział z daleka i przyglądał się nieśmiało.

Jidł przed ślubem był nieskory do pieszczot, prawie jej nie całował, nie zachowywał się jak narzeczony, który ma spisany kontrakt zaręczynowy. Na przykład Awrum z Gutką. Tamci się wiecznie lizali. Szli drogą, trzymając się za ręce, prawie ustami przy ustach. Nikt nie miał im za złe, nikt się tym nie gorszył, każdy wiedział, że są zaręczeni i mają prawo się całować na oczach całej wsi. Rejzke była zaręczona i również chciała być obcałowywana jak Gutka, lecz Jidł był sierotą, wychował się w domu sierot, nie był oblatany w tych sprawach, jak Awrum, który mieszkał z Gutką po sąsiedzku i chodził do niej od nie wiadomo jakiego czasu. „Gdy się pobierzemy, gdy Jidł się oswoi i upewni, że jesteśmy złączeni ze sobą jedną duszą, przestanie się krępować, będzie jeszcze sto razy czulszy i lepszy... niż ten cały Awrum" – uspokajała sama siebie Rejzke.

Minęła pierwsza noc poślubna, druga, trzecia, piąta. Jidł idzie z nią zaraz po kolacji do sypialni. Siada na taborecie, ziewając, zdejmuje buty, spodnie, patrzy w okno, przygląda się gwiazdom, wzdycha. Powoli odmawia kryszme [pacierz przed snem] i ociągając się, aby te czynności trwały jak najdłużej, kładzie się do łóżka, odwraca do ściany i zasypia. Rejzke nie zasypia, leży drżąca, po pewnym czasie kładzie ostrożnie rękę na jego piersi, jakby chciała wybadać, co dzieje się w sercu jej pierwszego w życiu mężczyzny, który jest według praw bożych jej mężem. Co się z nim dzieje, że się nie interesuje, czy dostał dziewicę? Mijały tygodnie, a Rejzke wciąż była dziewicą. Co noc szła z mężem do alkierza i powtarzało się to samo co pierwszej nocy. Rejzke biła się z myślami i gryzła. Szperając po wszystkich kobiecych modlitewnikach, wynajdowała specjalne modlitwy na płodność. Modliła się żarliwie, błagała wszystkich świętych, aby dopomogli, by przestała być taką przeklętą dziewicą.

W tym czasie zdarzyło się kilka niefortunnych zdarzeń w rodzinie. Ciocia Lija, do której Rejzke była bardzo przywiązana, wyprowadziła się daleko do miasta. Szesnastoletnia Rachiła, która była najwyższa i najpiękniejsza, zaczęła zęby szczerzyć do Ssaka [?], który nie był przecież Żydem. Ba, gdyby tylko szczerzyła zęby – wybiegała do niego na pole, gdzie na nią czekał. Szwagier wypluwał resztki płuc, jego dni były policzone. Dogorywał. Chasie zapłakana, z rozwianym włosem, przybiegała z pretensjami, z kłótnią, że rodzice ją skrzywdzili, wypchali z domu z niczym i żadnej pomocy teraz dać nie chcą. Co teraz będzie robiła sama w tym opustoszałym domu?

– Ty, Rejzke, choć byłaś podobna do małpy, dostałaś zdrowego chłopca, bo dali ci największy posag, ja nie dostałam nawet trzeciej części, dlatego wyszłam za wdowca, a w dodatku chorego. Niedługo będziesz miała dziecko, a w całym domu zacuchnie pieluchami.

Tylko matka przyglądała się z niepokojem. Zauważyła, że młoda mężatka, jak obecnie nazywali ją domownicy, jest smutna. Próbowała z nią porozmawiać, dowiedzieć się, co Rejzke dolega, dlaczego znowu siedzi przy maszynie jak ciemna chmura gradowa? Rejzke dławiła swoją troskę w sobie. Miała wrażenie, że los zadrwił z niej boleśnie, że całkowicie się zawiodła, że jej długoletnie marzenia obróciły się w popiół. Złościła się na męża. Do gardła cisnęły się jej słowa, których nie chciała wypowiedzieć. Bała się, aby Jidł nie spakował kuferka i nie uciekł z powrotem do sierocińca. „Kogo się poradzić, aby nie być wyszydzoną? Chyba jego





samego. Muszę się uzbroić w odwagę i zapytać – co myśli Jidł? Niech wytłumaczy, co ma znaczyć ta wstrzemięźliwość? Skoro nie wiedział, jakie ma obowiązki wobec małżonki, po co się żenił?". Ale nim co, poszła do Rywy, którą obszywała i z którą trochę się przyjaźniła. Niewiele ją Rywa rozumiała. Lekki uśmiech błądził na jej wargach, gdy Rejzke załamującym się głosem opowiadała o swoim olbrzymim nieszczęściu.

Widok na rynek i cerkiew w Stepaniu, ok. 1920 r. Zbiory Biblioteki Narodowej – www.polona.pl

Skąd się mogła Rywa na tym rozeznać? Skoro tyle wycierpiała, że jej Pinie zbyt prędko pozbawił ją dziewictwa, lecz mówić o tym w tej chwili? Szukała tylko w głowie, co było powiedzieć nieszczęśliwej Rejzke, aby ją trochę pocieszyć. Zastanawiając się, cały czas patrzyła na Rejzke, która jeszcze bardziej poczerniała, a jej oczy jeszcze głębiej się zanurzyły i paliły niczym ognie w oczodołach.

– Powinnaś z nim sama porozmawiać – doradziła po dłuższym namyśle Rywa. – Do obcych z tym się nie zwracaj. Będą się z ciebie nabijać, kpić, twoim kosztem czas będą sobie umilali.

Tej samej jeszcze nocy, gdy się tylko Rejzke położyła, przytuliła się od razu do męża i ustami prawie przy jego ustach szepnęła: – Jidł, chciałam cię o coś zapytać, ale się wstydzę.

– Pytaj – wyplątał swoje usta z jej warg i odsunął się kapinkę do ściany.

– Jidł, tylko się nie pogniewaj – prosiła, uśmiechając się nieśmiało, a jej serce mało nie wyskoczyło, tak skakało pod twardziutką powłoką.

Gdy skończyła, Jidł o mało nie wyskoczył z łóżka, tak się zdziwił i rozzłościł.

– Jak to? Ty się domagasz takiej rzeczy, w czasie, gdy tylko patrzeć, jak wybuchnie wojna? A mnie na pewno w pierwszej turze

zabiorą na front. Chcesz się nosić z brzuchem?... Proszę bardzo... Możesz nawet urodzić sierotę... Ja ją oszczędzam, lituję się, aby się nie męczyła, aby miała na głowie tylko siebie... A ona ma pretensje... Na twoją odpowiedzialność... Niech będzie, jak chcesz...

Od tej nocy Rejzke już nie miała powodu do niepokoju, a gdy wybuchła wojna, mieszkała ze swoim mężem w Kozaczkowej starej chatce, szyła na maszynie i nosiła swój błogosławiony stan, a Jidł siedział przy oknie i wyglądał sołtysa z wezwaniem do wojska.

Od samego ślubu jeszcze palcem nie ruszył, choć twierdził, że jest stolarzem, lecz żadnych narzędzi, nawet małego hebla ze sobą nie przywiózł. W kuferku miał tylko modlitewnik, dwie koszule, kortową marynarkę, parę skarpet. To był jego cały majątek. Po co narzędzia? Twierdził: pójdzie na front i zginie od kuli lub granatu czy innej jakiejś broni.

Zrozpaczona Rejzke siedziała nad maszyną, szyła i szyła. Miała teraz swego mężczyznę i swój brzuch, od którego Jidł, jej mąż, chciał ją uchronić. Więc musiała teraz w dwójnasób pracować, aby zapracować na siebie, na niego i zrobić jakiś zapas dla dziecka, które na pewno urodzi się sierotą.

Gdy wszyscy wokół na odgłos samolotów zadzierali głowy i ze zgrozą przyglądali się czarnym krzyżom na skrzydłach, Rejzke siedziała nad maszyną. Szyła i nabożnie, ze strachem, słuchała, jak Jidł monotonnym głosem jej klarował:

– Rejzke, słyszysz? Z takiego samolotu spadnie na mnie na froncie bomba. Rozerwie mnie na kawałki. Głowa będzie leżała tam, tułów tam, a ręce i nogi gdzieś dalej, może nawet na dachu – pokazywał palcem... Impet takiej bomby ma taką siłę, że może szurnąć człowieka, a ten rozleci się w drobne kawałki.

Rejzke łopotała opuchniętymi od łez powiekami i nie śmiała mężowi przerwać. Wierzyła, że to, co Jidł, jej mąż, mówi, musi być prawdą. Gdyby była wiedziała, co ją czeka, zostałaby lepiej starą panną. Martwiłaby się wtedy tylko za siebie, a teraz musi za niego, za dziecko, które wierzga pod piersiami...

Na ostatek doszła do przekonania, że ten stan małżeński wcale nie jest taki ciekawy, nawet te pocałunki nie są takie słodkie, jak sobie wyobrażała.





# Fańcie

– Tate, czemu nie uważasz, zamyśliłeś się? Mógłbym cię ograć – powiedział Sender, siedząc z ojcem przy stole i grając w warcaby.

– E, już mi się nie chce grać. Jestem zmęczony. Dawniej nie było czasu na takie puste zabawy, maszyny turkotały do północy, baby tłoczyły się przy wałkach, człowiek wiedział, że żyje, nie miał czasu na żadne gry. Jestem zmęczony. Pójdę spać. Spójrz no, Sender, która godzina – szturchnął syna w plecy, ziewając.

– Chyba jest już bardzo późno, skoro agitatorsze wróciła – odezwała się Zełde, patrząc na Fańcie z nienawiścią.

– Co ci obchodzi ta agitatorsza? Co ci obchodzi di maszymejdeste? Dla mnie mogłaby agitować do białego dnia. Co ona mi obchodzi – mówił nieszczerze Jankł. Było mu nawet szkoda Fańcie, która stała przy piecu, jak zaszczuty pies.

– A mnie obchodzi – krzyknęła głośno Zełde. – Mówiła mi dzisiaj Ite, że ona – pokazała palcem Fańcie – ma kochanka, w dodatku a szejgec. Siedziała z nim, głowa przy głowie, prawie włazili na siebie. Może się też całowali. Ite cały czas oglądała ten cyrk przez szparę. Widziała, co się na tej poczcie robiło. Siedziała z szejgecem głowa przy głowie. Całowali się na pewno – powtórzyła zjadliwie.

Sender milczał, ustawiał pionki i rozrzucał je z powrotem. Na jego twarzy malowało się podniecenie i wewnętrzna walka. W tej chwili sam nie wiedział, co czuje, wszystko w nim się gotowało. To było ponad jego siły. Nie mógł pojąć, dlaczego Fańcie tak go krzywdzi. Bał się podnieść oczu znad pionków, bał się spojrzeć w tę stronę, gdzie stała Fańcie. Miał żal do matki. „Czemu to mówi? Czemu opowiada? Kto ją o to prosił? Choć się zgodził spać oddzielnie, miał nadzieję, że Fańcie go kiedyś przeprosi i znowu będą spali we wspólnej sypialni. Chciał Fańcie pozyskać spokojem. Po każdej burzy następuje cisza, trzeba tylko przeczekać, myślał Sender, przesuwając dalej pionki. Cóż ona robi takiego, że moja matka na nią pluje i błotem obrzuca? Gdyby Fańcie powiedziała jedno słowo, że chce ze mną stąd wyjechać, rzuciłbym wszystko i wyjechałbym z nią do jakiegoś miasta, stanąłbym do każdej roboty, gdyby tylko chciała mnie posłuchać". Ukradkiem spojrzał na Fańcie – zauważył, że bardzo schudła, że zapadły głęboko oczy, twarzyczka zmalała, chyba bardzo cierpi. „A ja słucham matki. Nie mogę się wyrwać spod jej wpływu. Do śmierci będzie mnie trzymała w szponach". Spojrzał na matkę, gniew zaczął podchodzić mu do gardła i nie odzywając się do nikogo, rąbnął pięścią w stół, że aż pionki z łoskotem pospadały.

– Nareszcie! – krzyknęła Zełde. – Jakoś zakipiała ta wodnista krew. Gdybyś miał choć o tyle żółci co pod ten pazur, wyparzyłbyś jej oczy, niechby Szejge ją ślepą na wieczorynki prowadził. Co, nie mówiłam, co, nie powiadałam, jak nie ostrzegałam? To wszystko dla mego syna było głupie. „Co w tym złego, że młoda kobieta chce pracować. Takie czasy" – mówił jołop. Bronił, aż go wygoniła z jego własnej sypialni. Wziął jołop poduszczynę i poszedł spać do stajni, a jej zostawił wygodne łóżko. Och, ty nieoblizana szmaciana kukło. Do pracy ona poszła. Poszła sobie buhaja poszukać. Zobacz, jak schudła, widać, że ciężki jest ten rosyjski kuczer.

Nagle coś łomotnęło. Sender zobaczył swoją matkę, jakby w objęciach Fańcie, widział, jak dłonie Fańcie szarpią jego matkę za włosy. Z początku nie zorientował się, co się stało. Zatopiony we własnych myślach, przybity ciężkim bólem, nie zwrócił od razu uwagi na kłótnię.

– Oddaj mi moje dziecko! Oddaj mi moje dziecko! – darła się Fańcie z całych sił. – Nie masz prawa do mego dziecka – wrzeszczała Fańcie histerycznie. – Ty przeklęta wiedźmo, zabiję cię, gdy się jeszcze raz dotkniesz mego syna. Ty jadowity wężu, coś mnie uczyła, że mam jeść barszcz z Iwanem z jednej miski, że mam się przystosować do wszystkiego, abym tylko pomogła nabijać kabzę twemu synowi. Nie wahałaś się, żmijo, tańczyć, śpiewać, kląć, robić wszystko, aby tylko więcej wyciągnąć. Nie było dla ciebie złej drogi do celu. Czego też ty za twego parszywego życia nie robiłaś? Spójrz choć raz twym parszywym okiem wokół siebie i policz, ile łez twoja rodzina przez ciebie wylała. Co za ogień w tobie siedzi? Kiedy się nareszcie spalisz? Własną żółcią otrujesz, własną trucizną – bluźniła Fańcie ochrypłym głosem.

– Gewałt, ratunku! Ratunku! – gwałtowała Zełde, że aż jej oczy na wierzch wylazły. – Patrzcie, chciała mnie zabić, udusić. Do mego gardła się dobierała – krzyczała, trzymając się rozczapierzonymi palcami za szyję. – Tateniu, ratuj mnie od tej bandytki, od tej rozpustnej rozbójniczki. Przyślij, Tateniu, nagłą śmierć, aby ją stąd wyniosła. Oczyść, Tateniu, mój dom od tej trefnej awanturnicy, abym mogła umrzeć własną śmiercią, bo ta bandytka mnie zamorduje, wykończy – wyrywając sobie włosy z głowy, wrzeszczała dzikim wrzaskiem.

Sender jak kleszczami trzymał dłonie Fańcie, które z trudem wyplątał z matczynej czupryny i szamocząc się z nią, popychał w stronę sypialni.

Fańcie z podrapaną twarzą, z której ciekły strużki krwi, wyglądała strasznie. Coś w niej szalało. Kipiąca krew buszowała w żyłach, tłukła w skroniach, zmuszając serce do szalonego bicia. Czuła, jak rozsadza ją taka złość, że jest skłonna nawet do zabójstwa.

– Puść mnie, Sender. Puść mnie, błagam. Niech już raz będzie koniec ze mną, z nią, z wami. Niech się już skończy to plugawe życie – szamotała się jak zwierz w potrzasku.

– Zamknij mordę! – krzyknął pierwszy raz Sender, zaciskając mocniej dłonie na jej przegubach. – Oszalałaś, Fańcie, trzeba cię związać. Muszę cię związać, nałożyć ci kaftan bezpieczeństwa. Kto to widział rzucać się na moją matkę z pięściami do bicia. Gdzie się tego nauczyłaś? – pytał, pokrzykując cicho.

– U was! U was! – rzuciła się wściekle z zębami do jego rąk i usiłowała ugryźć. Chciała się na gwałt wyrwać i jeszcze raz podejść do Zełdy i choć jeszcze jeden raz uderzyć w ten plugawy pysk, który ją do takiego stanu doprowadził.

Nagle coś trzasnęło ją po twarzy i zamroczyło. To Sender, gdy poczuł jej ostre zęby, uderzył ją w policzek na odlew.

Stary Jankiel wrócił z alkierza, gdzie zostawił krzyczące wniebogłosy dziecko, otworzył drzwi do jej pokoju i pomógł Senderowi wepchać ją tam i zamknąć drzwi na klucz.

Rzuciła się na łóżko – gryzła poduszkę z wściekłości. Nie była w stanie pojąć, co się stało. Skąd się wzięła ta siła, co pchała ją niemal do zbrodni. Policzek, w który dostała, palił jak ogniem. „Co się stało? Dlaczego rzuciłam się na starą? Czy oszalałam?". Nie pamiętała, co było, tylko zadrapania bolały.

Dopiero po jakichś piętnastu minutach zaczęła wracać świadomość. Przypomniała sobie, co się działo tego dnia od samego ranka, aż krok za krokiem doszła do fatalnego zdarzenia i zaczęła spazmować. Płacząc raz głośniej, raz ciszej, poczuła jakby ulgę, może nie ulgę, przeżywała tylko od nowa to dobre i to złe. Tyle szczęścia i tyle nieszczęścia w jednym dniu, jakby dobro i zło kroczyło zgodnie obok siebie. Dotknęła ust, które przed kilku godzinami były całowane i palący policzek, który bolał, jakby w jednym dniu otarła się o życie i śmierć.

„Jedyny mój, kochaj mnie. Jedynie twoja gorąca miłość może mnie uratować, uchronić od zła, abym nie zrobiła sobie lub komuś czegoś złego. Kochany, twój pocałunek, który czuję na swych ustach koi ból. Jedyny mój, obrazili mnie ciężko, nazwali kurwą. Czyś widział, mój najdroższy, coś we mnie niegodziwego? Chcę jedynie żyć. Kochać i być kochana. Tęsknię za pieszczotami, za ustami, których bym pragnęła".

W dużym pokoju był hałas, Zełde z Janklem kłócili się ze sobą. Zełde bezustannie klęła i wołała. Wzywała starego koniokrada, który umarł przed trzydziestu laty, a którego wciąż obdarzała niesłabnącym szacunkiem i miłością.

– Tateniu Lejbisz – zawodziła przejmującym głosem jak zimową nocą wygłodniały wilk.

Jankieł coś do niej gadał, krzyczał, że po co zaczynała.

– Stała pod piecem, niechby stała do sądnego dnia, niechby kamieniała, nawet stojąc, zdechła. Po co ją było ruszać? Powtarzać, co Ite mówiła. Niech Ite swojej córki pilnuje, a nie wtrąca się w nie swoje sprawy, skoro Pan Bóg chciał nas ukarać, musimy tę karę przyjąć i milczeć. Z twoim gadaniem narobiłaś sobie kłopotu. Jutro będziesz miała wszystkich przeciwko sobie – krzyczał Jankiel. – Dawniej Zełde byłaś mądra, miałaś głowę, mogłem na ciebie liczyć. Byłem pewny, że zawsze postąpisz jak trzeba, będziesz ostrożna, gdy czas będzie wymagał ostrożności, a teraz widzę, że tracisz głowę i zaczynasz się wygłupiać, gdy trzeba milczeniem padlinę z daleka omijać. Dzięki Bogu, że znalazła sobie drugiego, że chce się z Sendrem rozejść. Najważniejsze, że dotychczas wychowaliśmy wnuka na koszernego Żyda, teraz odbierze nam dziecko, na pewno przez ciebie odbierze i odda do ochronki, i wychowają go na bandytę. Nasza krew, krew moich ojców pójdzie w paskudne ręce. Co zrobisz, Zełde, co zrobisz? Czemu, Zełde, nie pohamowałaś swojego paskudnego języka? Czemu, Zełde, ha? Pytam cię, Zełde, czemu?

– Milcz, Jankł niech cię ogień spali. Niech cię cholera udusi. Ciebie. Ją. Nawet tę kruszynę, za którą gotowa byłam oddać życie. Teraz może sobie kurwę zabrać ten cimes, będę miała spokój. Nie chcę od takiej ladacznicy wnuka – tłukła Zełde pięścią w stół.

– Zełde, czemu klniesz? Czemu się nie hamujesz? Twoja złość doprowadzi nas do większego nieszczęścia. Był czas, że można było klątwami kogoś nastraszyć, teraz trzeba się lepiej przyczaić jak zając pod krzakiem i zło przeczekać. Chcesz, żeby nas wsadzili do więzienia? Powiedz, chcesz?

Zełde przestała kląć, płakała tylko i skarżyła się, jakby czytała proszalną modlitwę.

– Tateniu w niebie, wybacz mi. Chciałam, aby syn mój ożenił się z dziewczyną, która ma w swym rodzie cadyków i rabinów. Chciałam, abyś się nie wstydził swoich wnuków, abyś się mógł z nimi chwalić nawet w niebie. Myślałam, Tateniu, że mamy chwała Bogu wszystko, brak nam tylko „Jiches" [dobrego rodu]. Sypałam pieniędzmi jak piachem, żeby zdobyć to, czego nam brakowało. Oj, zawiodłam się Tateniu, zawiodłam, pomyliłam się. Oj, gorzko mi, gorzko – kiwała Zełde głową, cicho popłakując.

# Sześć córek

„Fołks-Sztyme" 1990, nr 13, s. 8–9 i nr 14, s. 8.

Ostatnio dla Jojsefke nastały lepsze czasy. Już matka nie krzyczała na niego jak dawniej. Ojciec również przestał się wydzierać. Zaczęli go traktować, jak się traktuje prawdziwego gospodarza, który zostanie spadkobiercą całego gospodarstwa. Gdy kazali mu coś robić, nie rozkazywali krzykiem jak poprzednio, tylko mówili spokojnym głosem. Naradzali się nawet z nim, co i jak mają robić. Komu pożyczyć pieniądze, od kogo odebrać i tak dalej. Zaplanowali jeszcze w tym roku kupić od Konstantego, wnuka Tretiakowej, dwa hektary ziemi i kawał łąki, będącej, jak wiedzieli, najlepszą lokatą kapitału, której ani wojna, ani pożar, ani złodziej nie ukradnie.

Zabezpieczyć się tylko dobrymi dokumentami, wtedy będzie gwarancja, że pieniądze są dobrze ulokowane. Planowali również kupić maszynę parową, żeby olejarnia, gręplarnia i reszta maszyn, jak kaszarnia, sieczkarnia, pracowały parą, a nie jak dotychczas koniem i kieratem. Koń i kierat to już przestarzały system.

– Musiały się unowocześnić – twierdził Jankieł – stukając ołówkiem w stół...

Zbliżały się jesienne święta, żona Jankla nakupiła dużo kur, powsadzała je do kojca i dokarmiała kukurydzą i różnym ziarnem, żeby się utuczyły na świąteczny złoty rosół. Z miasta przywiozła worek czteronulowej mąki i postawiła w spiżarni, otrzepując fartuch z białego kurzu, powiedziała do synowej:

– Ja nie lubię chodzić co czwartek do sklepu, jak te robotrusy, jak Chana, czy moja siostra Basia, po dwa kilo mąki na borg, jak na przykład twój tatuś. Po to haruję od świtu do nocy, żebym nie musiała kupować mąki, czy cukru na deka. Postawiłam cały worek w spiżarni, niech stoi, dorzucę jeszcze pud cukru, duże pudło herbaty, dwa pudy soli i zarżniemy do tego dwadzieścia gęsi na smalec ze skwarkami, a do tego jeszcze Jojsefke dorzuci od czasu do czasu do szojcheta cielaka, czy barana. To się bardzo opłaci. Zadek Iwan Moroz zabierze, skórę garbarnia, z dziesięć kilogramów koszernego mięsa sprzeda się miejscowym Żydom, a reszta nie będzie kosztowała ani feniga, a my będziemy jedli przez całą zimę tłuste mięso, że aż nam będzie tłuszcz po brodach spływał.

Lato dobiegało końca. Nastały mgliste poranki. Stada bocianów krążyły po niebie. Klucze żurawi płaczliwie żegnały naszą ziemię, lecąc w dalekie kraje...

Na wsi pachniało zaoraną ziemią i grzybami. Mołodyce biegły do dnia do lasu, w którym było pełno borowików, maślaków i innych różnorodnych grzybów.

Żona Jojsefki była w ostatnich miesiącach ciąży. Nogi jej opuchły jak banie. Czuła się bardzo źle, zwłaszcza noce były koszmarne. Było jej bardzo gorąco i brakło powietrza, a potomek Łabunisza walił po brzuchu jak prawdziwy pięściarz. Jej świekra wyszukała już wiejską babkę. Miała nią być Łazarenkowa Chryścia.

Na zadatek poszyła jej satynową spódnicę i obiecała, że gdy jej wnuk będzie płci męskiej, to znaczy gdy będzie kadyszem, doda jej jeszcze czerwoną zapaskę i chustkę w kwiaty.

Od tego dnia Chryścia traktowała synową Sosi jak swoją własność. Przychodziła do niej niemalże codziennie. Kazała ciężarnej kłaść się do łóżka, robiła nad nią różne czary. Dmuchała ustami wokół jej głowy, kazała, by ciężarna podała kalesony męża i koniecznie, żeby były noszone i brudne. Owiewała nimi brzuch ciężarnej, a rąbkami własnej koszuli wycierała jej czoło, nos i usta. żeby, jak mówiła:

– Nieczysty nie miał do ciebie, duszko, dostępu. Nieczysty tylko czeka, żeby wcisnąć się do środka. Widziałaś, duszko, ile kalek się rodzi? Jedno ma nóżki skręcone w kabłąk, drugie zajęczą wargę, trzecie zamiast głowy banię z wodą, to wszystko robota rogatego, ale ty się nie bój duszko, bądź pewna, tam gdzie Chryścia stoi na czatach, tam już żaden czort dostępu nie ma. Zobaczysz, duszko, urodzisz dzieciątko zdrowiutkie, gładziutkie, z kędziorkami. Śliczniutkie jak paniczyk. Wszystkie czary, wszystkie gusła uczyniłam. Wstawałam o północy i robiłam wszystko, co trzeba, żeby ci się nic złego nie przydarzyło – mówiła Chryścia, plując na boki.

Koszulę Chryści i brudne gacie męża czuć było tym samym nieprzyjemnym zapachem, co doprowadzało ciężarną niemalże do mdłości, lecz nie było siły, żeby się z tego wykręcić, gdyż sama wierzyła, że te czary mają jednak wielką moc...

A gdy Chryścia już swe czary skończyła, gdy ciężarna już przeszła wszystkie guślarskie tortury, a gacie jej męża wróciły do kosza z brudną bielizną, młoda kobieta już odprężona leżała na łóżku i rozmawiała z Chryścią, którą nawet lubiła.

Chryścia, wysoka, potężna baba, o rumianych policzkach i wesołych mądrych oczach, wyglądająca na lat pięćdziesiąt, była istną skarbnicą różnych porad i gadek. Opowiadała, co się robi, żeby mąż kochał do nieprzytomności, żeby za drugimi babami nie latał. Jak zmusić kawalera do żeniaczki, jak pozbyć się rywalki. Wystarczy nabrać trochę piasku spod jej stóp i o północy rozsypać na rozstajne drogi, wtedy jak się „sopernica" [rywalka] położy, to już nigdy nie wstanie.

– Ale ja mam Boga w duszy. Służę tylko ludziom radą i pomocą, a złymi sprawami zajmować się nie lubię. O, lubczyku podsypać komuś, to nie grzech. Co innego nasłać na kogoś chorobę...

Pomimo Chryści czarów i różnych zaklęć, ciężarna czuła się coraz gorzej. Nie mogła się nachylić ani zapiąć pantofli. Ze wszystkim musiała się zwracać do męża, którego nienawidziła lub do świekry, której też nie lubiła.

Jeść też nic nie mogła, tylko piła i piła, jakby w brzuchu nie nosiła dziecka, tylko potworną jakąś rybę, która potrzebowała mnóstwo wody. Rozrósł się ten Łabuniszowski potomek, aż rozsadził jej brzuch wszerz i wzwyż. Dźwigała przed sobą istną górę...

Spotkała ją kiedyś czarna Chana, ciotka Jojsefki, z którą ciężarna była skoligacona różnymi koligacjami przez świekra, który był czarnej Chany rodzonym bratem i przez dawne dzieje, kiedy jej brat Fiszke smalił do niej cholewki i jeszcze przez to, że była jej nauczycielką. Uczyła ją szyć kaftaniki dla młodych Ukrainek i pięknie obszywane sutaszem i wstążkami spódnice i zapaski, lecz nic z tego nie wyszło, gdyż Blimełe nie miała daru ani zdolności do szycia, choć wiedziała, że powinna nauczyć się tego zawodu, żeby mogła co nie bądź zarobić na swoje utrzymanie.

Otóż czarna Chana, jako doświadczona matka, która urodziła kilkoro dzieci, powiedziała jej, że musi chodzić na długie spacery. Musi się zginać, gimnastykować, słowem pracować.

– Wiesz, moja droga, dlaczego młode Ukrainki lekko rodzą? Bo do ostatniej chwili ziemię kopią, żyto żną, wodę noszą, ciężko pracują. Pamiętasz, Blimełe, Marię Czapelską? Nie mogła wcale urodzić, a wiesz, moja kochana, dlaczego? Bo tłusto jadła i do tego nic nie robiła... Noworodek leżał w smalcu jak w pierzynie i nie mógł się wcale wydostać na świat... Och, Boże, co się wtedy dzia-

ło? Lekarze kleszczami dziecko po kawałku wyciągnęli, a Maria cały tydzień ze śmiercią walczyła.

Owszem, Blimełe pamiętała, że cała wieś o niczym innym wtedy nie mówiła, tylko o Czapelskiej porodzie, który trwał bardzo długo. Czarna Chana dała ciężarnej jeszcze kilka wskazówek i poleciła jej swoją babkę Ciprę, która według niej ma więcej wiedzy w tej dziedzinie niż najlepszy lekarz.

Blimełe podziękowała i rzekła:

– Moja świekra już babcię Chryścię zamówiła, która przychodzi do mnie prawie codziennie i czyni nad moim brzuchem różne gusła.

– Chryścia – żachnęła się czarna Chana. – Tfu! – plunęła niemal ze złością. – Wygoń ją w diabły z jej gusłami, z jej czarami. Ty tylko słuchaj swojej świekry. Ta diablica cię ugrobi... Przysięgam ci na Boga, że cię ugrobi... Ty słuchaj lepiej mnie. Jestem przecież po mężu twoją ciotką. Poza tym i bez tego czuję do ciebie sympatię, miałam przecież być twoją bratową, pamiętasz? Lecz Bóg w niebie chciał inaczej. Nie mam pretensji do twego brata, że mnie puścił kantem. Widocznie tak musiało być. Myślę, że nie byliśmy dla siebie przeznaczeni, lecz to wcale nie przeszkadza, że cię lubię, że mam cię za krewną, przecież nią jesteś. Jojsefke jest moim bratankiem. No nie? – zaśmiała się czarna Chana, odrzucając głowę do tyłu.

Przed odejściem złapała ciężarną za rękę i przyciągnęła do siebie i szepnęła jej do ucha:

– Pamiętaj, Blimełe, gdy z boską pomocą urodzi ci się syn, musisz mnie zaprosić na chrzciny. Chcę koniecznie podać twego syna do obrzezania. Musisz to dla mnie zrobić, choćby nawet twoja świekra pękła ze złości – machała palcem tuż przed nosem ciężarnej. – Jestem pewna, gdy twoja świekra zobaczy mnie w swoim domu, a gdy jej oświadczę, że będę chrzestną matką jej wnuka, od razu dostanie ataku serca lub zrobi to samo, co jej córka... otruje się. Mam nawet butelkę z trucizną. Mogę jej odstąpić, żeby miała pod ręką – powiedziała, śmiejąc się głośno, że aż kok jej się rozwiązał i fala czarnych włosów rozsypała się po plecach. – Przyjdź kiedyś do mnie – zaprosiła ją czarna Chana nie przestając się uśmiechać. – Naopowiadam ci różnych historii, dopiero się dowiesz, jaka jest twoja świekra... Nauczę cię, jak masz z nią postępować, żebyś mogła jakoś z nią wytrzymać – mrugnęła Chana wypukłym czarnym okiem.

„Wszyscy myślą, że jest mi u teściowej źle – pomyślała z goryczą Blimełe. – Świekra wcale nie jest taka zła... Mnie jest źle z innego powodu, lecz czy mogę każdemu mówić, co mi dolega?".

Czarna Chana odeszła kawałek i stanąwszy, zawołała: „Pamiętaj Blimełe, ja podaję twego syna do chrztu" – machnęła do niej ręką i przykrywszy kraciastą chustą z długimi frędzlami kosz, który trzymała w ręku, kołysząc biodrami odeszła.

Młoda kobieta skierowała się w stronę swego rodzinnego, starego domu, czyli poszła w innym kierunku.

Zeszła wygonem w dół, przez który pędzono bydło do wodopoju i na pastwiska. Dwie rozwidlone drogi ogrodzone z dwóch stron płotami, ciągnącymi się aż do rzeki, płynącej szerokim pasem obok łąk, przy których rosły sitowia i wysokie łopiany zwane trującym lulkiem i bujny piołun. Otóż ten bujny piołun ma szerokie zastosowanie, służył do wypłaszania pcheł. Prawdopodobnie pchły nie znosiły jego górskiego zapachu, gdy się go podłożyło w łóżku pod prześcieradłem, można było spokojnie spać przez całą noc, a pchły przenosiły się wtedy do kudłatego psa i gryzły go w dwójnasób, że pies, drapiąc się, aż skowytał z bólu. Służył jeszcze do innego celu, a mianowicie wiązano go w pęczki i zamiatano nim śmiecie. Taka piołunowa miotła zamiatała czysto mieszkanie i stojąc w kącie, wydzielała ostry zapach, który przeszkadzał pchłom.





Doszła do samej rzeki. Horyń miejscami płynął spokojnie. Miejscami przelewał się szumem. Pienił się, kipiał, rwąc za sobą wszystko, co napotkał, a w niektórych miejscach dzielił się na odnogi, które ledwo ruszały falami.

Na brzegu pasły się łaciate, chude krowy i czarne, z długimi ryjami ze sterczącą szczeciną świnie, które ryjąc, przewracały murawę jak pługiem. Była to murawa niczyja, gromadzka, zwana Obołoniem. Otóż na tej do cna, do ostatniej trawki wyskubanej ziemi pasły się żydowskie krowy, które w domu trzeba było dokarmiać, by nie zdechły z głodu. Gęsi, co gubiły pióra, no i te cholerne świnie, które orały ryjami jak rataje.

Na widok Obołonia zrobiło się młodej kobiecie smutno. To wysuszone do cna pastwisko łączyło się bardzo z jej dzieciństwem. Było też nieodłączną częścią jej młodości, prawie życia. Trzy, cztery razy dziennie, rozwścieczona głodem i pogryziona gzami krowa uciekała z tego wypalonego słońcem Obołonia i żałosnym „muuu" i swoimi krowimi oczami, które były wilgotne, jakby płakały, domagała się, żeby ją nakarmić. Obowiązkiem Blimełe było wyrwać duży łopian i waląc tym łopianem po krowim grzbiecie, zagnać ją na to samo miejsce z powrotem. Dopiero o zachodzie słońca, gdy się ściemniło, otwierano szeroko furtkę i krowa weszła biegiem do chlewa, gdzie czekała na nią pryzma lebiody i innych różnych traw i chwastów przyniesionych w zojdoku z ogrodu czy z pól.

Oprócz tego, że trzeba było dwa, trzy razy dziennie siłą ją na poryte, wysmalone bezpańskie Obołonie wyganiać, trzeba było jeszcze ze dwa razy zobaczyć, czy łaciata tam jeszcze stoi, gdyż zdarzało się nieraz, że głodne bydlę się zbuntowało i zamiast do domu wskoczyło do rzeki i przepłynęło rwący, bardzo groźny w tym miejscu Horyń, i poszło aż do lasu lub zaszyło się w przybrzeżnych zaroślach i napasłszy się tak, że mało mu kałdun nie pękł, kładło się spokojnie, żując żwaczkę, nie myśląc wcale, że trzeba wrócić do domu...

Gdy krowa w przeciągu dnia ani razu nie zjawiła się pod furtką, robił się w domu wielki rejwach. Mama z Blimełe biegły na obławę, snując po drodze najczarniejsze myśli, że może ugrzęzła w błocie, może się utopiła, a może wlazła komuś w trawę, a gospodarz zamknął ją w chlewie i będzie chciał, żeby mu dużo zapłacić za szkodę, a może poszła na Rychtę, a stamtąd już niedaleko do jaśniepańskiej koniczyny. Po drodze mama pytała każdego napotkanego chłopa: „Dziadku, czy ty nie baczyw mojej krowy?".

Tak jakby ta krowa była jakaś nadzwyczajna, że każdy gospodarz musiał ją znać...

Przechodząc teraz blisko Obołonia, Blimełe spojrzała tęsknym okiem na ten wysmalony do cna kawał bezpańskiej łąki. Pasły się tam jak dawniej, gubiąc pióra, białe gęsi i chude, z długimi ryjami, ze sterczącą do góry szczeciną czarne świnie, przeorywały murawę, gdzieniegdzie leżała żując żwaczkę czyjaś krowa, tylko naszej łaciatej nie było. Przed kilku laty wyszła z naszego chlewa i powędrowała na piechotę aż do Kowla, gdzie w rzeźni miejskiej skończyła swój marny żywot...

Obecnie Blimełe nie musiała się troszczyć, czy jedyna żywicielka nie ugrzęzła. Nie musiała też chodzić z mamą na pole i prosić: „Diadino [ciotko], czy można ziela napołot (napielić)? Dla krowy jak stodoła, co stoi obok stajni, nie brak smacznej paszy. Słodka trawa z własnej łąki, tłusty makuch poukła-

dany krążkami aż pod sam sufit, wystarczy nie dla jednej krowy, a dla dziesięciu...

Powinnam być zadowolona. Wiele ciężkich trosk spadło z mego grzbietu. O wielu rzeczach nie muszę myśleć ani się martwić, a jednak nie jestem szczęśliwa, wręcz odwrotnie, jestem bardzo nieszczęśliwa... Sto razy bardziej niż wtedy, kiedy w zgrzebnej płachcie, ocierając pot z czoła, niosłam ziele dla krowy i przekradałam się z bijącym sercem przez ulicę, żeby broń Boże nie spotkać Miszki i Chaskla czy Srólka, czy kogoś innego z miejscowych Żydów, bo by się śmiali, że dźwigam jak tragarz na plecach wór z zielem. To przecież poniżające zajęcie dla dziewczyny...".

Minęła to miejsce, z którym była niegdyś bardzo związana i poszła pod górę. Ciężko sapiąc, wspinała się na wzniesienie. Potomek Łabunisza wierzgał nogami czy głową. Kto jego mógł tam rozeznać... Bez odstępów. Co minuta walił jakby pięścią w brzuch, że aż sukienka falowała...

Nie miała się czym cieszyć ani chwalić... Co ją w końcu obchodzi ten Łabuniszowski potomek... Myślała, że w ogóle nie będzie kochała tego stworka, co ją spętał, że momentami miała wrażenie, że Bóg ją ukarał za jakiś zły uczynek, że przytroczył jej ciężar, który będzie musiała dźwigać, aż nie odpokutuje tego grzechu. Dopiero na górze odsapnęła trochę i poszła w stronę Żarukowego Opanasa. Jakiś instynkt ciągnął ją do domu, w którym mieszkała jej matka, lecz ze względu na odległość wahała się. Z drugiej strony miała w dalszym ciągu żal do matki... Gdyby mamusia postąpiła inaczej...

Rana była jeszcze zbyt świeża. Nie miała kiedy się zabliźnić. Obecnie matce powodzi się dobrze. Zięć dotrzymuje słowa. Regularnie dowozi jej żywność i często ją odwiedza. Blimełe nawet nie wie, o czym ze sobą rozmawiają. W każdym bądź razie między Jojsefke a jej matką panuje zgoda i najlepsze porozumienie. Jojsefke wieczorem, rozbierając się do snu, powiada: „Widziałem się dzisiaj z twoją mamusią. Czuje się bardzo dobrze i ciebie Blimełe pozdrawia i mówiła, że nie musisz do niej przychodzić, że do ciebie przyjdzie, gdy zajdzie potrzeba". Te słowa piekły jak ogniem. Chciałoby się z mamusią pogadać, położyć jej rękę na miejscu, gdzie Łabunisza potomek buszuje. Porozmawiać serdecznie, poradzić się. Niestety, mamusia nie chce jej widzieć... Blimełe stanęła na górze, z której widać było dom ryżego Jankla, w którym mieszkały jej koleżanki. Nagle poczuła ogromną tęsknotę za koleżankami, z którymi bawiła się od dzieciństwa aż do zamążpójścia. Skręciła w stronę domu stojącego niedaleko odnogi płynącej z Horynia.

Dziewczęta witały ją z ogromną radością. Zapraszały, przekrzykując się nawzajem, żeby się rozgościła, przyniosły z ogrodu wielki jak koło słonecznik, częstowały ziarnkami. Wszystkie, jak jedna, od najstarszej do najmłodszej, były lekkie, zwinne, różowe na buziach z błyszczącymi oczami, szczebiotliwe jak beztroskie ptaki, w przeciwieństwie do Blimełe, która się czuła ociężale. Z opuchniętymi nogami jak kloce, w miękkich filcowych papuciach nie wyglądała korzystnie, w dodatku nie mogła długo usiedzieć w miejscu, bolał ją bardzo krzyż. Dziewczęta obstąpiły ją dookoła i zaczęły prosić, żeby im opowiedziała, jak jej się żyje w tym tak bardzo bogatym domu. Jak spędza czas wśród tych bogaczy? Zarzucały jej nawet, że chyba zaczęła nosa zadzierać, skoro do nich wcale nigdy nie zagląda. A one bardzo za nią tęsknią.

– Nie ma ani jednego dnia, Blimełe, abyśmy cię tu nie wspominały. Ty mieszkasz teraz jak księżniczka w złotej klatce czy w złotym domu i zupełnie zapomniałaś, że miałaś kiedyś biedne koleżanki.





Usprawiedliwiała się jak mogła, że nie jest żadną księżniczką ani nie mieszka w złotym domu, że nigdy nosa nie zadzierała ani nie zadziera, tylko że wszystko się jakoś zmieniło.

– A w tym stanie, jak widzicie, z tymi klocami w papuciach, nie zawsze mam chęć pokazywać się ludziom. Wy mi lepiej opowiedzcie, co u was słychać. Czy zbieracie się w szabas po obiedzie jak dawniej? Czy tańczycie kadryla? Czy śpiewacie piosenki, jak śpiewałyście niegdyś ze mną?

Dziewczęta posmutniały.

– Z kim teraz tańczyć? Chyba z krzesłami. Pomyśl tylko, Blimełe, Chaji Sróliczychy nie ma, Estery nie ma. Blume w kibucu, Fejga w Palestynie. Ty wyszłaś za mąż za bogatego Jojsefke, a chłopaków we wsi wcale nie ma. Z kim teraz co począć? Ale wkrótce i u nas coś będzie – szepnęła Muszke tajemniczo, a Chasie spłonęła jak róża. Blimełe spojrzała na Chasię, która siedziała na progu i spytała:

– Co słychać u ciebie, Chasie?

– Nic specjalnego – odparła Chasie, lekko się uśmiechając. – Poza tym tylko, że Szmiel, ten faktor z Rafałówki, uparł się i chce koniecznie dać mi męża... Ma w Stepaniu jakiegoś niedołęgę, któremu żona umarła dwa lata temu – uśmiechnęła się smutnie.

– A ty już go widziałaś, Chasie? Młody czy stary? – dociekała Blimełe z wielkim zainteresowaniem.

– Widziała, widziała, czemu miała nie widzieć? Już będzie ze dwa tygodnie temu, jak Szmiel go tu przytaszczył –wtrąciła się kpiąco Rachila, najładniejszy podlotek wśród sióstr.

– No i co, Chasie, podoba ci się chłopak? – dopytywała się szczerze ucieszona Blimełe.

– Jaki tam chłopak, mówiłam ci przecież, że wdowiec, w dodatku już niemłody – odparła rozdrażniona Chasie – lecz co mam zrobić? Widzisz, Blimełe, jaka łodyga już wyrosła z tej Rachili? A ona przecież jest szósta wśród nas i choć ma dopiero piętnaście lat, jest o wiele wyższa ode mnie, a ja gdy patrzę na nią, dopiero czuję, jak moje lata lecą... lecą... lecą jak jesienią te liście z drzew.

– Ona mi zawsze wypomina, że jestem wysoka, a czy nie pozwoliłam wam rosnąć? Mogłaś sobie rosnąć pod sam sufit. Czy przeze mnie jesteś taka mała torba? – rzuciła Rachila swojej siostrze prosto w twarz.

– Przestań, Rachila. Idź stąd do swoich lalek – krzyknęła młodsza siostra Rejzke, która czuła się również obrażona i trochę zawistna, że ta szósta jest wyjątkowo piękna, w dodatku bardzo zgrabna i wysoka, jakby była wyjątkiem wśród nich...

Blimełe czuła się w obowiązku coś powiedzieć, żeby podtrzymać autorytet starszych sióstr. – Rachila – powiedziała Blimełe – nie powinnaś swoim siostrom dokuczać, one są starsze od ciebie, należy im się szacunek.

– Ja im wcale nie dokuczam – odparła zuchwale Rachila. – To one mi dokuczają. Wyganiają mnie z pokoju do lalek... Ja niedługo skończę szesnaście lat, a one by wciąż chciały, bym jeszcze leżała w pieluszkach... Wiesz, co mi Michał Popowicz powiedział? – zwróciła się z iskrzącym wzrokiem do Blimełe – że jestem najpiękniejszą Żydówką w okolicy, a one mnie gonią do lalek...

Chasie zakryła rękami twarz.

– Słyszałaś Blimełe – kiwała Chasie smutno głową. – Nosi się z tym smarkata, jakby ją ten szejgec na sto koni wsadził. Głupi szejgec też nie miał nic innego do roboty, tylko z taką smarkulą rozmawiać – rzuciła Chasie zdenerwowana, że aż pogłębiły się zmarszczki na jej śniadej, niemłodej już twarzy.

– Złościsz się, Chasie, że Popowicz ze mną rozmawiał? A na was, na żadną nie

miał ochoty nawet spojrzeć, a ja wam na złość będę się z nim spotykała i nic mi nie zrobicie... O!... – rzuciła Rachila siostrom, przeskoczyła przez płot i śmiejąc się głośno, pobiegła do ogrodu.

– Widzisz, Blimełe, o tak teraz u nas wygląda – powiedziała z wielkim smutkiem Chasie. – Szczęśliwa jesteś, Blimełe. Masz męża. Nie musisz liczyć lat, które uciekają. Przed tobą nie stoi taki smarkacz, taki głupi podlotek i nie chwali się dziesięć razy na dzień, że jakiś tam Popowicz powiedział jej, że jest najpiękniejsza... Czy nie mógł być u nas choć jeden brat – powiedziała Chasie łamiącym się głosem. – Sześć sióstr... słyszysz, Blimełe, sześć sióstr, sześć klątw... i ani jednego błogosławieństwa... sześć dziewuch i ani jednego chłopca – rzekła Chasie z naciskiem.

– Ojcu nie mogę o tym powiedzieć. Tatuś jest już bardzo słaby. Cały dzień w kuźni, w tym skwarze, bije młotem od świtu do nocy, żeby utrzymać tę hałastrę. Sam jeden bez żadnej pomocy, a to ci jeszcze nie urosło, a już się chwali, że jakiś szejgec powiedział jej, że jest piękna... Wierz mi, Blimełe, gdybym poskarżyła się ojcu, rozszarpałby ją na kawałki, lecz tatuś by się bardzo zirytował i rozchorowałby się na serce, a ja tego nie chcę – spojrzała Chasie na kuźnię, skąd dochodził stuk młotka o kowadło.

– Wyrośnie, zmądrzeje – powiedziała Blimełe. – Ten wiek u dziewcząt jest najgłupszy. Ja też miałam takie okresy. Pamiętam, że mi się zdawało, że jestem najpiękniejsza, najmądrzejsza, zwłaszcza wtedy, gdy jakiś chłopiec mi powiedział, że jestem ładna, choćby powiedział na żarty. Byłam pewna, że to święta prawda. Myślałam nawet, że ten ktoś jest gotów pójść ze mną na koniec świata. A dzisiaj – machnęła Blimełe ręką.

– A mnie często przechodzi przez głowę fatalna myśl, że właśnie Rachila zrobi nam brzydki kawał... Jestem najstarsza – powiedziała Chasia szeptem. – Na moich oczach się rodziły, leżały w pieluszkach, jadły, spały, za przeproszeniem paskudziły, rosły i dorastały. Znam każdą jedną jak zły szeląg, lecz żadna z nich nie była taka zarozumiała. Nie siedziała wiecznie przed lustrem i nie robiła min. Każda jedna z nich zajęła się czymś. Chciała się czegoś nauczyć, a tylko ta Rachila ani do szkoły, ani do szycia, nawet za sobą posprzątać. Ciągle by się tylko stroiła, przebierała, włosy kręciła i bezustannie tylko modziła. Potrafi godzinę, dwie przesiedzieć przed lustrem, przybierać różne pozy, stroić miny jak głupi pajac. Tfu! – plunęła Chasie z goryczą. – To się nam ta szósta siostra udała...

Rejzke, jak zawsze małomówna, milczała, tylko igła szybko migała w jej palcach, marszczyła czarną w czerwone różyczki spódnicę, która miała być gotowa na wieczór.

– Wiesz, Blimełe, najlepiej rozumiemy się z nią – dotknęła ręką Rejzke. – Patrz, Blimełe, obie nauczyłyśmy się szyć. Najpierw ja, potem ona. Obie kołysałyśmy tę całą czeredę. Ona była bardzo malutka i wątła, nie sięgała do sznurów od wiszącej kołyski, więc nasza mama stawiała krzesło, na krześle mały stołeczek i na tę piramidę wsadzała malutką Rejzke i ta nieboraczka jak przywiązana stała calutki dzień nad kołyską i huśtała, huśtała, ile jej tylko starczyło sił, żeby tylko to małe długo spało i nie przeszkadzało naszej matce, która znowu chodziła z dużym brzuchem, by za kilka miesięcy jeszcze jedną klątwę urodzić... A gdy nastąpiło rozwiązanie, wtedy nasza mamusia wyciągała to starsze z kołyski, wsadzała mnie lub jej na ręce, a do kołyski kładła tę nowo narodzoną klątwę...

Grzbiety nam się łamały od tego dźwigania, lecz innej rady nie było, gdyż mama albo chodziła z brzuchem, albo leżała w połogu... Ze sześć dziewczynek chyba zmarło... Chwała Najwyższemu, że choć kilka Pan Bóg zabrał do siebie – uśmiechnęła się Chasie pierwszy raz.

– Pamiętam, że nasz tatuś przed każdym porodem otwierał modlitewniki i kazał nam się modlić. Powiadał: „Módlcie się dzieci. Proście Boga, może was prędzej wysłucha i da wam brata... Jesteście jeszcze dziećmi, macie jeszcze mniej grzechów od nas, dorosłych. Może się zlituje nad nami i da nam kadysza". Może się zlituje nad nami i da nam kadysza".

Kołysałyśmy tę małą Rywełe i na głos błagałyśmy jak w Jom Kipur:

– Goteniu, daj nam brata... Nie chcemy już siostry. Niech nam nasza mama urodzi brata – wołałyśmy na głos. – Nie chcemy już dziewczynek, które są dla naszego tatusia przekleństwem. Modląc się nad księgą błagań, płakałyśmy i wierzyłyśmy, że tym razem nasz litościwy Bóg nas wysłucha i mama urodzi upragnionego przez nas wszystkich kadysza...

I co? Babka Cipra wychodzi z alkierza i woła: „Idźcie – powiada – przywitajcie nowo narodzoną siostrzyczkę".

Ot i tak przyszły na świat Muszke, Chane, Ester, Frejdł, Rachil, Rywe, Jachne, Gitł.

Chwała Bogu, że niektóre z nich Pan Bóg zabrał do nieba, że zostało nas tylko sześć...

# Ten umarł, ta zwariowała, tamtego zabili w więzieniu

[fragment powieści *Przekleństwo posagu*], „Kamena" 1990, nr 1, s. 17–22.

W tym czasie było jeszcze kilka zdarzeń we wsi. Kiedy świat już nabrzmiewał niczym ropień, a gazety przynosiły coraz groźniejsze wiadomości, jakiś amerykański filantrop zaczął przysyłać wiejskim dziewczętom po trzysta, po pięćset dolarów, zależy jakie która miała szczęście i w jakim nastroju był ów bogacz w tym dniu, lub czy jego szlachetne oko dostrzegło jej imię na liście, co nie wiadomo jakim cudem zawędrowała na jego biurko. Otóż wiejscy Żydzi chodzili wprost upojeni jak dobrym winem z faktu tego zdarzenia i wzmógł się też ruch w kręgu faktorskim.

Wzmogły się też marzenia, aż się kłębiło w dziewczęcych głowach od rojeń i planów. Niemal każda spodziewała się listu, w którym nieznany bogacz napisze, że wysłał upragniony czek.

Mireле z pobliskiej wsi dostała trzysta dolarów, Roza, córka Kresi nieboszczki, pięćset. Jakby ów filantrop był prorokiem Eliaszem i wiedział, że Mireле jest młoda i bardzo ładna, że wystarczy dla niej trzysta dolarów posagu, a Roza, choć ma takie moderne imię, ale za to ma twarz jak starego świętej pamięci Szymela u baraguły kobyła, do tego dwa przednie zęby, które nie pozwalają domknąć ust jak źle dopasowane zawiasy.

Wiejscy Żydzi czekając w szabes na dziesiątego Żyda, bez którego nie można było odprawić porannego nabożeństwa, roztrząsali, z jakiego źródła płyną te pieniądze. Jedni byli zdania, że miejscowy rabin, przebywając obecnie w Ameryce, rzucił jakieś słowo wśród tamtych dostojników na korzyść naszych biednych dziewcząt. Przecież on boleje nad ich nieszczęsnym losem, że już powinny dawno powychodzić za mąż i rodzić dzieci, a nie mogą, bo nie mają pieniędzy na posag. Drudzy twierdzili, że ten filantrop musiał być nielichym grzesznikiem i może przed śmiercią pragnie darowizną grzechy od Boga wykupić, oddając cały swój wypracowany w sobotę dochód na jałmużnę, gdyż tam w złotym kraju, w tej Ameryce, nie ma tylu krążących z domu do domu żebraków jak u nas.

Niedługo wprawdzie trwała ta hossa z amerykańskimi czekami, jedynie kilka dziewcząt miało szczęście, a reszta została przy swoich marzeniach, ułatwiających im tylko spędzanie bezsennych nocy. Nawet Zulenke, leżąc przy swoim znienawidzonym mężu w łóżku, syta tłustego jadła i różnych łakoci, przewracała się z boku na bok i prowadziła w myślach rozmowę z cieniami swoich rodziców. – „Czemu żeście nie poczekali? Byłam przecież jeszcze taka młoda. Może byłabym jedną z tych wybranych, których imię znalazło się na biurku tego dobrego filantropa? Pamiętasz, mamo, ten zimowy wieczór, kiedy była śniegowa zawieja, a wiatr trząsł oknami, że mało szyby nie powylatywały?! W naszym domu stanął człowiek. Był późny wieczór, a ten młody gość zjawił się nagle, jakby go ta wichura przyniosła. Pamiętasz, mamo? Ten obcy prosił nas o nocleg. Pościeliłaś mu na kanapce pod piecem, by mu było ciepło. W czasie rozmowy z nami przyglądał się mnie swoimi szczerymi oczami, a ja jemu. Podobał mi się i odniosłam wrażenie, że moja twarz jemu też nie była obojętna. Rano, gdy się wichura nieco uspokoiła, poszedł, a ja z tobą, mamo, pamiętasz, zastanawiałyśmy się, czy żonaty, czy bogaty. Otóż, mamo, wkrótce wrócił po raz drugi i ożenił się z Mireле, która dostała od dobrego filantropa ten błogosławiony czy przeklęty posag. Na pewno powiesz, mamo, że był przeznaczony dla Mireле. Nieprawda mamo, był i dla mnie przeznaczony, gdybyś była trochę tylko poczekała i moje nazwisko byłoby się znalazło na amerykańskim biurku i gdybym dostała ten czek na ten błogosławiony czy przeklęty posag...".

W tym czasie oprócz Mireле wyszła też za mąż córka ryżego Jankla, wyszła za wdowca. W owym czasie dziewczęta z mojej wsi wychodziły za mąż jak nie za wdowca, to za rozwodnika. Minęły te czasy, kiedy we wsi roiło się od żydowskich panien z przedmikołajewskiej wojny. Tamte panny były rasowe, jedna w drugą „pierwyj sort". Dobrze, Szymela bałaguły córka, gdy szła w swojej niebieskiej w czerwone pasy sukni, poszytej z matczynej chusty przywiezionej przez Szymela jako okup za noc po powrocie jego żony Chany z mikwy – aż ziemia drżała pod stukotem jej obcasów. Choć Dobcie była córką biednego bałaguły, żadnemu szadchenowi [faktorowi] nie przeszłoby przez głowę, by swatać jej wdowca czy rozwodnika. Każda jedna panna, a było ich sporo, powychodziły za mąż za kawalerów. Niestety, te powojenne jakby nie powyrastały, każda jedna jest jakby sztachnięta, jakby ukrócono jej miarę.

W ostatnich kilku latach, kiedy Hitler się pienił przed zachłystującymi się radością Niemcami, przedstawiając im swoją wizję przyszłych Niemiec, nasze żydowskie dziewczęta wychodziły za mąż jedna po drugiej. Kahalny szadchen miał pełne ręce roboty. Z zatkniętymi za pas połami swej wytartej kapoty jeździł, chodził, szperał i dopasowywał. Odwiedzał chore żony, by się zorientować, ile czasu trzeba będzie poczekać na świeżo upieczonego wdowca, dla którego w swoim rejestrze już miał dziewczynę, a przeczucie mu mówiło, że czas nagli, że wkrótce będzie się coś niedobrego działo. Tak jak przed burzą: niebo niby czyste, słońce ładnie świeci, a powietrze jest gęste, że płuca z trudem oddychają.

Więc mnożą się we wsi weseliska. Przybyło kilku zięciów, parę też synowych. Również spora ilość też ze wsi ubyła. Niespodzianie wyszła za mąż sympatyczna z ryżą czuprynką Ester. Bez skrzypiec, fletu i bębna, cicho, bez hałasu siadła na wóz i wyjechała do Totowicz, i tam postawiła cztery kije chupy i okręciła się siedem razy wokół swego rozwodnika, i bez pożegnania udała się do domu swego męża. Tak było również z dziewczyną z Wyspy. Nie wiadomo, kiedy faktor przytaszczył z dziesiątej wsi czarnego, chudego, bez jednego zęba, posuniętego w latach młynarza, któremu przed pół rokiem żona wyciągnęła nogi w szpitalu. I szast-prast, jakby się paliło, przygotowano wyprawę, dorodna klacz młynarza krążyła tam i z powrotem i zwoziła wszystko, co było potrzebne dla młodej dziewczyny, co miała wkrótce rozpraszać żałobę i umilać życie staremu młynarzowi. Z takim samym pośpiechem wiejski muzykant odrzępolił kilka walców, polek i parę rytualnych tańców odtańczonych z panną młodą. Wypito kilka butelek rozcieńczonej wódki i młoda małżonka skoro świt wyjechała do swego młynarza, który będzie ją maltretował do końca jej krótkiego życia.

Wiejscy Żydzi jej po trosze zazdrościli i chyba ze dwa miesiące w szabes po kuglu o tym rozprawiano. Co tu dużo gadać, dziewczyna, jak każda, może trochę nawet gorsza. Czarne to było po urodzeniu jak Cyganiątko, aż jej matka się wstydziła ją ludziom pokazać, żeby nie pomyśleli, że jej mąż jak raz w tym czasie był na froncie rosyjsko-japońskim w Mandżurii, a tabor cygański stał w pobliżu, tuż koło jej domu. I jak na złość to małe, chude i czarne jak Cyganiątko, niechciane dziecko rosło i ciągle ryczało bez racji, że aż bębenki w uszach

pękały. Nieraz Ite w bezradnej złości załamywała ręce, wołając żarliwie: „Boże! Zabierz do siebie to twoje przekleństwo, wyzwól mnie Boże miłosierny z tych wrzasków, od których szału dostaję!". Lecz Pan Bóg lubi zawsze robić na opak czy na złość i zamiast zabrać to wrzaskliwe Cyganiątko, zabrał spokojnego i bardzo udanego Szejlika. A to czarne stworzenie zostało i wyrosło – nie za duże, nie za ładne, ale za to bardzo łagodne, pracowite i tak na swój sposób wyjątkowo przebiegłe, że zdążyło swoich rodziców pozyskać, omotać ich wokół swego małego palca. Nawet ci sami ludzie, co poprzednio kiwali na widok dziewczynki głowami, stawiali ją obecnie za wzór, że posłuszna, że pokorna, że nigdy by swym rodzicom krzywdy nie zrobiła. Lecz po prawdzie, kto tam wie? Gdyby jej się trafił jaki szejgec, kto tam wie? Lubiła czarnymi oczkami pogłaskać przystojnego mieszczanina i pozwalała mu dotknąć swoje smagłe ramię. Często też brała kilka gałganów i biegła do rzeki niby je prać raz w tym czasie, kiedy nad podziw dorodny Kiszkojed, jak go przezywali, gnał swoje woły do wodopoju. Wtedy ta kruczowłosa, podobna do Cyganki, żydowska córka z gałganami i on, ten szajgec z batem, szli obok siebie i żywo rozmawiali. Lecz to były jej sprawy, do których żywego ducha by nie dopuściła i nikt by się również nie domyślał, co roi się pod tą czarną jak smoła, falistą czupryną.

Lecz jakoś imię tej posłusznej, bogobojnej córki nie znalazło się na biurku amerykańskiego filantropa i nie wysłał jej tych upragnionych kilkuset dolarów posagu. Jej matka lamentowała, klęła tego filantropa najsroższymi klątwami, żeby cholera, dżuma i wszystkie plagi egipskie go nie ominęły. I to nie tylko na tego podłego bogacza, co o jej dziecku zapomniał, ale i na całą podłą Amerykę klęła.

I oto w tym czasie, gdy żadnej nadziei znikąd nie było, zjawiło się szczęście – w białym prochowcu i kapeluszu na łysej głowie, jak Mesjasz. Lecz to nie był wcale Mesjasz, tylko młynarz, któremu przed pół rokiem umarła żona. Powiedział, że posiada parowy młyn, dwa domy i zamierza wybudować fabrykę, która będzie produkowała tekstylia dla całej guberni. Do tego posiada mnóstwo pieniędzy, brakuje mu tylko kobiecego oka, co by doglądało służby i trójki sierotek, co zostały bez matki.

Czy mógłby ktoś wobec takich zdarzeń zwracać uwagę na to, co piszą gazety lub na złe plotki, co bezustannie krążą?! Skoro nasz litościwy Bóg nie opuszcza maluczkich, skoro takiemu krezusowi umarła żona po to, by ten świeżo owdowiały młynarz ożenił się z ich nic nieznaczącą córką?!

Tylko owdowiała Sosia po Srulu rozprawiała długo z wielką zawiścią:

– Patrzcie, patrzcie, jaki niesprawiedliwy los Pan Bóg mi zgotował! Gdy moja śliczna, mądra Esterke, mając spory posag, wyszła za mąż za biedaka, to ta czarna wrona, ten strach na wróble, ten niewyrośnięty kurdupel będzie magnatką ze służbą z fajetonem niby jaka wojewodsza.

Rzeczywiście, nawet rodzice tej nowo zaślubionej młynarzowej byli zaskoczeni. Nie mogło im przejść przez głowę, że ich córka bez złamanego grosza, bez przyzwoitej sukienczyny zrobi taką partię. Kogo Ita, jej matka, nie spotkała, opowiadała, jaka to wielka zmiana zaszła w jej domu, jakby różdżka czarodziejska wszystko odmieniła, nawet sprzęty domowe jakby nabrały blasku, jakby się cieszyły, zwłaszcza wtedy, kiedy młynarza koń w skórzanej uprzęży nabijanej guzami, jak hrabiowskimi herbami, podjeżdża pod ganek. Do tego wyliczała na palcach: moja córka, na psa urok, żyje teraz jak Rotszyldowa. Jest gospodynią młyna, dużego majątku i traktierni. Do tego duży sad, pola i łąki. Ma też napchany kufer z bielizną, dużo jedwabnych sukien, jest pełna szkatułka z pierścionkami, łańcuchami i inne złote ozdoby, a wszyscy bogacze z całej guberni są jej męża krewniakami. Czy trzeba gubić nadzieję, gdy mamy takiego dobrego opiekuna w niebie?!





O jednym tylko młodej młynarzowej matka nie wspomniała: że jej zięć, ten młynarz, jest stary, stary jak spróchniały grzyb, do tego ma charakter wściekłego psa, a w jego domu mieszka wiedźma z piekła rodem, matka jego zmarłej żony, którą w dodatku namiętnie nawet po śmierci młynarz kochał. Nie wspomniała, że ta stara wiedźma z piekła rodem pilnuje lepiej niż żandarm tych jedwabi, i tych szkatułek, i wszystkiego, co tylko było w straszliwie zapuszczonym, od tygodni niesprzątanym mieszkaniu.

Ryżego Jankla córka ma też swego rozwodnika. Wesele odbyło się ni to po cichu, ni to głośno. Na podwórku koło płotu rozstawili chupę. Panna młoda w amerykańskim welonie, przysłanym przez dobrą ciocię Tojbę, okrążyła siedem razy swego Chaskla. Rozbito z trzaskiem kieliszek, odtańczono złoty taniec... I panna młoda zaraz na drugi dzień poszła na piechotę ze swoim Chasklem do własnego domku, kupionego tuż przed ślubem u Siregо, i zabrała się od razu do szycia, a jej mąż siedział obok, przyglądał się swej żonie i pokaszlując głuchym kaszlem myślał o swoich płucach, w których na dobre zagnieździła się gruźlica, do której w najszczerszej rozmowie ze swoją ukochaną narzeczoną wcale się nie przyznał. Tylko faktor, co wziął niezgorszy procent z posagu za faktorstwo, był bardzo szczęśliwy, że udało mu się zlepić jeszcze jeden związek – „oby żyli szczęśliwie sto dwadzieścia lat!".

W tym czasie, kiedy szły dnie na spotkaniach z „szadchenami" [faktorami], na przygotowaniach weselnych i na kłopotach dnia powszedniego, w których nie brakowało kłótni, zatargów i szeregu innych zmartwień, wiejscy Żydzi całkowicie zapomnieli, że Hitler coraz szerzej otwiera paszczę, coraz głośniej wrzeszczy o tym, że światowe żydostwo zagarnęło wszystkie kapitały, że żydowska plutokracja jest winna, że panuje kryzys i że Niemcom brakuje przestrzeni.

O tych wrzaskliwych przemowach Hitlera rozpisywały się wszystkie gazety, ale kto miał czas lub ochotę je czytać? Po pierwsze – ciężko było wyjąć z kieszeni tych parę groszy, by ten „Hajnt" kupić, po drugie – po co sobie smutkami głowę nabijać, skoro i tak życie jest bardziej gorzkie niż żółć?! Lepiej już kupić „Dem Blofer", przynajmniej czytając go, można się uśmiać do rozpuku. Do tego można jeszcze dodać kilka sprośnych kawałów z własnej improwizacji, wtedy te anegdotki krążą z ust do ust i rozśmieszają ludzi do łez. Czy taki Szmul mógł się zastanawiać nad polityką światową i nad zgrozą, która zawisła nad całym żydostwem, skoro wstawał każdego dnia o świcie, naciągał na swoje zgarbione plecy wyszargany tułub i szedł od chaty do chaty, by kupić parę funtów żyta, semia, czy gryki lub kilka kur, aby je potem sprzedać dla Symchy z Włodzimierca, z mizernym zyskiem, by jego żona Chaje miała tych kilka groszy na chleb i na naukę dla chłopców? A miał tych synów kilku, a każdy miał otwartą głowę do nauki. Gdyby ich mógł posłać do Lublina do wielkiej Jesziwy, żeby się uczyli u wielkich mędrców, każdy jeden z nich wyrósłby ku chwale bożej na wielkiego mędrca czy myśliciela. Lecz cóż, gdy Pan Bóg daje szczodrą ręką jedno, nie można żądać drugiego, trzeba mu dziękować za to i być szczęśliwym, że nie wyrzuca się tych paru złotych, płaconych wiejskiemu mełamedowi [nauczycielowi], że uczy ich trochę czytać i modlić

się z modlitewnika i nieco rachunków, by mogli, gdy podrosną, obliczyć, ile kosztuje parę funtów zboża. A uczą się chłopcy na wyścigi, jeden mądrzejszy od drugiego. Starszy Kalman nie raz i nie dwa zaskoczy mełameda pytaniem, że biedak przez cały dzień obgryza paznokcie, łamiąc głowę nad odpowiedzią, której w żaden sposób nie jest w stanie rozszyfrować. I ten młodszy Szame godnie nosi swoje imię po myślicielu i jego głowa też się nadaje nie tylko do noszenia czapki. Szamełe cały psalm umie wyrecytować na pamięć, a historię Żydów opowiada śpiewająco. Och, gdybym miał pieniądze – mawiał Szmiel – wysłałbym mego Szame do świeckich szkół, niechby był lekarzem, prawnikiem, czy historykiem, niechby był wykształconym człowiekiem! A ten najmłodszy Lejzorek jeszcze do szkoły nie chodzi, a już wszystko słowo w słowo powtarza za starszymi.

Zajętego takimi troskami, czy można było żądać od Szmulika, by się zastanawiał, co dzieje się o krok od polskiej granicy?

A Jakow Mojsiejewicz po śmierci swej żony, którą sam nie wiedział, czy kochał, czy nienawidził, miał czas się nad tym zastanawiać? Była jego żoną, napłodził z nią dzieci, którym trzeba było dać godne utrzymanie ze względu, że się było kupcem, a nie jakimś tam łapserdakiem. Zaprzężony w codziennym kieracie, nie miał kiedy przyglądać się swej Kresi, czy jak siebie nazywała – Raisie, co siedziała bezczynnie na obfitym jadle, składającym się ze słodkich ciast i tłustego mięsiwa dostarczonego wprost z koszernej rzeźni, do której Jakow Mojsiejewicz, jej mąż, dostarczał bydło rzeźne. Tak się Kresia z tego jadła roztyła, że zbliżyć się do niej w czasie nocnych igraszek było trudniej niż wspiąć na wysoką górę. Lecz mimo wszystko była jego towarzyszką życia, przyjacielem, dbała o niego, gdy wracał z drogi, witała go serdecznie, obsypywała pocałunkami, nacierała mu plecy pachnącym balsamem po umyciu, dawała czystą bieliznę, zarządzała domem, chowała dzieci i czytała na głos modlitwy dla wiejskich Żydówek – przynosząc tym samym zaszczyt domowi. Leży teraz Kresia, czy jak kto woli Raisa, w ziemi, a już nie Jakow Mojsiejewicz tylko zwyczajnie Jankiel został wdowcem i rozważa, jakie to było to życie z Kresią: dobre czy złe? Czy był szczęśliwy, czy też nie? Niemniej czuje się bardzo samotny, choć nie ma prawa narzekać, że nie szanują go dzieci. Chwała Bogu, bardzo go szanują.

Średnia córka Roza nie jest już smarkatą dziewczynką. Ma już swoje lata, powinna już kilkanaście lat wstecz mieć męża, dzieci i zarządzać własnym domem. Opiekuje się nim bardzo dobrze, dba, żeby mu niczego nie brakowało, ale to go nie cieszy, bo codziennie jego oczy same się ślizgają po głowie córki, szukając siwych włosów. A jaki to smak, może tylko wiedzieć ten ojciec, co kocha swoje dzieci. Często nocą wzdycha, gdy przez jego mózg przepływają zdarzenia z jego życia, niby zdjęcia w albumie, lub gdy rozmawia z Bogiem, przekazując mu swoje pretensje, kłócąc się z nim:

– Boże, czemu mnie karzesz tak srogo? Ja, który oddałem ci moje mieszkanie, by nasi wiejscy Żydzi mogli cię w dzień szabasu chwalić, ja, co hojną ręką wspierałem biednych – nie zasłużyłem u ciebie na żadną łaskę?! Bijesz mnie, Boże, i bijesz jak Żydzi Hamana. Zabrałeś mi żonę, zapomniałeś dać mojej córce męża, siwieje biedaczka, choć ma niezgorszy posag i bardzo ładną wyprawę, a narzeczonego dla niej ze świecą znaleźć nie mogę. Nie pozwolisz chyba, Boże, żebym dla mojej kochanej Róży, która jest taka szlachetna, wyszukał byle jakiego, takiego, jakiego znajdują dla odstraszenia cholery? Nie jest przecież ani ślepa, ani głucha,





w jej ciele nie znajdziesz żadnej ułomności. Dlaczego więc zmuszasz ją, by się zestarzała w panieństwie?

Nieraz Jakow Mojsiejewicz, a obecnie zwyczajnie Jankiel, nie spał kilka nocy za koleją i prowadził z panem niebios takie przykre rozmowy... Więc cóż go mogły obchodzić szaleńcze przemowy Hitlera? On ich nie słuchał. Nie chciał nic o nich wiedzieć. Miał własnych trosk co niemiara, po co mu jeszcze były troski germańskich Żydów?

Wczoraj przyszedł taki jeden germański Żyd. Mówił, że jest bezdomny, że mieszkał w Berlinie, że Niemcy obrabowali go doszczętnie i wygonili z kraju. Owszem, Roza dała mu kolację, dwa złote na drogę i co można było zrobić więcej? Trudno nawet było z nim się porozumieć, mówił jakimś językiem, że sam diabeł by go nie pojął. Zresztą, czy mało oszustów chodzi po świecie? Codziennie całymi tabunami, z żonami płyną jakby rzeką z dużych miast. Jedni grają na piszczałkach, drudzy kradną, a inni robią jeszcze wiele o wiele gorszych rzeczy, o których lepiej nie wspominać. Za wyżebrane pieniądze kupują trunki i na polach wśród zbóż rozkładają się ze swoimi kobietami i uprawiają nierząd. Ale każdemu, kto wyciąga rękę, trzeba dać. Tak jest w Piśmie Świętym napisane.

Również i ryży kowal nie miał czasu się zastanawiać. Z natury małomówny, wiecznie zapracowany, nie miał nawet kiedy się uczciwie pomodlić i zjeść po ludzku śniadania. O czwartej rano, kiedy jeszcze prawie było ciemno, jak wchodził do kuźni, rozpalał ogień pod paleniskiem i dmuchał co sił starym kowalskim miechem, by ogień się szybciej rozpalił, by lemiesz lub obręcz dobrze się rozgrzała i stała się podatna pod młot, by wyszła z jego kuźni nie gorsza od tamtej, w którą walą młotem młodzi silni kowale z pobliskiej kuźni, aż bębenki w uszach pękają od tego dźwięku, co sięga aż tutaj. Do tego zazdrość szarpie za serce, że w tamtej kuźni jest nowoczesny wentylator z diabelską siłą, a tak leciutko kręci się, że wystarczy, by małe dziecko ujęło za korbkę i też by sobie poradziło. W dodatku ta nowoczesna maszyna ze swoimi trybami i trybikami przyciąga chłopów, którzy dla samej ciekawości, by ją zobaczyć, przynoszą swoje pługi do remontu.

Jednego razu jego siostra, mieszkająca na drugim końcu wsi, zaszła do kuźni i usiadła na progu. Bardzo zmęczona, zaczęła, jęcząc, opowiadać, że jej starszy syn Aron chyba zwariował. Tak się przejął tymi niemieckimi Żydami, że budzi się nocą i głośno płacze, że aż ją ciarki po plecach przechodzą. Nie płacze, tylko po prostu wyje jak nie przyrównując pies przed pożarem. A wszystko to przez te przeklęte gazety, w których wypisują takie straszne rzeczy. Chyba te cholerne piśmidła padły mu na głowę.

– Wstaję z łóżka, idę do niego, siadam i proszę, błagam: synku nie przejmuj się, co cię mogą obchodzić takie dalekie sprawy? Po co się zabijasz? Dlaczego bierzesz na swoje barki takie rzeczy, które są dla nas obce? Tłumaczę mu, uspokajam go, jak mogę, a on swoje: że myślimy tylko, jak napchać kałdun kartoflami, że niedługo mało kto z nas żywym zostanie, że nasze kości będą psy po ulicach rozciągać. On zupełnie zgłupiał! On przemawia tak, jak ten prorok Jeremiasz na zgliszczach Jerozolimy. Poradź, bracie, co mam robić z tym chłopcem, który napełnił głowę takimi okropnymi myślami?

– Co mogę ci poradzić, kochana siostro? – odpowiedział kowal. – Ja sam mało nie zwariuję. Mam już swoje sześćdziesiąt lat i pracuję w tej kuźni samotnie jak palec. Czasem tylko Muszka, moja córka, pomoże mi wycentrować koło, lecz nawet chłopy się ze mnie śmieją, że uczę dziewczynę

kowalstwa. Parę lat wstecz to jeszcze nikt specjalnie na małą dziewczynkę uwagi nie zwracał. Ot, kręci się wokół osi niby dla zabawy. A teraz już wyrosła. Jest już panną na wydaniu i jak to wygląda, żeby się kręciła niby koń w kieracie? I pomyśl siostro: haruję, haruję, nie dojadam, nie dosypiam, do tego uczciwie się nie modlę, bo kiedy mam się modlić, jak stoję tu nad kowadłem od świtu do nocy? Spójrz, siostro, na moje ręce: są przeżarte węglem i żelazem, że w bożnicy wstydzę się dotknąć nimi naszą świętą Torę, bo są takie twarde i gruzłowate. Boję się, by pod ich dotykiem nie połamał się pergamin, nie wykruszyły się litery. I jaką korzyść mam z mojej harówki? Uskładałem trochę grosza, trochę nasza dobra siostra przysłała z Ameryki i jakoś wydałem moją Chasię za mąż. Myślałem: dzięki Bogu o jedną córkę mniej. Zostało mi jeszcze tylko kilka młodszych, ale nasz dobry Bóg i tamtych nie opuści. I co się okazało? Że cały posag mojej córki pójdzie na psi tłuszcz, bo jej mąż ma dziurawe płuca jak sito. I z mojej całej radości zostało tylko wielkie rozczarowanie i jezioro łez. Do tego jeszcze ogromny żal, że ta najlepsza, najczulsza córka, wkrótce zostanie wdową, wróci z powrotem do mego domu bez grosza przy duszy, bo jej cały uciułany posag rozlizie się na psi tłuszcz, na lekarzy i na pogrzeb. A ty, Lejo, siostro moja najdroższa, przychodzisz do takiego nieszczęśnika jak ja prosić o radę, gdy sam sobie poradzić nie mogę. Dlatego nie chcę słyszeć o żadnym Hitlerze, o żadnych złych wiadomościach krajowych, zagranicznych ani twoich.

Ociężała Leje wstała z progu. Owinęła się szczelnie chustą i odeszła jeszcze bardziej zmęczona usłyszaną od brata nowiną, co wcale nowiną nie była. Przecież od dawna podejrzewała, że z Chasi mężem jest niedobrze, skoro w czasie spaceru z Chasią sapie jak stary kowalski miech. I ten głuchy kaszlek wydobywający się z płuc jak z pękniętego garnka, i te podbarwione plwocinki dyskretnie wycierane chusteczką, te kropelki potu na czole niby rosa, i te błyszczące oczy, w których widoczna jest gorączka...

Oj, Chasie! Chasie! Co ci po takim mężu, którego od pierwszego dnia po ślubie musisz pielęgnować? Wsadziłaś swoje zdrowe ciało w chore łóżko i jeszcze musiałaś dużo dopłacić do tego kiepskiego interesu.

Oj, Chasełe, Chasełe, czemu od razu nie spostrzegłaś, że twój narzeczony to żaden mężczyzna, tylko nadpsuty owoc? Prawda, od swego losu nigdzie uciec nie mogłaś, niemniej mógł tego szadchena pierwej szlag trafić, nim ci wyswatał gruźlika...

I jeszcze szereg innych trosk było w tym czasie we wsi, których pominąć nie można. Prawie w każdym żydowskim domu coś się działo, a działo się źle, jakby boży gniew utorował sobie drogę i trafiał nie gdzie indziej, tylko do ich domów.

Oprócz tego, że umarł Fiszke i jego bratowa Kresie, przez co wiejskie Żydówki utraciły swoją lektorkę, co im tak ładnie czytała psalmy i inne modlitwy, najpiękniejsza panna we wsi, Gołde, zaczęła wygadywać, po prostu wypluwać z siebie takie słowa, że aż strach było słuchać. W dodatku rozebrała się i nago zaczęła obnosić swoje grzeszne ciało po ulicy, a szczególnie wtedy, kiedy byli mężczyźni w pobliżu. A gdy próbowano ją ubrać, złapała siekierę i chciała wszystkich zarąbać. Cała wieś żydowska zatrzęsła się ze zgrozy. Kto by pomyślał, komu przeszło przez głowę, że taką zdrową, taką piękną – która z dziewcząt we wsi mogła się pochwalić taką figurą i takim ogólnym wyglądem?! – opęta giłguł i wyprawia z nią harce... Gdy biegła przez wieś ubrana w piękną, czerwoną w czarne kwiaty suknię, opasana szerokim jedwabnym pasem, niosąc wysoko głowę – kto pomyślałby, że Gołde nie idzie





na własnych nogach, tylko nieczysta siła ją niesie?!

Mało tego, Gina, wielce udana panna, która kręciła całą wsią, co najpiękniej się ubierała i umiała po miejsku wyrażać i prowadzić z policjantami dyskusje w obronie wiejskich Żydów, zaszła w ciążę, nie mając jeszcze męża, choć Michełe smark nie wyłaził z jej domu. Lecz cóż to za narzeczony dla wiejskiej inteligentki, Michełe smark, tym bardziej ojciec jej dziecka, skoro jeszcze nawet matczynego mleka ze swych ust nie oblizał i ani odrobiny wąsa nie ma pod nosem? Czy to możliwe, by ten Michełe smark mógł zrobić taki szpas? Nie, to niemożliwe, zgadzają się wszyscy Żydzi we wsi. Ale kto tam może wiedzieć, z kim to Gina się zadawała. Czy to takie trudne, gdy żydowska córka straci poczucie godności?

Oprócz tego Josełe z ryżymi włosami jak płomień. Choć był „a am orec" [nie umiał czytać], za to miał bardzo dobre serce. Nigdy nie odmówił nikomu pomocy, pomagał, czym mógł swoim bliźnim. Był tak samo jak królowa Ester, która oczarowała perskiego króla Achaszwera. Pomimo że król Achaszwer modlił się do bożków, a nie do prawdziwego, jedynego Adonai [Boga], Ester nie grzeszyła, gdyż swoją urodą służyła swojemu narodowi, wybawiając go z Hamanowych rąk.

Josełe z czerwonymi włosami jak płomień też oczarował piękną wdowę po młynarzu i tym samym stał się wspólnikiem wdowiego majątku. I cóż dziwnego, że zrobił się światowcem, bywalcem wielkomiejskich kabaretów, skoro wdowa nie zamykała przed nim swojej kasy, która nigdy nie była pusta... Mógł więc Josełe pozwolić sobie na kupno drogich francuskich pachnideł, na giemzowe buty z cholewami lub leciutkie jak piórko futerko czy na smoking, w którym wyglądał jak istne książątko, co miało otwarte serce na jałmużnę. Broń Boże, Josełe nie rzucał groszaków żebrakom, tylko pięcio- lub dziesięciozłotówki, a czasami nawet dwadzieścia złotych włożył w żebraczą dłoń, o wiele więcej niż niejeden bogobojny bogacz. W dodatku na Symchas Tojre kupował zawsze kilka butelek przedniego wina, by miejscowi Żydzi w tym jednym jedynym radosnym dniu w roku popili sobie fest.

Czyż można było mieć do takiego dobroczyńcy pretensję, że zadaje się z wdową po młynarzu, skoro nie zapomniał kim jest, skoro regularnie przychodził do bożnicy na nabożeństwo? I oto grom z jasnego nieba. Przyjechała policja z prokuratorem, obstawili młyn. Wdowę po młynarzu skuto w kajdanki i posadzono na jedną furmankę, skutego Josełe z włosami jak płomień na drugą: obok nich uzbrojona po zęby obstawa i powieźli do Równego, do więzienia dla największych przestępców.

We wsi konsternacja, domysły. Czym się wdowa po młynarzu zajmowała? Komunizmem? Po co jej był komunizm, skoro była posiadaczką doskonale prosperującego interesu i żyła niczym bogata grafinia? Więc Josełe z płomiennymi włosami nie tylko obsługiwał młodą wdowę w łóżku, lecz jeszcze miał jakieś zatrudnienie... Ale jakie?

Tymczasem Josełe z płomiennymi włosami wrzucono do celi, w której odsiadywali swoje wyroki najgroźniejsi kryminaliści, do tego różni recydywiści, którym mokra robota służyła jako etykieta „godnej przeszłości". Właśnie do nich trafiło to chłopiątko o delikatnych rączkach. W dodatku te czerwone jak płomień kędziory, które stały się z miejsca obiektem, tarczą, do której kuksańcami strzelano bez pudła. No więc ta zabawa długo nie trwała i Josełe ze złotymi kędziorami i delikatnymi rączkami nie wytrzymał. Wkrótce umarł i pochowano go tam gdzieś, gdzie przeważnie chowają tych, co umiera-

ją w celi. Jego matka, Sosia z Kołk, dostała zawiadomienie, że taki a taki więzień zmarł i został pochowany na koszt państwa.

Tymczasem we wsi wzdychano i liczono na palcach, ilu to już Żydów ubyło. Niedługo, a nie będzie nawet tych dziesięciu niezbędnych mężczyzn do odprawiania nabożeństwa. Z żalem wspominano świetlaną przeszłość, kiedy w oknach świeciły się piątkowe świece, kiedy w Purim chodzili po wsi przebierańcy, a w Symchas Tojre pito wino, odwiedzano się po mieszkaniach i wyciągano kugle z pieców. A teraz wszystko upada, wszystko niknie, wszystko zamiera.

Ten umarł, ta zwariowała, tamta urodzi nieślubne dziecko, tamten zabity w więzieniu, jeszcze ktoś wyjechał na stałe za granicę, a na wsi całkowicie ginie stary obyczaj...

Choć nikt w owym czasie nie poświęcał większej uwagi międzynarodowej polityce i każdy jak mógł odpychał od siebie złe wiadomości, które jednak od czasu do czasu napływały, to mimo wszystko czuło się w powietrzu, że nadchodzi burza.

Któregoś dnia przyjechał do Jankusia Symche z Włodzimierca i radził mu w sekrecie, by wymienić obiegową walutę na złoto lub dolary. Jak najwięcej złota – podkreślał z naciskiem – a co lepsze czy wartościowsze rzeczy koniecznie w dobrym miejscu zakopać, do tego zrobić duży zapas soli.

– Mówię wam, że sól będzie na wagę złota. Za sól dostaniesz wszystko. Przysięgam – podniósł dwa palce w górę – że za sól reb Jankuś wykupisz się nawet od diabła.

Długo siedzieli przy dużym stole i rozmawiali. Sysł dołączyła do nich i przy herbacie zaczęła dogłębnie sondować Symchę, któremu choć niezupełnie, lecz musiała wierzyć. Symche, bądź co bądź, nie był Żydem wiejskim, lecz miasteczkowym, ponadto jeździł często w sprawach handlowych do Równego i do Łodzi, a najważniejsze, że nie był głupi. Sysł nie spostrzegła, by kłamał. Skoro twierdził, że będzie wojna, trzeba mu wierzyć, lecz trudno sobie wyobrazić, jaka ta wojna będzie.

– Więc twierdzisz, reb Symche, że wojna na pewno wybuchnie? To już pewne, że się nie pogodzą i że lepsze rzeczy trzeba koniecznie gdzieś schować? – wlepił Jankuś swoje małe świdrujące oczka w twarz Symchy.

– Przysięgam wam, reb Jankuś – bił się Symche w pierś – jak jestem Symche, że tylko patrzeć, jak się zacznie taka siekanina, taka bitwa, że trudno będzie znaleźć jakąś norę, by się w niej schować. Ja już sobie zrobiłem taki schron w piwnicy, w którym w czasie nalotów będę się mógł ze swoją rodziną przechować. Radzę wam, reb Jankuś, że ta wojna nie będzie taka sama jak w czternastym roku. Ta wojna będzie całkiem inna. Ona nie będzie co prawda ciągnęła się latami, tylko raz, dwa, najwyżej pół roku, nu, może rok, i koniec. Ale za to będzie takie spustoszenie, taki potop, że nie daj Boże! To będzie straszliwy potop, choć Pan Bóg dał słowo Noemu, że więcej świata topił nie będzie, a jednak zaleje go po raz drugi.

– To po twojemu, reb Symche, i Pan Bóg słowa nie dotrzymuje? – wtrąciła Sysł, przerywając na chwilę własne myśli, w których się zastanawiała, gdzie by najlepiej schować najwartościowsze rzeczy.

– Nie twierdzę – pokręcił energicznie głową Symche – że nasz Stwórca nie dotrzymuje słowa, ale teraz wymyślili takie wielkie samoloty, które zabierają setki bomb, więc jakże może Pan Bóg dotrzymać obietnicy, skoro nie ma takiego wykształcenia jak hitlerowcy. Owszem, Pan Bóg się zna na wielu rzeczach, lecz na nowoczesnej inżynierii czy matematyce on się wcale nie zna – wykrzywił Symche usta w smutnym uśmiechu.





– Głupi jesteś, Symche, i twoje wywody są głupie! – krzyknął Jankuś, czerwieniąc się na twarzy ze zdenerwowania. – Pan Bóg wysuszył morze, gdy chciał Żydów wyprowadzić z ziemi egipskiej, z domu niewoli. Gdy zechce, to zniszczy samoloty, a bomby zamiast lecieć do nas, wrócą i zniszczą własne domy. Wszystko, reb Symche, jest w rękach Boga i jemu, tylko jemu trzeba ufać i głęboko w niego wierzyć.

– W każdym razie – rzekł Symche niezbity z tropu – trzeba się do tych ciężkich chwil przygotować. Trzeba koniecznie mieć pewną ilość sucharków w plecaku, kłaść ubranie pod głową i być gotowym do ucieczki. Przysięgam, że to nie będzie to samo jak w czasie pierwszej wojny światowej, że na froncie trochę popukali, a tu u nas na tyłach jak u Pana Boga za piecem: Sysł bułki piecze, rybę gotuje, Jankuś pędzi samogon, żołnierze przychodzą, kupują, złotymi rubelkami płacą, interes idzie, że lepiej nie trzeba... Teraz będą strzelać z góry, z dołu. Kule armatnie, rozpylacze ognia, bomby, gazy. Taka pięciopudowa bomba nadziana trotylem, dynamitem i czym tam jeszcze, a gdy nie daj Boże spadnie na dach, cały dom się zwali, a w tym miejscu, gdzie stał budynek, zrobi się wielka jama, w której pojawi się woda jak w jeziorze. Z tej wsi, jak jestem Symche, może pozostać wielka kupa gruzów, wystarczy tylko pięć takich bomb, a wszystkie budynki się rozlecą.

– Oj wej, Symche – krzyknęła Sysł łapiąc się za głowę. – Skąd się wzięły u ciebie te straszne sny? To wszystko, co powiadasz, Symche, to nic innego jak zły sen. Gotowa jestem się rozchorować, dostać apopleksji od twego gadania. Powiedz mi, reb Symche, skąd czerpiesz te straszne wiadomości?

– Mówię wam, że to żadne sny – krzyknął Symche zrywając się z miejsca. – To rzeczywista prawda. Mam oczy otwarte, do tego często rozmawiam ze światłymi ludźmi, słucham, co oni mówią, ponadto czytam prasę i różne książki, które piszą, że po tej drugiej wojnie ludzie rozproszą się po całym świecie, że najbardziej ucierpią Żydzi, bo Hitler – szlag by go trafił! – twierdzi, że Żydzi są wszystkiemu winni. Skoro ten Hitler tak mówi, możemy się spodziewać, że dostaniemy od niego tych siedem egipskich plag.

S. 66–67: Mapa Litwy i Rusi, J. M. Bazewicz, 1911. Źródło: https://rcin.org.pl/

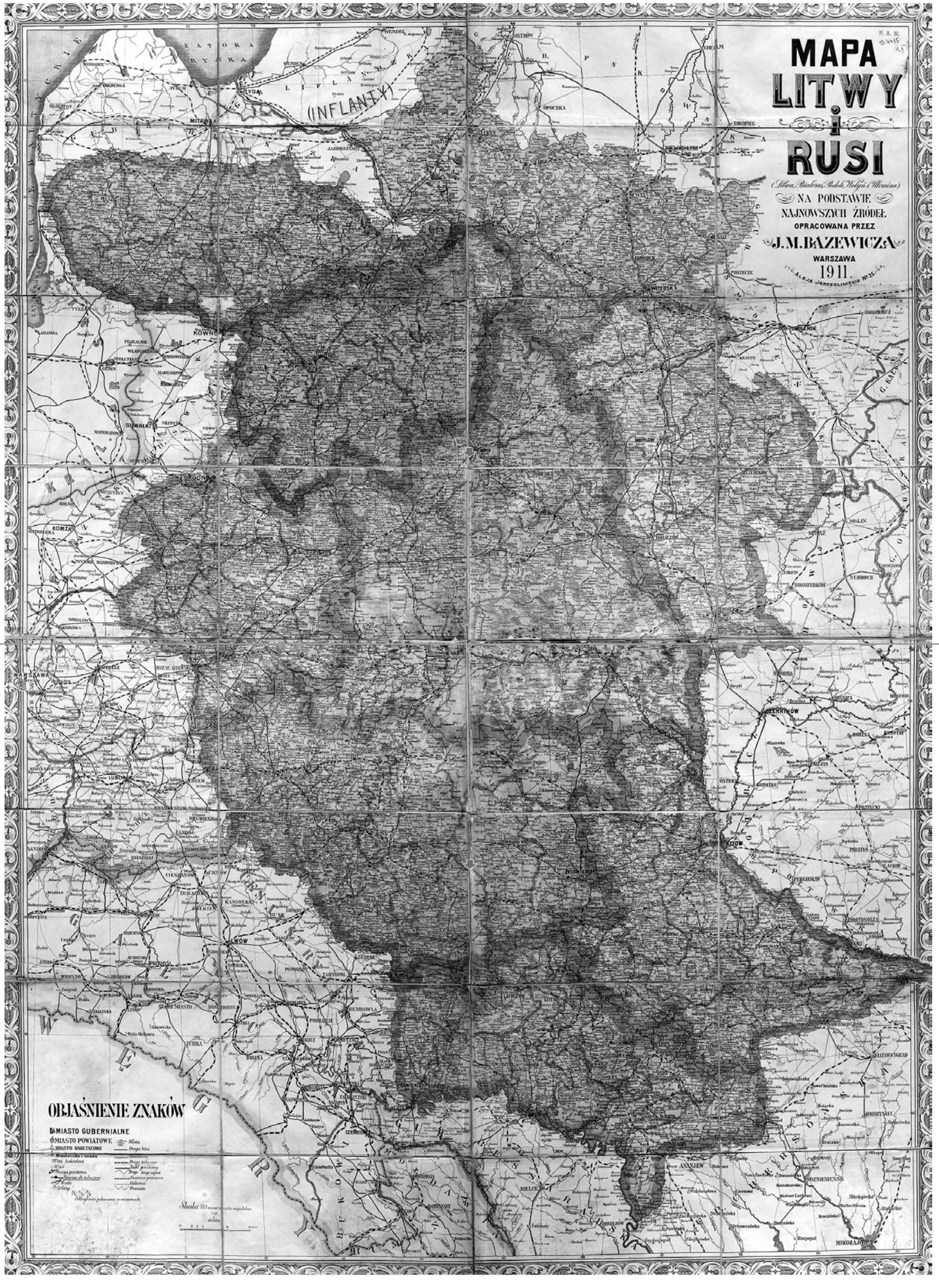
MAPA
LITWY
i
RUSI
(Litwa, Białoruś, Podole, Wołyń i Ukraina)
NA PODSTAWIE
NAJNOWSZYCH ŹRÓDEŁ
OPRACOWANA PRZEZ
J. M. BAZEWICZA
WARSZAWA
1911.
ALEJE JEROZOLIMSKIE № 25
(INFLANTY)
OBJAŚNIENIE ZNAKÓW
MIASTO GUBERNIALNE
MIASTO POWIATOWE
MIASTO NABIETATOWE
Skala 20 mil niemieckich angielskich

# Pajka córka Pajki

[fragment powieści]

Stefan Kowpiel wstał po nocy z ciężką głową i niewyspany.

Pajus się rozsypała i jak na złość urodziła czerwoną jak burak córkę. „Ażeby skisła razem ze swoją matką. Przez caluteńką noc nie dała zasnąć, tylko darła się kuwa-kuwa. Żeby można było się choć zdrzemnąć, z godzinkę pospać i zapomnąć".

Ta cholerna Pajus już dawno przestała go zajmować, jak padlina prześmierdła, w dodatku wczoraj widział Pacholczychę. Szła, nie dotykając ziemi, tylko ścieżka spod jej nóg uciekała.

Ech, co za chód. Ech, co za mołodyca. Co za uroda i jeszcze ta kwiecista z aksamitnym szerokim galonem spódnica. Jak pawi ogon błyszcząca i fałdzista. Nie za długa, nie za krótka, w sam raz by zakryła, co nie jest na pokaz. A te ruse kosy, a te piersi pod kaftanikiem, co mało go nie rozsadzą. „Ech, patrzyłbym na nie i patrzył calutki dzień i jeszcze bym się nie napatrzył. A u mnie co? Ślubna się rozsypała jak rozeschnięta beczka i jak na złość urodziła córkę".

Od pierwszych kogutów przewracał się Kowpiel z boku na bok pod szorstkim radnem [zgrzebny rantuch] i myślał, i dumał, a Chymka Pacholczycha wciąż otwierała czerwone jak maliny usta i śmiała się, pokazując ząbki białe jak rzepa.

Gdy tylko zapiał trzeci kogut, Stiopa wstał i zaczął się kręcić po ciasnej izbie. Zajrzał do okna, czy u Żyda się nie świeci. Chciał czym prędzej wyjść z domu, by nie wąchać śmierdzącego potu, który ciągnął z Pajusowego barłogu. U Wysplanika było jeszcze ciemno. Żyd jeszcze spał, wrócił więc i wlazł z powrotem pod szorstkie radno i przykrywszy usta i nos ręką, zaczął się przyglądać Ulianie, która też nie spała, tylko siedziała przy kominku, na którym paliło się smolne łuczywo, i przędła białą wełnę.

Tymczasem Kowpiela nie opuszczała złość, był bardzo spieklony i szukał zaczepki. Chciało mu się nawet walnąć swoją siostrę Ulianę za ucho za to, że już za tydzień skończy trzydzieści dwa lat i wciąż pietruszkę sieje, ani ślepy, ani kulawy, ani byle jaki dziad w swaty nie przychodzi. No, około szesnastki za mąż wychodzą. Pietrucha musiał aż do Archyreja prośbę posłać, żeby pozwolił jego córce wziąć ślub, bo jeszcze szesnastu lat nie miała. W niedzielę koło cerkwi tyle furmanek jak na jarmarku, tyle wesel, a Uliana siedzi bez kimbałki, jak stary grzyb. Matka niby różne czary zna, niby z biesem spółkę założyła. W wielkanocne święta nago śmiecie wynosi. Popiołem kąty obsypuje, a swata na lekarstwo, choć zaraz miasojed się skończy.

W pobliżu pieca na zmiętym barłogu postękiwała Pajka. Obok niej leżało spowite w stare pieluszki i mocno związane krajką dziecko, które wyglądało jak podłużny pieróg upieczony na Warwę.

Głowa Pajki leżała na szarej poduszce, z której spływały dawno nieczesane, czarne jak wronie skrzydło, włosy. Jej śniada jak u Cyganki twarz z zapadniętymi policzkami nie różniła się od konopnego radna, którym była nakryta.

Świekra Pajki, stara Kowpielicha, w płótnianej chustce związanej nad czołem na dwa rogi, gotowała rumianek i krzątając się koło pieca, ruszała szparkami ust, zamawiając gotowany wywar, który był przeznaczony dla noworodka. Gdy skończyła zamawiać uroki, przecedziła zioła i podeszła do położnicy i starą, żylastą ręką odwróciła synową na bok i powiedziała:





– Masz, Pajko, napij się gorącego naparu, prędzej wstaniesz. Już cztery dni minęły, jak urodziłaś, a ty wciąż leżysz. Powinnaś już wstać. Niedługo nadejdzie wielki post, a twój len nie sprzędzony. Co będziesz tkała?

– Mamo! O, tu mnie jeszcze ogniem piecze – rzekła słabym głosem położnica, lekko naciskając dłonią brzuch.

– Ej, co tam piecze, gdzie ci tam piecze. Ja gdy zalegałam, to ani dwa dni nie poleżałam. Złapie mnie, pamiętam, jeden ból, drugi, trzeci i już po wszystkim. Na trzeci dzień za okrwawione radna, za pieluszki i do „opołonki" [przeręblі]. Zima, nie zima. Mróz iskry krzesze. Kolana od zimna aż trzeszczą, a ja tylko kijanką co sił buch, buch, aż się krew w żyłach zagotuje, para z rąk zabucha jak z parowozu, wtedy robiło mi się ciepło, aż gorąco, a teraz patrz, jaka jestem żwawa, choć już nie pamiętam, kiedy się urodziłam, kiedy za mąż wychodziłam. Pamiętam tylko, kiedy stary Owsiej, Stiopy ojciec, pomarł. Musi to już być bardzo dawno, bo już moja matriona twojej małej pępek zawiązała. Musi ona już na około pięćdziesiątki. Stiopa już też nie młodzieniec, już by wnuki mógł mieć, gdyby nie ta Mikołajewska wojna. Na pewno byłby już u niego wnuk.

Pajka przechyliła głowę, piła gorący, gorzkawy napar i przyglądała się, jak dorodny Stiopa, jej mąż, stojąc przy oknie, przygładzał wąsy, przeglądając się w lusterku. Spojrzała na dziecko i westchnęła.

Skrzypnęły drzwi w sieniach, a do domu weszła sąsiadka, która trzymała pod czarną chustką okrągłą, dużą bułkę.

– Dobry deń – pozdrowiła sąsiadka, stojąc przy drzwiach. – Przyniosłam bułkę dla waszej chorej, niech nie je czarnego chleba, bo może jej zaszkodzić – powiedziała Rejza, którą zwali grubą Rejzą albo Wyslanichą, i podeszła do posłania, na którym leżała blada jak ściana Pajka.

– Jak się czujesz Pajko? – spytała Rejza, podając jej bułkę.

– Ech lentaj, gdybym zdjął pasa i tak parę razy plecy przełoił, od razu by wyzdrowiała. Cztery dni temu rozsypała się jak zgniła beczka i jeszcze dzisiaj w barłogu leży. A gdy zazula zakuka, gdy przyjdzie wiosna i trza będzie pójść w pole, Pajus dopiero będzie nic tylko w domu siedziała.

– Stepane, tak nie można – obruszyła się gruba Rajza. – Toż to baba, a nie przyrównując zwierzyna. Urodzić dziecko to ciężki kawał roboty. Gdybyś widział Stepan, jak mój Awrum skakał koło mnie, gdy urodziłam mu bachurka. Pilnował mnie cały tydzień jak oka w głowie. Chuchał, dmuchał, muchy odganiał, rosołki mi gotował, miód z jajkiem mi ucierał, żeby mi się tylko prędzej wnętrzności goiły.

Pajka podniosła się trochę, chudą ręką głaskała bułkę leżącą na szarej poduszce.

– Diaku tobi, Rejzo, za bułkę. Jak tylko wyzdrowieję, przyniosę ci kawałek płótna na ścierkę – rzekła cicho, przytulając bułkę do piersi.

Po tygodniu Matrona z Borysem ponieśli dziecko do chrztu. Świaszczenik pokropił noworodka święconą wodą i dał mu na imię Jowhenia. Stiopa zapłacił popu dwa ruble, wypili dwie flaszki samogonu i Pajus wzięła się do swoich codziennych obowiązków.

Wstawała o świcie, wiązała troczki od koszuli pod szyją, przypinała płótniany fartuch, zakręcała nieczesane włosy na kimbałkę, krzesała z krzesiwa iskrę i dmuchając co sił na hubkę, rozpalała pod wiszącym poświtaczem łuczywo. Gdy błysnął ogień, a w izbie zrobiło się jaśniej, siadała do kołowrotka i zaczynała prząść len, którego jeszcze miała sporo, a czas naglił, bo ot, ot skończy się miaśnica, nadejdzie wielki post i wiosna, kiedy trzeba będzie zabrać się do

krosien i w pole pójść, i krom tego ile jeszcze innej roboty w tym gospodarstwie na nią czeka.

W izbie było ciemno, choć płomień łyskał, lecz ginął, rozpraszając się pod niską powałą.

Pajus przędła cienką nić na białe płótna. Smyczyła len, że aż palce bolały od tego ślinienia i smyczenia.

Od czasu do czasu rzucała okiem na małą Jowhoczkę, która leżała w kołysce spowita ciasno jak okrągły walec i obwiązana krajkami od główki do samych nóżek, żeby nie była garbata. „Sama uparła się zobaczyć ten świat, niech choć będzie ładna i zdrowa, a nie krzywa" – myśli Pajka, popłakując po cichu, bo jej ojciec Stiepan łaskawy dla niej nie będzie. „Już minął ponad miesiąc, jak się córeczko urodziłaś, a twój batko na ciebie nawet nie spojrzał".

– Oj, hore, moje hore – zaszlochała po cichu – żeby Stiepana śpiącego na ławie przy oknie nie obudzić.

Na piecu zakaszlała jej świekra, stara Kowpielicha, której Pajus się boi jeszcze bardziej niż nawet swego męża, tego, który tylko pasem, żelazną sprzączką plecy posiniaczy. Ale który nie bije? Sztekal bije, Dziuba bije, Mróz bije, Jokisz bije. Nie ma takiego, który by swojej baby żałował i nie bił. I jakiż byłby z niego gospodarz, gdyby swojej baby od czasu do czasu po mordzie nie wyklepał? Ale świekra z diabłami trzyma. O północy zamienia się w żabę, na ogród wychodzi i z nieczystymi rozmawia. Przed świekrą trzeba się korzyć, trzeba jej się bać, bo w jej kleci wisi zasuszony ludzki palec, głowa hadiuki, skóra czarnego kota i jeszcze różne takie rzeczy, których świekra potrzebuje do różnych czarów, gdy chce, żeby kogoś pokręciło lub nogi mu odjęło.

Pajus jeszcze raz spojrzała na Stiepana, który spał bardzo mocno. Jego płowe wąsy podkręcone do góry, ruszają się przy oddychaniu.

Już bardzo dużo czasu minęło, jak nie śpią razem w komorze, choć jeszcze tam stoi zbite z desek szerokie łóżko, w którym leży pierzyna, poduchy – przywiezione z wianem aż z dalekiego kraju, którego nawet nazwy nie zna.





# W leśnej ziemlance

Już minął bardzo długi okres, jak Praczycha uciekła z miejsca zagłady. Już nie tylko straciła wiarę w powrót do normalnego życia, ale zgubiła nawet rachubę czasu. Nie wiedziała, jakie są miesiące, jakie są święta. Dowiadywała się tylko od Stiopy, że tego a tego dnia prawosławni obchodzą takie czy inne święto uroczyste lub mniej uroczyste. Ale nie wiedziała, w jakich dniach popadają jej święta i nawet o nich nie myślała. Czy to był czas na myślenie o świętach? Choć w swoim domu uroczyste święta zawsze wyprawiała bardzo kosztowne, aż jej w głowie się mąci, jak pomyśli, jakie były kosztowne i jakie piękne. Nigdy nie skąpiła grosza, by świąteczny stół uginał się od smacznych potraw, słodyczy i wszelkich owoców sprowadzanych z zamorskich krajów. Nie brakowało słodkich winogron, daktyli, rodzynek, fig, migdałów i świętojańskiego chleba. Z Saren przywoziła całe pudła czekolad, które bardzo lubiła. Zamawiała też u cukierników wyszukane ciasta i sama w domu też niemało piekła. Poza tym na stroje też niemało grosza wydawała. Na każde uroczyste święto, szczególnie na Nowy Rok czy na Jom Kipur lub na Pesach, szyła sobie u najlepszych krawców z najlepszych wełen, aksamitu czy jedwabiu w różnych kolorach – od białych jak śnieg po niebieskie jak niebo, czy czarne jak jej dzisiejsze dnie. Suknie były długie, powłóczyste, każdego roku inne, żeby w tych samych nie pójść do bożnicy, żeby broń Boże żadna z modlących się nie miała takiej samej. Ale to wszystko było, minęło i już nigdy nie wróci. Już nigdy nie będzie ani tych świąt, ani tych strojów, nawet wspomnienia wkrótce zaginą. Teraz siedzi w leśnej, ciemnej jak grób ziemlance, je tylko chleb, czasem świeży, czasem stęchły, twardy jak kamień. Od czasu do czasu z gryczanej mąki bliny zalatujące Stiopanowym potem, gdyż Stiopa trzyma je za pazuchą, żeby Ulita, jego żona, nie zobaczyła, że nie tylko chleb, słoninę, gotowane mięsko, a nawet gorące bliny wprost z patelni Żydówce wynosi.

Kiedyś Stiopa opowiadał, że Ulita, jego żona, go spytała, czy z tą Żydówką nie żyje. Bo z nią, z własną żoną, wcale i pokłóciła się z nim o to. Nie myliła się Ulita. Między nią a Stiopą już dawno nastąpiło zbliżenie, choć było to wbrew jej woli, ale nigdy się nad tym nie zastanawiała, gdyż łączył ich wspólny interes, wspólna gra. Oboje ryzykowali życie. Jego ryzyko było nawet większe. Ona już była zasądzona, ona już miała zatwierdzony bezapelacyjny wyrok śmierci. On natomiast nie podlegał żadnej karze, tylko sam dobrowolnie skazał się na śmierć, przyjmując to wielkie ryzyko, by ją, tę wyklętą Żydówkę, uratować od śmierci. Sosia nie zastanawiała się, czy Stiopa kierował się chęcią zysku, czy jakąś inną pobudką, lecz faktem było, że zaryzykował swoje życie i życie swojej rodziny, że postawił na jedną kartę, że albo ją uratuje, albo nie daj Boże sam zginie, lecz jak by nie było, tyle trudu jej poświęca i bardzo często z nią przebywa, a przecież ani on, ani ona nie byli starzy. Byli jeszcze w takim wieku, że od czasu do czasu coś się przyśni, a ciało zaczyna domagać się swoich praw, zwłaszcza gdy dwoje ludzi złączy obojętnie – szczęście czy nawet wielkie nieszczęście na osobności, a że Stiopa przebywał więcej w ziemlance niż w domu, musiało dojść do zbliżenia – i doszło.

Na początku chodził koło niej nie jak mężczyzna, tylko jak siostra miłosierdzia koło ciężko chorego. Dokładał wielkich starań, żeby ją odchuchać, odkarmić, żeby koniecznie nabrała ciała, żeby się stała koniecznie taka sama jak wtedy, kiedy wypasionym

koniem o lśniącej sierści zaprzężonym w bryczkę przyjeżdżała do niego po złoto. Sam nawet nie wiedział, dlaczego mu na tym zależy, żeby ta bogata Żydówka stała się znów taka sama, jaką ją dawniej widział, za jaką kiedyś wodził oczami.

„Czy mi się uda?" – zastanawiał się nieraz, niosąc jej coś dobrego do jedzenia.

Nigdy by się nikomu nie przyznał, że chciałby, żeby się stała znowu ładna, czupurna taka, jaka była dawniej, i zadziorna, kiedy patrząc na nią myślał: „Ot, baba. Ot, powalić się z nią gdzieś na świeżym sianie albo w lesie, czy w pachnącej koniczynie, obojętnie gdzie, byle tylko móc z nią pobaraszkować, połaskotać ją po tej białej, okręconej złotym łańcuchem szyi. Nie spodziewał się wtedy, ani mu przez głowę nie przeszło, ani mu się nigdy nie przyśniło, że przyjdzie taki czas, że nawet nie siłą, a dobrowolnie będzie mógł robić z nią, co mu się tylko spodoba – i doczekał się. Może ją przechowywać, może ją karmić, może ją całować, ile chce, może napluć jej w oczy, może ją rozebrać i nago wygnać z ziemlanki, może ją nawet zabić. Czy nie do niego teraz należy, a do kogo, jak nie do niego? Jestem jakby jej włodarzem" – myślał, śpiesząc do niej, by nie siedziała sama, by się nie nudziła, by czas jej prędko schodził.

Długo, oj, długo trwało, nim Praczycha doszła do siebie i przestała myśleć o śmierci, nim jej ciało przestało ropieć. Nijak nie mógł sobie rady dać z jej wrzodziankami, które bez przerwy ją atakowały. Jeszcze jedna wrzodzianka nie pękła, jeszcze jedna rana nie obeschła, a już druga wyskoczyła obok. Co nie robił, czym nie poił, jakich ziół nie przykładał – nie pomagało. Czyraki wciąż od nowa, jeden obok drugiego, to na piersiach, to na szyi, na plecach. Nieraz przechodziło mu przez głowę, że może jakiejś francy w tym getcie, w tym zbiorowisku się nabawiła albo może pod tymi lśniącymi spódnicami noszonymi niegdyś przez zadziorną Praczychę gnieździła się ta franca, ależ nie, te miejsca, gdzie lubi się ona gnieździć, były czyste. I na przyrodzeniu, i w pobliżu ani jednego pryszczyka nie było. Wszystkie dokładnie obejrzał, żeby się upewnić, czy to nie jakaś zaraza. Przez całutką zimę męczyła się Sosia z tymi ropnymi wrzodami. Wyła z bólu, kiedy obmywał rany lub wyciskał ropę. Nie mógł słuchać, kiedy jęczała, kiedy prosiła: „Zrób coś, Stepane, żeby mnie tak nie szarpało", a nieraz ze złością odpychała go od siebie, krzycząc:

– Odwal się z łapami, bo masz łapy jak rzeźnik. Myślisz, że jestem świnią, a ty ją szpikulcem.

– Pocierp, Sosia – prosił – inaczej nie można. Onucka przyschła od rana, trzeba ją oderwać, ranę trzeba obmyć, borsuczym sadłem posmarować i czystą szmatką zabandażować. Prędzej się zagoi – pocieszał.

Aż do wiosny trwała ta mitręga, w końcu kiedyś przyszło mu do głowy, że trzeba będzie pójść do Niedbalskiego. „Francuz uciekł, ale jego felczer został na miejscu. Powinien jeszcze mieszkać, jak nie obok pałacu, to gdzieś w pobliżu. Zaniosę mu kawałek słoniny, trochę gryczanych krup i poproszę o radę".

Nikomu nic nie mówiąc, nawet Praczychy nie wtajemniczał, powiedział jej tylko, że jutro nie przyjdzie do niej w zwykłym czasie. Być może się spóźni albo może wcale nie przyjdzie. Ma bardzo pilną sprawę do załatwienia.

– Ty się, Sosia, tylko nie bój i nie turbuj. Siedź spokojnie albo wypij kieliszek spirtu, żebyś mogła mocno zasnąć. Butelka ze spirtem stoi pod ścianą.

Przyniósł kiedyś do obmywania czyraków, ale gdy kropla na ranę spadła Sosia jeszcze bardziej wiżdżała.





Felczera zastał, jak przewidywał, w domu, tylko jakoś się zmienił. Postarzał się, zgarbił. Włosy mu na głowie posiwiały i zmarszczek bez liku na czerwonej niegdyś dobrze wypasionej twarzy przybyło i jakby ogłuchł, stał się głuszmanem i nogę ciągnął, jakby wrócił z frontu. Ale jakoś dogadał się z felczerem, któremu aż oczy zaświeciły jak wilkowi w nocy na widok grubej słoniny, którą wyjął z czysto wypranej torby. Na początku felczer Niedbalski mędrkował, że musiałby na własne oczy te wrzody obejrzeć, wtedy by wiedział, jaką maść zastosować. Radził, że najlepiej będzie chorą przywieźć do niego jutro z samego rana, wtedy on ją zbada, obsłucha i będzie wiedział, czy to świerzb, czy popsuta krew, czy może na tle wenerycznej boleści.

– Wiesz przecież, miły mój – powiedział felczer – że w czasie wojny wszelkie zaraźliwe choroby atakują ludzi nawet bez ich winy.

Stiopa przysięgał, że ani świerzb, ani franca, tylko zwyczajne czyraki, które nie wiadomo skąd się wzięły – czy z wody, czy z powietrza, czy Bóg wie skąd. Przywieźć chorej nie może. Woły mu Niemcy zabrali, a konia nigdy nie miał.

Felczer dał się przekonać. Kazał mu zaczekać, a sam zaczął szukać, stękając, po szafkach. Powyciągał blaszane pudełka, w których trzymał różne lekarstwa i znalazłszy, co mu było potrzebne, przygotował maść i jakieś jeszcze krople, i kazał, by tą maścią dwa razy dziennie smarował te wrzody, a krople na noc.

– Po dwadzieścia kropel na łyżkę wody. Chora po tych kroplach będzie spała.

Stiopa okrężnymi drogami biegł szybko z powrotem i żeby nikogo nie spotkać ze swoich, poszedł manowcami przez Francuza las, przez bród i na rychtę, i do zagajnika, gdzie znajdowała się ziemlanka, w której od przeszło dziewięciu miesięcy przechowywała się Praczycha.

Jeszcze kilka tygodni Praczycha męczyła się z tym ropnym paskudztwem, ale maść jednak pomogła. Jej ciało przestało puchnąć, czerwienić się i ropieć, nawet sina skóra się złuszczyła i narosła świeża. Praczycha wyzdrowiała, poprawiła się, odmłodziła i bardzo wyładniała.

Któregoś dnia Stiopa, pojąc ją brzozowym sokiem zaprawionym miodem, spojrzał na nią z lekkim upodobaniem i niemalże z zachwytem powiedział:

– Czy ty wiesz, Praczycho, że ty jesteś jeszcze młoda i bardzo ładna, choć ci tych kilku złotych zębów brakuje, a może mi się tylko tak zdaje, a może mam zdrakuny w oczach. Jeszcze trochę, a wydobrzejesz, to tobie i do chłopa się zechce. No nie? Praczycho, jak myślisz? Strach strachem, bojaźń bojaźnią, a ciało ciałem. Myślę, że może te wrzodzianki to przez to, że nie było komu twojej krwi przecedzić. Myślę, żeby i teraz ktoś twoją krew przecedził, nie męczyłabyś się tyle, i ja bym się tak z tobą nie męczył. Nieraz myślałem, że zgłupieję od twego skowytania, aż mnie głowa bolała od twego jęczenia.

– Czy ja skowytałam? Nie pamiętam. Bolało, cholernie mnie bolało. Gorzej niż tyfus. W tyfusie traci się przytomność i nie czuje się bólu, a tu wszystko się rozumie, wszystko pamięta. Ale mimo wszystko, Stepane, jesteś dobry, bardzo dobry, aż mi się wierzyć nie chce, że w tym wrogim świecie może się znaleźć taki Stepan, który przyhołubi Praczychę i będzie ją niańczył jak dziecko. Powiedz mi, Stiopa, czy tyś się nie brzydził mojego śmierdzącego ciała? – spytała, łapiąc go za rękę, która była szorstka i duża.

– Nie brzydziłem się, tylko się bałem. Myślałem, że może zdybałaś gdzieś francę, że może franca cię toczy, ale sprawdziłem, jej Bohu, sprawdziłem. Zajrzałem tu i tam.

Obejrzałem wszystko dokumentnie i zmiarkowałem. Gdyby to była franca, najwięcej tego paskudztwa byłoby na przyrodzeniu, a tam na szczęście ciało było czyściutkie, jak wykoszerowane, i wtedy pomyślałem: „Dzięki Bogu Praczycha się z tej biedy wygrzebie. Jeszcze będzie z niej baba hej, hej, i że mi się kiedyś odwdzięczy czymś fajniejszym niż pieniądze" – zarechotał, przykręcając wąsy.

Praczycha się nie śmiała. Przywołane słowa, które coraz częściej padały z ust Stepana, już nie robiły na niej wrażenia, choć wiedziała, do czego Stiopa zmierza, ale nawet nie miała mu tego za złe, gdyż wiedziała, że inny na jego miejscu postąpiłby z nią całkiem inaczej – albo siłą zrobiłby z nią, co chciał, albo wziąwszy od niej zapłatę, przekazałby ją Niemcom, albo innym łojcom, którzy nie gorzej rozprawiali się z Żydówkami niż Niemcy.

Nadeszła zima, której Praczycha się bardzo bała, choć od żniw panował tu spokój – całkowity spokój, nawet kukułka przestała swoim kukaniem budzić o świcie ze snu i inne ptaki zacichły, tylko las w górze ciągle ponuro szumiał.

Wszystkie przeżycia, wszystkie tortury myślowe stały się jakby nieco łagodniejsze. Przestała myśleć, że Stiopa odda ją kiedyś Niemcom. Przekonała się ostatnio, że Stiopie nie zależy nawet na korzyściach, które już ma, ani które jeszcze będzie miał. Była pewna, że do końca swoich dni będzie mu się odwdzięczała, czym będzie mogła, a wierzyła, że reszta majątku, który posiada, wystarczy nie tylko jej do końca życia, a poza tym spodziewała się, że Żydzi na całym świecie, którzy tej klęski nie zaznali, pomogą tym, co się uratowali. Spodziewała się, że dla tych ocalałych niedobitków pomoc będzie płynęła ze wszystkich stron świata, że z tej pomocy coś niecoś skapnie dla jej zbawiciela. Czyż Stiopa nie był jej zbawicielem? Przecież był litościwszy do samego Boga. Bóg skazał ją na poniewierkę, na pośmiewisko, na śmierć, a Stiopa wyrwał ją śmierci, dał schronienie, otarł łzy i zamiast torturować, lżyć, hańbić – pielęgnował, pocieszał.

Miała bardzo dużo czasu, żeby to wszystko dokładnie przemyśleć i też czasem upewnić się, że może jednak ujdzie śmierci. Przestała nawet się zastanawiać, co będzie po wojnie robiła. Zaczęła wierzyć, że skoro tyle czasu przetrwała i nie zginęła, to po wojnie tym bardziej nie zginie. Znajdą się ludzie, którzy tym, co cudem się uratowali, wskażą drogę, podadzą rękę i pomogą nauczyć się żyć. Bo żyć na pewno trzeba będzie uczyć się od nowa, nawet do własnej mowy trzeba się będzie przyzwyczajać, a czy w ogóle jakiś Żyd będzie chciał mówić własną mową, która przez tyle lat była zaklęta i wyklęta.

Jednego razu Stiopa przyszedł jakiś ponury. Kończył okrywać liśćmi ziemlankę i usiadł na pniaku obok piecyka, który niedawno wymurował, i dokładając suchą korę brzozową pod sosnowe polana, zamyślonym smutnym głosem powiedział:

– Praczycho, jakoś mi dzisiaj bardzo markotno. Ssie mnie tutaj w dołku.

– A to dlaczego? Może zachorowałeś, może zaziębiłeś się? – spytała zatroskanym głosem. – Chciałam się nawet spytać, co cię gryzie, że siedzisz, jakby ci ktoś kamień na szyi zawiesił – dodała, nie zdejmując z niego wzroku.

– Może kamień, może i nie kamień, ale jakoś mi dzisiaj markotno. Coś mnie tutaj gryzie – dotknął palcem dołka pod piersiami.

– Może dowiedziałeś się czegoś? Może pokłóciłeś się z Ulitą? A może ktoś doniósł Niemcom? – blednąc, dopytywała się z wielkim niepokojem, schylając głowę do jego rąk, które czuć było zbutwiałymi liśćmi.

– Ulita mi też doskwiera – rzekł, kiwając głową – i ma biedaczka rację. Cały majdan





na jej głowie. Co ze mnie teraz za gospodarz i co z mojej gospodarki zostało, a może wkrótce zupełnie sczeźnie, ale czy gospodarka będzie większa, czy mniejsza i tak gospodarzył na niej nie będę. Ona stanie się i tak kazionna – dodał.

– Ale nie o to mi teraz chodzi – powiedział, siadając przy niej.

Spojrzawszy na niego wnikliwie, rzekła:

– Czemu nie chcesz mi powiedzieć? Jestem pewna, że chodzi o mnie, że może Ulita ci zagroziła. Ja na jej miejscu też bym inna nie była – szepnęła, jakby do siebie. – Powiedz, Stiopa, czy ona nie ma racji? Przesiadujesz ze mną dniami i nocami, a co jej po pieniądzach, które ode mnie dostałeś? Co jej po tych dolarach? Ona i tak ich nie będzie widziała – mówiła szybko, a jej dolna warga, drżąc, posiniała, co świadczyło, że Praczycha się zlękła i zdenerwowała.

W ziemlance zrobiło się bardzo ciepło. Czerwony płomień, trzaskając bardzo wesoło, rozświetlał jej wnętrze i czarne ściany, na których chybotały się ich cienie.

– Wcale nie chodzi o Ulitę, o mnie chodzi – odezwał się Stiopa, patrząc na buchający płomień, który rozgrzewał żeliwną blachę na czerwono.

– Czuję – mruknął – jakby sam sobie z dobrej woli stryk na szyję zacisnął. Gdybym się spodziewał, że tak ono wyjdzie – szeptał po cichu – poczepiłbym sobie o tymi rękami – podniósł dłonie do góry, rozwierając szeroko palce – kamień do szyi, skoczyłbym z wysokiego brzegu do wody, z tego spod Kozitela. Widziałaś, jaki tam wysoki brzeg, jak góra, a pod nią przepaść bez dna.

Praczycha nie przerwała mu. Zastanawiała się, co to się mogło nagle stać. Czuła, jak jej serce zaczęło bardzo mocno bić, straciła nagle pewność, że przeżyje wojnę, w dodatku zakradł się niesamowity lęk i podejrzliwość. Zdenerwowana odsunęła się od Stiopy. Jego bliskość zaczęła jej ciążyć. Stała się nagle bardzo daleka, bardzo obca. Milcząc, patrzyła w ogień, który poprzednio bardzo lubiła, szczególnie wtedy, kiedy Stiopa, klęcząc przy obmurowanym żelaźniaku, rozpalał brzozową korę lub smolne łuczywo. W ziemlance robiło się wtedy ciepło i jasno. Choć czerwień tych płomyków niejedno jej przypominała, ale jednocześnie rozpraszała podziemną ciemność przypominającą grób.

Stiopa również milczał, tylko spod oka obserwował pobladłą twarz Praczychy. Po chwili się odezwał:

– Chciałbym ci coś, Praczycho, powiedzieć. Do czegoś ci się po sekrecie przyznać, ale coś mnie wstrzymuje. Nie wiem, z jednej strony mam wielką ochotę, z drugiej zaś się boję, choć jesteśmy z tobą bardzo blisko, choć znam cię może tak samo jak twój Jankiel, choć po dobra woli zgodziłaś się żyć ze mną w wielkim grzechu, ale to tak samo jakoś wyszło. Może to było dobrze, może i źle. Często orząc w polu, myślałem o tym. Sam nie wierzyłem, że coś takiego mogło się stać. Sam się dziwiłem, że ja, Stepan, mużyk w łapciach będę żył z tobą, Praczycho, lepiej niż z własną żoną, że ty Praczycho będziesz mnie wyglądała i na mnie czekała, a ja nie będę mógł się doczekać zachodu słońca, żeby jak najprędzej pobiegnąć do ciebie w cwał. Jak do tego doszło? Myślałem, orząc, że Stepan mużyk w łapciach z Praczychą za pan brat, że ja Stepan mużyk w łapciach znam jej ciało prawie jak jej Jankiel. I to nie siłą, a z dobrej woli garnie się do mnie jak do swojego. I jak widać, moja bliskość uzdrowiła ją. Diaku Bohu za to, że moja bliskość nie tylko złemu, ale i czemuś dobremu się posłużyła.

Westchnął, choć wzdychanie nie było w jego naturze. Lubił śmiać się, żartować i szybko wpadać w złość, szczególnie wtedy, gdy sobie coś przypomniał z młodości.

– Chodź, Stepane, usiądź tu obok mnie – wyciągnęła do niego bladą przetykaną niebieskimi żyłkami dłoń. Wzięła go za ramię i posadziła na krawędzi legowiska zbitego z desek i wymoszczonego sianem.

Posłusznie usiadł obok, ale nie tak, jak było w jego zwyczaju, tylko z daleka. Płomień z piecyka przedzierał się przez szparę w drzwiczkach i rzucał światło na jego twarz, i na pajęczą sieć, którą tkał, przebierając łapkami pracowity pająk.

Praczycha, przyglądając się przygnębionej twarzy Stepana, od którego doznała tyle dobroci, zamyśliła się. Po chwili chudą dłonią pogładziła szorstki policzek.

– Nie ogoliłeś się dzisiaj, Stepane. Ryża broda ci rośnie jak u Niemca. Co się stało, Stepane, że kapcaniejesz? Coś cię trapi na fest – pokręciła głową – skoro nawet ci się ogolić nie chciało.

– Nie chciało. Jej Bohu nie chciało. Pierwej jak szedłem tu do ciebie, wtedy jak ty byłaś taka zalękniona, taka niedorajda, taka chuda, taka nieuczesana, patałacha, a zamiast włosów na głowie miałaś niby grochowinę, wtenczas miałem ochotę być podobny do milicjantów, co służyli Niemcom. Chciałem być taki dorodny jak oni. Chciałem, jakby ci to powiedzieć, tylko nie pogniewaj się, upokorzyć cię. Przecież ja cię, Praczycho, przyjąłem dla interesu, a trochę w razie potrzeby za osłonę, ale najwięcej dla zysku, a twoje ścierwo wcale mnie nie obchodziło. Ja tylko myślałem, jakby najwięcej złota od ciebie wydębić. Czort jego wtedy wiedział, że wkrótce przestaną mnie twoje pieniądze obchodzić, a tylko co innego będzie miało sto razy większą wartość. Czy ty wiesz, Praczycho, że tylko za Chymą Pacholczychą ja tak ganiałem, jak teraz za tobą. Ale kiedy ganiałem za Pacholczychą, miałem dziewiętnaście i pół roku. Byłem młody i ona jak rozkwitająca róża, ale teraz kończę za miesiąc trzydzieści dziewięć lat. Mam dorosłe dzieci i syna, którego kości ziemia gdzieś przykryła. Dwie dorosłe córki i wnuka już miałem, którego na szczęście Bóg zabrał do siebie, żeby znajda na tym świecie się nie poniewierała – powiedział z ogromnym smutkiem w głosie. – Trzydzieści dziewięć lat, to już taki wiek, Praczycho, który każe się zastanowić nad swoją przeszłością, a moja przeszłość była głupia i zawadiacka. Żyłem jak jakiś nie wiadomo kto, czasem jak kocur, a częściej jak wilk. Mam ja, Praczycho, niejedno na sumieniu. Oj, mam, a najgorzej, że teraz chciałbym o tym zapomnieć, a tu nijak zapomnieć nie można, szczególnie teraz, kiedy pomyślę, że wkrótce wejdą ci, którym dużo czego jestem winien. Oj, winien Praczycho, winien, a najgorsze jest to, że tobie Praczycho przyniosą wyzwolenie, a mnie być może wieczną niewolę albo i jeszcze coś gorszego. Mogą mnie nawet powiesić.

Praczycha odwróciła głowę. Jego słowa napawały ją lękiem. Uważała go przecież za człowieka, który nigdy nikomu krzywdy nie zrobił. Przecież mógł zabrać jej pieniądze, a ją zgładzić lub wygnać, a jednak tego nie zrobił. Wiedziała, że wygnał pierwszą żonę, że miał potrójne dzieci, że obecną żonę Ulitę też traktuje tylko jako siłę roboczą, że jest dla niej twardy, że jest pazerny na pieniądze, że chce być bogaty, nie przykładając się do ciężkiej pracy. Ale są to sprawy, które nie powinny go napawać lękiem.

„Ci, co przyjdą, cóż mogą do niego mieć? Gospodarkę ma niedużą. Do band nie należał, a że jego syn gdzieś poszedł i zginął, a kto to może wiedzieć, gdzie zginął i za co zginął. Zginął i już. Setki, tysiące, miliony zginęły. Czy ktoś będzie się doszukiwał, za co zginęli?".

– Czy ukarzą kogoś za to, że moją rodzinę zamordowali? Że ja tyle czasu konałam w głodzie, chłodzie i trupach, że obdarli





mnie ze wszystkiego, że już wkrótce prawie rok siedzę w tym grobie za życia? – mówiła szybko, patrząc z wielkim niepokojem na jego zmienioną twarz.

Gdzieś wysoko jakiś ptak załopotał skrzydłami. Coś jakby zaskowytało i ucichło.

– Chyba myszołów złapał małego zajączka, a ten biedaczek aż zapiszczał, ot, lichą ma ten ptak siłę, zajączka w try miga pazurami poderwie i tylko zwierzaczek piśnie, i już po nim – powiedział Stiopa zamyślony, wstając z posłania, na którym siedział.

– Nikomu nie chce się umierać – dodał. – Nawet takie tchórzliwe stworzenie jak zając, i ono chce żyć, aż nieborak zapłakał jak dziecko. Ale co tam zając, żadne boskie stworzenie nie chce umierać. Każde boskie stworzenie piszczy po swojemu, gdy przedśmiertna chwila przychodzi. – Stiopa mówił cicho, jakby sam do siebie.

– Ale co my na to poradzimy? – odezwała się Praczycha przygnębiona. – Bóg ten świat niby tak urządził, żeby jeden żywił się drugim. Ty, Stepanie, zabijasz świnie, owce, ja kurę, koguta. Ileż to ja kur, kaczek, gęsi za swego żywota zjadłam? I nawet ani razu nie pomyślałam, że te stworzenia, gdy je zarzynają, tak samo boli jak nas, ludzi, a ty w tej chwili litujesz się nad zajączkiem, którego niby Bóg przeznaczył na pokarm dla orła. Coś tam u góry niedobrze wyszło – podniosła palec do niskiej powały, z której zwisały strzępy zeschniętego mchu.

– Prawda, Praczycho, prawda. Mnie wcale o tego zająca nie chodzi. Powiedziałem tylko tak, może to wcale nie zając, a tylko czyjaś dusza tak skowycze. Kto to może wiedzieć, co w takiej leśnej głuszy się dzieje.

Pokiwała głową ze smutkiem i rzekła:

– Stepanie, gdybym cię nie znała, tobym pomyślała Bóg wie co, że ty coś nie tego, że ty wciąż mówisz nie o tym, co byś chciał powiedzieć. Ty wciąż zagadujesz, ty wciąż motasz, tak jakbyś chciał coś wyrzucić z siebie i się boisz. Mnie nie masz się czego bać. Za bardzo jestem ci wdzięczna, żebym mogła ci kiedykolwiek coś przykrego zrobić – pogłaskała go po ramieniu.

– Może i tak, a może i nie. Ja tam babie najmądrzejszej nie wierzę, choćby to nawet była sama wielka Praczycha, z którą sam diabeł mnie splątał, przez którą zaniedbywałem własne choziajstwo, własną gospodynię, co prawda jej spódnica mnie nie pachnie, ale też i nie śmierdzi. Od biedy po ciemku i jej zadnica mi się czasem do czego przydaje. Nocą każdy kot jest czarny – powiedział bez uśmiechu.

Pokręciła głową zamyślona, choć była zadowolona, że zdołała go omotać, pomimo przeogromnej zmiany, jaka zaszła w jej urodzie. Ucieszyła się nawet, że Stiopa wyznał jej swą miłość, która dawała jej większą szansę na przetrwanie, choć to wyznanie nie było delikatne, tylko twarde, chłopskie, protestanckie. Takie samo jak sam Stiopa, co nie jest ani delikatny, ani miękki – tylko urody Bóg mu nie poskąpił, tyle że za tą urodą kryje się dziwne serce – to już jest inna sprawa. Tym bardziej była zadowolona, że bez czarów, bez wielkich starań zdołała tę dziwną naturę przywiązać do siebie, i to mocno, skoro nazwał ją wielką Praczychą i jakby miał żal do niej, że przez nią zaniedbuje wszystkich i wszystko – myślała, plotąc swoje włosy, które za ten czas bardzo długie urosły.

Nagle odsunął się od ściany, położył się obok niej i zaczął twardymi dłońmi ugniatać jej piersi aż do bólu. Patrząc jej w oczy, powiedział:

– Oj, Praczycho, gdybyś wiedziała, o czym ja myślę w tej chwili, to byś podskoczyła aż do powały – zarechotał dosyć głośno.

– O czymże, Stiopa, możesz w tej chwili myśleć niż o tym, o czym myśli każdy silny

parobek leżący obok baby, choćby ta baba była innej wiary czy ubezwłasnowolniona, bo przecież jestem ubezwłasnowolniona. No nie? Stepane? Bo gdyby było inaczej, siedziałabym nie tu, w tym podziemnym grobie, tylko w swoim domu pilnowałabym olejarni, gręplarni i krzyczałabym na swego Jankla. A ty, Stepanie, nie miętosiłbyś moich piersi, jakby ze złością. Czy nie tak, Stepane – powiedziała jakby niechcący, gdyż była zaskoczona jego słowami, które w chwili jego pieszczot nie przypadły jej do smaku, lecz starała się jego słowom i swoim nadać ton żartobliwy, czyli obrócić je w żart. – Stepane, wiesz co?

Objęła go ramionami, które pod jego opieką stały się znowu okrągłe i jędrne. Szepnęła:

– Zaraz ci powiem, jak do mnie mówił mój Jankiel, kiedy tarmosił moje piersi – zaśmiała się cichutko.

– Nu, jak? Powiedz! Nie wymyślaj, tylko prawdę powiadaj.

Pocałował ją w usta, kłując ją ostrym nieogolonym zarostem.

– Mój prosił: „Soskełe, królowo moja, duszko moja, królestwo moje, chodź tu do mnie. Chodź, czekam niecierpliwie na ciebie".

– A ty co? Kazałaś mu czekać?

– Jak czasem. Niekiedy, jak miałam ochotę, szłam do niego od razu, a czasem odwracałam się do ściany i udawałam, że śpię – zaśmiała się, choć specjalnie śmiać jej się nie chciało.

I raptem jakby się zgubiła, jakby jej natura doznała jakiejś przeogromnej zmiany. Sama już nie była pewna, czy żartuje, czy mówi prawdę, choć wiedziała, że czyni swemu Janklowi przeogromną krzywdę, odsłaniając ich intymne małżeńskie sprawy, lecz mimo wyrzutów, które jakby zakłóciły jej wewnętrzny spokój, nie była w stanie przestać wtajemniczać Stepana w swoje poprzednie życie małżeńskie, które – jak była pewna – już nigdy nie będzie takie samo. Bo w jej naturze, jak i w ciele, zaszły przeogromne zmiany, ponadto chciała jakby nauczyć Stepana, jak ma się do niej odzywać, kiedy ich ciała są blisko siebie.

– A czemu to on, twój pracz, do ciebie nie właził, tylko do swego legowiska zapraszał? Czy taki zwyczaj, że Icek musi jarmułkę na swoją Surę rzucić, a potem ją prosić, żeby do niego przyszła? A czy nie lepiej u nas, u mużyków, że pokąd są młodzi i do tej roboty skorzy, śpią na jednym legowisku? Nie musi tedy mużyk prosić swej baby, żeby mu pozwoliła zrobić to, na co ma ochotę.

Niezadowolona tym razem z siebie, uśmiechała się nieszczerze, pozwalając mu nieprzystojnie się wygadać. Radość, której przed chwilą doznała z faktu, jak jej się zdawało, swego zwycięstwa, nad tym prostym, acz bardzo przystojnym osiłkiem, którego ciało stało się dla niej bliskie, okazała się nieuzasadniona. Poczuła niesmak i wielki wstyd, że nie zdołała zachować godności w tym okrutnym czasie, w którym się znalazła i zwątpiła w swoje szczęście, w swój spryt, który pomógł jej przejść przez to piekło i jakoś się utrzymać przy życiu. Lecz czy to ocalenie było warte tego poniżenia? Bo czyż to nie poniżenie, leżeć w ramionach tego osiłka, który stał się panem jej życia i śmierci, którego pomimo obcowania z nim niemalże ponad rok nie poznała ani na jotę? Owszem, znała jego silne ciało. Jego muskularne ramiona, lecz nie zna jego duszy. Nie wie, co myśli, gdyż nigdy nie otworzył przed nią samego serca, nie powiedział jej, co go gnębi, jaki dźwiga ciężar, choć jest pewna, że coś go gniecie, że czegoś się boi – nie mniej niż ona.

Po chwili odgoniła te przykre myśli. Nad czym się tu zastanawiać? Zdążę jeszcze umrzeć, śmierć nie ucieknie. Prędzej czy później nadejdzie, a życie nawet w tych





mrokach, w tej ziemlance, jest piękniejsze niż tam, skąd już nie ma powrotu. Bo nawet w najgorszej katordze zdarzają się chwile ukojenia. Czy moim ukojeniem nie był ten osiłek, który pomógł mi jakoś do tej pory żyć? Więc po co te wyrzuty sumienia? Po co ta pogarda do samej siebie? Co komu przyszłoby z tego, gdybym umarła lub żyła w cnocie? Komu by się moja cnota przydała? Może memu Janklowi, lecz kto mi zaręczy, że on żyje, a gdyby nawet, czy on nie miałby prawa, tak samo jak ja, związać się może nie duszą, ale ciałem, z jakąś kobietą, która by pomogła mu przetrwać. Być może, jak się z nim kiedyś spotkam na tym lub tamtym świecie, wszystko mu dokładnie opowiem. Nie, nie zataję. Opowiem mu, jak się poniewierałam, jak we wszystko zwątpiłam, nawet o Bogu przestałam myśleć. Przyznam mu się, że żyłam ze Stepanem, że przywykłam do jego ust, do jego ramion, że nie on, mój ślubny mąż, ojciec naszych dzieci, pomógł mi wytrwać, tylko ten prosty mużyk, któremu zawdzięczam, że nie zgniłam we własnych odchodach. Wybacz mi, mój mężu, jeżeli nie zachowuję się teraz godnie, to dlatego, że w tym okrutnym czasie znalazł się ktoś, kto w zimowych nocach, kiedy wicher w lesie wyje jak dusze potępione, nie pozwolił mi skonać ze strachu.

# Wyspa nad Horyniem

Fragment niepublikowanej powieści Zofii Grzesiak *Wyspa nad Horyniem*

Jak raz minął już rok od śmierci ojca i jak raz w tym czasie, kiedy Chamberlain Anglikom witającym go na lotnisku uroczyście dał gwarancję, że to pokolenie wojny nie zazna. Jak raz w tym czasie ustalono datę wesela, ślubny wrzód przeszedł już wszystkie fazy, jak pełna żałoba po ojcu i lęk przed wybuchem wojny, że młodych mężczyzn będą mobilizować do wojska.

Wszystkie przeszkody zostały usunięte i żadnych wykrętów.

– Koniec – powiedziała Jojsefa matka. – Nie pozwolę, żeby moim honorem szastała jakaś tam z lalkowatym pyszczkiem Zulenke, którą za moje pieniądze utrzymuje mój bezmózgi syn. Koniec i basta – walnęła pięścią w stół – z wyrzucaniem moich pieniędzy w błoto, albo bierzesz z nią ślub w tym miesiącu lub najdalej w następnym, albo jedziesz do Dębicy i żenisz się z tamtą... – postawiła synowi sprawę jasno.

Syn w zupełności zgodził się z matką i powiedział, że on o niczym innym nie marzy, tylko o tym i niczego bardziej nie pragnie, by jak najprędzej zaprowadzić swoją ukochaną pod własny dach.

Zulenke jak raz zamiatała pokój, kiedy Jojsefa rodzice weszli do mieszkania. Jojsefa matka, jak na taką okazję przystało, ubrała się na bardzo bogato. Złoty łańcuch na szyi, złote kolczyki w uszach i mnóstwo złota na palcach. Nawet aksamitna spódnica była obszyta błyszczącym w złotym kolorze sutaszem, w eleganckich pantoflach na wysokim obcasie, z dużym kokiem ozdobionym szpilkami do włosów – prezentowała się wspaniale.

Ani śladu z dawnej Łabunisza córki, która biegała po wsi bez jednego zęba w ustach, w zgrzebnej koszuli, w wystrzępionej płachcie na plecach. Obecnie Łabunisza córka jest bardzo przystojna, w miarę tęga, z białymi, przetykanymi złotymi, zębami w ustach. Świadoma swej bogatej potęgi, czuje się dumna niczym hrabina, która ot, tak sobie dla kaprysu weszła do ubogiej chaty, by zobaczyć, jak biedacy mieszkają.

Więc Łabunisza córka, nie ta dawna, na którą nieboszczyk reb Abrum ben Mojsze akohen ani by nie spojrzał, ani by z tym plugastwem nie stanął na jednym chodniku, tylko dzisiejsza, stała na środku pokoju z dumnie podniesioną głową i rzucała okiem to na swoją przyszłą swatową, to na jej córkę, w której jej przygłupawy, bezmózgi syn się zakochał i trwoni pieniądze jak utracjusz... Jej, Łabunisza córki pieniądze, które w pocie czoła nie dojadając, nie dosypiając, zgromadziła.

Zulenke natomiast spoglądała na nią jak ta kura, co poczuje zapach krwi z kapoty Szojcheta i zatrzepocze skrzydłami. Tak samo zatrzepotało się jej serce.

– Córko moja, daj mi słowo, że spełnisz, o co cię w tej chwili proszę i jednocześnie ci nakazuję. Pragnę, byś wyszła za mąż za Jojsefa, żebyście obie z matką miały rodzinę – wyraźnie dzwonią w uszach słowa ojca wypowiedziane tuż przed śmiercią.

Zulenke wyszła dyskretnie z pokoju do kuchni. Miotła drży w jej dłoni, jakby to nie był pęczek brzozowych gałązek, tylko wilgotna dłoń nieboszczyka tatusia.

– Matka będzie miała rodzinę – szepcze Zulenke, jakby powtarzała za swoim ojcem i spogląda przez otwarte drzwi na tę potęgę bogatą, a jakże dla niej obcą.

Łabunisza córka ze swoim mężem Janklem powiedzieli bez wielkich wstępów, w jakim celu przyszli.





Zulenke matka, kryjąc naturalnie oczywistą prawdę, że jej córka nie chce ich syna, mówiła natomiast, że była żałoba po ojcu, a potem spodziewano się wojny, a ponadto co nagle, to po diable. Skoro ich dla siebie przeznaczył, to nie ma znaczenia, czy miesiąc wcześniej, czy później. Za ten czas nasze dzieci lepiej się poznały – kręciła, korząc się przed nimi jak poddany przed swoim dziedzicem.

– Zostaw no, Zulenke, tę miotłę i chodź no tu do nas – zawołała Łabunisza córka, stojąc w kuchennych drzwiach. – Powiedz mi no dziewczyno, czego się cięgiem kłócisz z moim synem – i nie czekając odpowiedzi, zadzwoniła gromkim cha, cha, cha i dodała – kto się lubi, ten się czubi... Pamiętasz, Jankuś – zwróciła się do męża – jak cię przed naszym ślubem chlasnęłam leszczem po plecach?

– Dziewczyno – zwrócił się Jojsefa ojciec, Jankuś, miękko – przyszliśmy dzisiaj do was, by ustalić jak należy datę waszego ślubu. Co ma być, niech już będzie w szczęśliwą godzinę. Najwyższy czas, żeby nasz Jojsef skończył z bieganiem do narzeczonej. On na to nie ma czasu, ale skoro się tak uparł, że żadna inna, tylko ty i ponieważ on tak chce, no to niech już będzie w szczęśliwą porę – ciągnął bardzo łagodnym głosem, lecz mimo to czuć było, ile wysiłku kosztuje go ten kaprys jego zwariowanego syna, dla którego przeznaczył całe swoje bogactwo.

– Mechuteneste – pierwszy raz Zulenke nazwała Łabunisza córkę, swoją przyszłą świekrę, jak się należało. – Dlaczego taki pośpiech? Jeżeli mnie nie pilno. Czemu Jojsef tak tęskni za małżeńską obrożą? Czy on nie wie, że małżeństwo to wielki obowiązek.

– Słodki obowiązek – odparła Jojsefa matka, chichocząc.

A Jankuś dodał:

– Od kiedy to dziewczęta zaczęły się bać małżeńskiego obowiązku?

Matka Zulenke, jak przestraszona kokosz macha skrzydłami nad swymi pisklętami, tak ona kręciła głową, dawała znaki oczami, aby broń Boże ta uparta, zwariowana córka nie rzuciła jakiegoś zbędnego słowa. Podsuwała miłym gościom krzesła, by usiedli, zaproponowała herbatę i jakiś kieliszeczek nalewki, którą, naturalnie, przyniósł po kryjomu poprzedniego dnia Jojsef, a córkę wysłała, by poszła na brzeg rzeki i zobaczyła, czy rybacy nie wrócili z połowu.

Gdy Zulenke wróciła do domu, usłyszała brzdęk, jakby gdzieś tłukło się szkło. To Jankuś, jej przyszły teść, rzucał jedną po drugiej dziesięciozłotówki, które spadając na stół, dzwoniły.

Matka Zulenke, siedząc naprzeciwko Jankusia, aż się zarumieniła ze szczęścia, które wyzierało z jej głęboko osadzonych źrenic. Natomiast oczy Jankusia były zimne i lekko przymknięte, a jednak widać w nich było ten charakterystyczny rys skąpstwa, z którego bez trudu można było odczytać, ile kosztuje go ten niepotrzebny według niego wydatek.

Matka Zulenke spojrzała na pieniądze, a było to chyba ze dwieście złotych. Zerknęła radośnie na córkę i jakby bez słów, tylko wzrokiem, jej powiedziała: „Widzisz córko, bez kłopotu wydasz się za mąż i jeszcze ślubną suknię ci kupią".

Gdy Jankuś kupkę z pieniędzmi dłonią przysunął w stronę Zulenke, spojrzał na nią i zagadnął:

– Za te pieniądze, dziewczyno, musisz sobie kupić, co ci trzeba. Myślę, że ta niebagatelna sumka powinna ci na wszystko wystarczyć. Zwróciwszy się do swej żony, rzekł – ty, Symke, oprócz posagu, i to wielkiego posagu, musiałaś naszą córkę ubrać od sukienki, pończoszki, aż do... do... do – nie mógł dopowiedzieć.

Jego żona Symke, przerywając mu, zachichotała:

– Ja, Łabunisza córka – stukała się palcem w pierś – pokażę całemu kahału i wszystkim dookoła, że stać mnie nie tylko córkom dać posag, ale również i synom. Mój ojciec, świętej pamięci Łabunisz, zapoczątkował majątek, ja, jego córka, zapoczątkuję dem i ches [dobry ród]. Od tego roku moja rodzina, rodzina starego świętej pamięci Łabunisza, związała się z najpiękniejszymi rodami. Nasze wnuki już będą miały za dziadków wykształconych prawdziwych miejskich kupców, rabinów i różnych innych duchownych – pokazała ręką na Zulenke, co miało znaczyć, że jej ojciec Abrum był duchownym. – Więc, Jankuś, nie żałuj pieniędzy, dołóż jeszcze dziesiątkę, jeszcze dwudziestkę. Niech dziewczyna wie, że idzie do naszego domu, że jej nowy dziadek po mężu ma na imię Łabunisz...

Dnie biegły teraz bardzo szybko, Zulenke wbrew swej woli szykowała się do wesela, szyła sobie u krawcowej z miasteczka wyprawę i jakby wstąpił w nią zły duch, robiła wszystko jakby na złość. Gdy narzeczony chciał, żeby ślubna suknia była z drogiego materiału, ona sobie kupiła jakąś kremowo-żółtawą popelinę najlichszego gatunku, tak samo postąpiła z wizytową i z innymi rzeczami potrzebnymi w tym uroczystym dniu.

I znowu gorzkie wymówki ze strony matki, jak również rozpacz narzeczonego, że jego rodzice nie żałują pieniędzy, a ona wciąż swoje fochy, gdy on pragnie, żeby w dniu jego największej radości ona błyszczała jak gwiazda, ona robi mu na złość i szyje sobie jakieś szmaty – skarżył się swej przyszłej teściowej. Ale najgorsze nastąpiło dopiero wtedy, gdy dzień przed ślubem trzeba było pojechać z Dobcią do miasteczka – do mikwy. Uparła się jak kozioł, że nie pojedzie i już. Ceremonia ślubna, jak chcą, niech tam, ale do mikwy? Za żadne skarby. Brat Icie, który przyjechał na wesele, wraz z mamą prosili:

– Zulenke, pamiętasz, co tatusiowi przed śmiercią przyrzekłaś?

– Tak, przyrzekłam. Dałam słowo, pamiętam, nie tatusiowi, tylko jego śmierci. Gdyby tatuś żył, nigdy by tego słowa nie dostał – mruczała z lękiem i jednak, by obrządkowi stało się zadość, pojechała do kąpieli.

Wracając z miasteczka do domu, czuła jeszcze smak zmętniałej wody falującej w kwadratowym zbiorniku. Sama łaźnia, czyli mikwa, była ciemna i ponura jak twarz starej posługaczki, która z ogarkiem w dłoni obcinała jej paznokcie, a Dobcie, która ją wiozła, wlazła z nią do zbiornika, by razem z nią się wykąpać, by ta kąpiel z narzeczoną przyniosła jej szczęście. Tak bowiem mówią stare prawdy, czy legendy.

„Jakie to śmieszne" – myśli Zulenke, siedząc na wymoszczonym wozie obok Dobci, która służy jej w tej uroczystej podróży za towarzyszkę i doradczynię, by wszystko odbyło się według starego ściśle przestrzeganego Zakonu.

Weselny wieczór od reszty spraw odcina się jakimś wielkim jazgotem, śpiewem, tupaniem. No i sypialna – nie Jojsefa, tylko reb Jojsefa, do której zaprowadzono ją zaraz po ślubie. Pokój, który dostała po Lijke, był co prawda obszerny, lecz nie było w nim pięknych mebli, obiecanych jej niegdyś przez Jojsefa, tylko te stare, które tu stały od lat. Nie miała jednak o to pretensji do męża, gdyż nigdy z nim po te meblowe zakupy nie pojechała, pomimo że nie raz i nie dwa jej proponował, by pojechała z nim do Równego i wybrała sobie sypialnię, jaką tylko by chciała. Lecz jego słowa tyle dla niej znaczyły co zeszłoroczny śnieg.

Któregoś dnia z samego rana zaszła do niej świekra i powiedziała:





– Zulenke, ja w twoich latach o tej porze obleciałam już całą wieś, bo wiedziałam, że muszę razem ze swoim mężem zarabiać na chleb. Na równi z moim Jankusiem zbierałam grosz do grosza, na równi z nim składałam do kupy. Nie tylko gdyśmy się pobrali, ale jeszcze wcześniej, gdy jeszcze byłam panną, przychodziło mi nieraz staczać boje z tymi, którzy chcieli mnie wyprzedzić, nawet twemu tatusiowi się dostało nad brzegiem rzeki, gdy chciał kupić szczupaka od rybaków, na którego jak raz ja miałam ochotę.

Rzeka Horyń, fot. Henryk Poddębski, przed 1939 r. Zbiory Biblioteki Narodowej - www.polona.pl

„Z moim tatusiem też?" – pomyślała młoda mężatka, patrząc pilnie na twarz świekry, która w porannej godzinie wyglądała surowo i drapieżnie.

– Nie leż, młoda kobieto – zasepleniła świekra, gdyż jej wspaniała szczęka zamiast być w ustach, pływała w szklance z wodą. – Wstań – powtórzyła – ubierz się i pójdź zobaczyć, czym się zajmuje twój mąż. Od samego początku musisz żyć tym, czym żyje mój syn. Musisz pracować razem z nim, tak rano, jak ja pracowałam z moim mężem, a gdy namnożysz tyle pieniędzy, co ja namnożyłam, wtedy będziesz mogła poleżeć sobie dłużej.

Słowa świekry zadziałały na synową jak zimny tusz. Wiedziała z góry, że nie sprosta temu zadaniu. Nie potrafi mnożyć pieniędzy, ani żyć tym życiem, co jej mąż. Wyczuła instynktownie, że została uwikłana w wieczną walkę nie do pokonania, że będzie musiała zmierzyć się z czymś niepomiernie strasznym.

– Co to ci jeszcze chciałam powiedzieć... – zasepleniła znowu świekra. – Aha. Do swojej matki będziesz chodziła mało albo wcale.

Do nas przyszłaś i do nas należysz. Nie lubię częstych kontaktów z rodzinami. Moje szwagierki mają mi za złe, że nie puszczałam i nie puszczam swego Jankusia do nich, gdyż nie chcę, żeby się z nimi bratał. Ładnie bym wyglądała, gdybym mu pozwoliła, codziennie by tu była kolejka, przychodziłyby po wszystko. Robiłabym tylko na nich. Do swoich sióstr też nie chodzę. Każda z nich ma swoją głowę, swoje ręce. Każda mogła robić to samo, co ja i żyć tak, jak ja. Ja niczym nie gardziłam – podniosła palec do góry. – Gdy trzeba było wydrzeć komuś na przykład worek z rozwidłakiem, a spodziewałam się, że zarobię na tym worku parę rubli, czy nawet polskich złotych, gryzłam zębami, pazurami, skakałam do oczu, aż wydarłam. A plotek było wtedy o mnie tyle, Boże, mój Boże – pokręciła głową. – Nazywali mnie złodziejką, szachrajką, kłamczuchą, bezzębną, brodatą. Czego to na mnie nie wymyślała rodzina mojego Jankusia... Ładna to ja nie byłam, nawet nie miałam czasu się umyć. Byłam w twoim wieku i jeszcze nie śmierdziałam groszem, kiedy paliła się we mnie jakaś chęć zarabiania, zdobywania i dorabiania się, a dopiero potem zacząć żyć. Pamiętam jak dzisiaj: leżę w łóżku, jest już po północy, a ja nie mogę spać i wciąż myślę, jak by to jutro zarobić parę groszy. Twoja matka w tym czasie, to znaczy się jeszcze za carskich czasów, piekła bułki i sprzedawała chłopom, gdy czasem któryś z nich zachorował, lecz ja do takiej roboty nie miałam cierpliwości... i co to był za zarobek? Za sprzedaż jednej albo dwóch bułek tygodniowo, taki zarobek to nie dla mnie, ja wolałam zerwać się po północy z łóżka, siadać do maszyny – spódnicę, zapaskę, ciach, ciach, gotowe, włożyć do koszyka i o czwartej godzinie rano, może jeszcze wcześniej, opiąć się chustką, koszyk pod pachę i hajda na wieś. Jeszcze wszyscy śpią, jeszcze wszędzie ciemno, a ja biegnę z koszykiem i tylko patrzę, i myślę, żeby tylko jakiś pies nie wyskoczył z podwórka i mnie nie pogryzł – zaśmiała się, odsłaniając dziąsła, które bez szczęki wyglądały fatalnie. – Nie patrz tak na mnie. Bez zębów wyglądam szkaradnie, ale dziąsła mnie trochę bolą, wolałam, żeby trochę wypoczęły. – Przykryła ręką usta – ale zęby, zębami – machnęła ręką – nieważne. Nie muszę przecież być zawsze wysztafirowana. Musisz mnie przecież widzieć, jak wyglądam na co dzień. Nieprawda? Przyszłam do ciebie z samego rana, gdyż muszę z tobą porozmawiać. W pewne sprawy rodzinne wtajemniczyć – pogłaskała ciepłą ręką synową po szyi. – Ale, ale, słuchaj. Ja wciąż cały czas gadam, a ty milczysz. Ja tak nie chcę – rzekła wstając. – Chcę, abyśmy razem współpracowały. I musisz wiedzieć, że zgodne współżycie między nami nie będzie zależało wyłącznie ode mnie, również i od ciebie. Jasne, że powinnaś mnie słuchać, ale ty też powinnaś od czasu do czasu coś doradzić, czy wydać jakieś polecenie, które by nam odpowiadało. Wtedy my, to znaczy ja i twój teść Jankuś, gdy uznamy, że jesteś coś warta, że zasługujesz na szacunek, potrafimy to należycie ocenić. A gdy docenimy, wtenczas będziesz mogła być spokojna, że ty i twoje dzieci, co mam nadzieję przyjdą na świat, będą zabezpieczone, że im niczego nie będzie brakowało.

Zulenke, zamiast się z tym zgodzić, podniosła rękę, spojrzała w jej stronę i dosyć głośno powiedziała:

– Czytałam niedawno w gazecie, że Niemcy znęcają się nad Żydami. Bogaci przeważnie uciekają za granicę.

– Ty chyba wcale nie słuchałaś, co do ciebie mówiłam. Ja ci o Mazurkach, a ty mi o Turkach – powiedziała nieco zgryźliwym tonem, nie kryjąc rozdrażnienia. – Pamiętasz, moje dziecko, gdy byłam u was, mówiłam ci wtedy, że czytaniem jeszcze się nikt nie najadł, że do jedzenia trzeba mieć kawał upieczonego chleba... Gazeta to tylko papier, na którym można wszystko napisać, gdy się tylko ma polot i ochotę. My w naszym domu nie zajmujemy się gazetami ani książkami, mam jednak nadzieję, że po stu dwudziestu latach pochowają mnie we własnej koszuli... – Miało to być przypomnienie, że gdy umarł Zulenke ojciec, nie było go za co pochować.

– Ależ świekro! To wcale nie kłamstwo, co piszą gazety, niedawno był u nas uciekinier z Niemiec. Mówił, że zrabowano mu wszystko, wypędzono z Hamburga i teraz błąka się w obcym kraju, wśród obcych ludzi. Bez grosza przy duszy... Gdy nam to opowiadał, płakał jak małe dziecko.

– Kto to tam wie, kim on jest i skąd on jest? Czy mało nierobów, oszustów i różnej innej żebraniny kręci się dookoła? Przyjdzie taki nierób czy oszust i powie, że został wypędzony z Hamburga i daj mu pieniędzy, bo on jest uciekinierem z Niemiec. A ja przysięgnę, że to ktoś z Równego, czy nawet z Warszawy. Żebrakowi ze Stolina dam dwa grosze na kawałek chleba ze śledziem na kolację, a takiemu da się kilkadziesiąt złotych, piękną pościel i świąteczny obiad, bo to nie nasz, tylko zagraniczny. Musisz wiedzieć, że wielkomiejscy oszuści potrafią ładnie swoje sztuczki zagrać. Nie bój się, mnie nikt nie zwiedzie. Ja doskonale znam się na sztuczkach. Ja też niejedno robiłam, gdy zachodziła taka konieczność.

Świekra przeszła się parę razy po pokoju, potem wróciła i usiadła na krawędzi łóżka. Swe bose nogi wyciągnęła przed siebie i ruszając dużym palcem o żółtym paznokciu, przyglądała się synowej.

Stary Jankuś mruczał pod nosem, jakby śpiewał czy się modlił, nagle głośno zawołał:

– Wajber [kobiety], czego tam siedzicie? Trzeba zajrzeć do gręplarni i pomóc młodemu gospodarzowi wełnę z wałów pozdejmować. Myślę, że czas, by nasza młoda gospodyni zapoznała się z robotą, którą jej mąż wykonuje – powiedział, wsadzając głowę w drzwi. Jego czarna jak heban broda ostrzyżona w klin dodawała jego twarzy coś tajemniczego, nawet jego oczy miały zimny wyraz, jakby coś złego się w nich czaiło.

„Zaczynając od świekra, aż po ich córkę Lijke, wszyscy mają coś złego, jakby bez wyrazu i wodnistego w swym spojrzeniu" – myśli Zulenke, patrząc z niepokojem na świekra, który również i ją świdruje swymi małymi rozbieganymi oczkami.

– Słyszysz, Jankuś? Nasza synowa martwi się na zapas. Troszczy się i powiada, że nie ma sensu rano wstawać ani pracować. Bo z Hamburga wypędzają niemieckich Żydów – zachichotała beztrosko, patrząc na swojego męża.

Jankuś, przestąpiwszy próg, mruknął:

– Wytłumacz mi, moja droga, jak to rozumiesz? – zwrócił się do młodej synowej.

– Mam na uwadze, że nie ma sensu tak zachłannie się bogacić. Trzeba by było raczej pomyśleć, żeby to hitlerowskie zło do nas nie przyszło.

– No dobrze – drapnął się po czarnej bródce w klin, więc po twojemu powinniśmy zamknąć młyn, olejarnię, gręplarnię. Słowem, przestać pracować, przejeść gotówkę i z założonymi rękami zacząć odmawiać psalmy jak twój nieboszczyk ojciec? Czy tym sposobem zażegnamy to zło, które według ciebie idzie z Niemiec? – patrzył na nią ostrym wzrokiem. – Myślę, Symke – zwrócił się do żony – że nasz syn dostał Kozaka w spódnicy za żonę – zarechotał cichym rechotem he, he, he i ciągnął dalej – zostaw lepiej, córko, te sprawy dla ministrów, a sama lepiej wstań, umyj się i przygotuj śniadanie dla męża, który haruje od samego świtu,

a po śniadaniu usiądziesz do maszyny i zaczniesz uczyć się szyć. Musisz tak samo jak twoja świekra umieć radzić sobie w różnych potrzebach czy okolicznościach – i zerknąwszy na żonę, dodał – Symke, musisz jej pokazać, jak się szyje kortowe kamizelki, jak się stebnuje. Gdyż ja bardzo tęskny za turkotem, gdy maszyna do szycia milczy, to jakbym ogłuchł. I musisz ją też nauczyć tej piosenki, którą zawsze przy szyciu śpiewałaś. Ha! Symke, pamiętasz? Jabłoczko kuda ty kotysia – zaklaskał w dłonie.

– Cha, cha, cha – zaśmiała się głośno świekra, aż się zakrztusiła. – Jankuś, od kiedy ty się zaczął interesować piosenkami, które kiedyś śpiewałam? A ja zawsze myślałam, że mój śpiew nic a nic cię nie obchodzi – powiedziała, przechylając głowę do tyłu.

– Ty się, mała, nie martw – zwrócił się znowu do synowej. – Hitler czy Niemcy, czy nawet ci prześladowani rzekomo Żydzi w Niemczech, to nie twoja sprawa. Dzięki Bogu i z boską pomocą będzie komu bez ciebie, bez nas o tym myśleć i nad tym się zastanawiać. A nas na razie nie powinni obchodzić niemieccy Żydzi... My jeszcze, Bogu niech będzie chwała, mamy tutaj całkowity spokój i mam nadzieję, że ten, co czuwa nad nami – podniósł oczy do góry – nie dopuści, żeby nasz spokój został zakłócony. A tobie łez zabraknie, gdy będziesz chciała płakać razem z tym hamburskim rzekomo wypędzonym Żydem, co prędzej może być kłamstwem niż prawdą. A gdy będziesz chciała za wszystkich głowę nastawiać lub gdy zechcesz wszystkie swoje pieniądze dla biednych porozdawać, wszystko jedno... Biedy nie załatasz, a pieniądze ci się skończą, nim ci powiedzą, że nie chcesz im już więcej dawać i znienawidzą cię jak najgorszego wroga. Dlatego bogaci nic nie chcą mieć z biedakami. Unikają ich jak zarazy, jak dżumy. A bogactwo, moja droga, nie leży we łzach ani w miękkim sercu. Ani go Bóg nie daje. Pieniądz leży o tu – stuknął się w głowę – i w rękach – wyciągnął dłonie, które rzeczywiście były bardzo spracowane, że aż gruzłowate. – A gdy masz pieniądze – ciągnął – wykupisz się nawet od anioła śmierci. Ten twój hamburczyk, nad którym płaczesz, był na pewno kapcan nad kapcami, bo gdyby miał fortunę, sam Hitler by go własnym samochodem za granicę wywiózł... Ha, powiedz, może nie? – pytał rozbawionym głosem.

– Słuchaj, mała – zaczął znowu, siadając obok żony na krawędzi łóżka, które miało na tylnej ścianie wymalowany widoczek z łabędziami pływającymi po jeziorze zarośniętym zielonym sitowiem, spała na nim poprzednio Lijke, a tymczasowo służy jako łoże małżeńskie, gdyż w planie jest sprowadzić z Równego komplet do sypialni.

– Słuchaj, mała! – powtórzył Jankuś, gładząc śliski adamaszek na kopercie watowanej kołdry. – Twoja sprawa, najważniejsza sprawa – rzekł rozmarzonym głosem – starych doświadczonych słuchać, swego męża gorąco kochać i na drugi rok o tej porze prać pieluszki naszego wnuka – wyciągnął rękę i pieszczotliwie pogłaskał ją po gołym ramieniu.

Na słowo pieluszki Zulenke się żachnęła, jakby ją coś ukłuło czy ugryzło. Na razie była jeszcze dziewicą... Tę najwstrętniejszą dla niej chwilę zdołała jakoś odsunąć. Pod tym względem Jojsef okazał się bardzo tolerancyjny i gdy prosiła go, że jeszcze nie jest całkowicie do tego aktu przygotowana lub że czuje się zmęczona, dawał jej spokój, lecz gdy ją gorąco całował, a jego dłonie swobodnie zanurzały się w jej ciele, wtedy szeptał nieprzytomny, jak w gorączce:

– Poczekam, kochanie, ale ja muszę mieć syna. Chcę mieć z tobą dzieci, dużo dzieci,





jak kartofli w mojej piwnicy, i koniecznie piękne dzieci, podobne do ciebie...

Gdy Jankuś wyszedł za drzwi, świekra odchyliła kołdrę i spytała:

– Podać ci szlafrok? – a jej wzrok ślizgał się po nocnej koszuli synowej. Była ciekawa, czy małżeństwo zostało skonsumowane. Czy zauważy ślad czystej dziewiczości. Choć nie robiła tego wyraźnie, młoda kobieta dobrze wiedziała, że chciała się upewnić, czy synowa spełniła swój obowiązek małżeński. Czy wszystko odbyło się, jak odbyć się powinno.

– Jankuś! – krzyknęła głośno świekra – ty jeszcze dzisiaj zajmij się sam interesami, a my, kobiety, jeszcze sobie pogadamy – mrugnęła oczami i uśmiechnęła się do niej troskliwym uśmiechem.

– Nu, nu, niech będzie po twojemu, Symke – machnął głową, stojąc za drzwiami i zawiązał mocniej bawełnianą krajkę na wyświeconej kapocie, co służyła mu jako domowy strój, który zdejmował jedynie, gdy kładł się wieczorem do łóżka.

Gdy zostały same, świekra zwróciła się do synowej i poprosiła:

– Zdejmij tę nocną koszulę przy mnie, nie wstydź się. Chcę obejrzeć twoje całe ciało, nie tylko twarz, którą widać, że nie jest brzydka, ale ja chcę zobaczyć twój brzuch, twoje piersi, jaką masz miednicę. Gdy tylko spojrzę, już będę wiedziała, czy będziesz miała lekkie porody, bo ja się na tym doskonale znam – mówiła, uśmiechając się, a jej oczy bezustannie krążyły wokół pościeli, jakby czegoś tam szukały.

Gdy Zulenke ściągnęła nocną koszulę i nałożyła dzienną, świekra przytuliła ją do siebie i powiedziała:

– Teraz usiądź, a ja ci opowiem, jak ze mną było, kiedy tak samo jak ty leżałam w noc poślubną w łóżku, a do sypialni przyszła mego Jankusia matka i zaczęła oglądać moje prześcieradło, a że była krótkowzroczna, jeździła po nim nosem i wąchała każdą plamkę. Musisz wiedzieć, że ona mnie nie chciała, gdyż byłam Łabunisza córką, która biegała po wsi i rżała jak klacz na chłopskich weselach, a gdy wiedziałam, że usiądę przy weselnym stole lub zatańczę kozaka, że aż polepa zadudni, a to skakanie przyniesie mi kilkadziesiąt rubli zarobku, nie wahałam się ani jednej chwili, wychodziłam na środek izby, brałam się pod boki i razem z Iwanem, czy z jakimś innym tupałam, skacząc, że nogami sięgałam aż do sufitu. Mój tatuś świętej pamięci mnie uczył: Symke, powiadał do mnie mój tatuś, gdy zechcesz zarobić, czy lepiej, jak to się mówi, dorobić, nie stroń od niczego. Gdy zajdziesz do chłopskiej chaty, bądź chłopką, mów, jak oni mówią, śpiewaj, jak oni śpiewają, a gdy cię poczęstują swoim, nie odsuwaj miski, gdyż nasz Bóg takimi sprawami, jak koszerne czy trefne się nie zajmuje, takimi sprawami zajmują się tacy Żydzi jak reb Abrum... Czyli tacy, jak twój ojciec, Zulenke, który przez całe życie nic innego nie robił, tylko się zajmował trefnym i koszernym, przez to nie miał ani jednego, ani drugiego... I co mi jeszcze mój mądry tatuś wtedy mówił. Symke, powiadał, gdy będziesz bogata, gdy będziesz miała dużo pieniędzy, to nie tylko wielcy, ale nawet rabini będą ci się w pas kłaniali. Ja, moja córko, niczym nie gardziłem, tak mi powiedział świętej pamięci ojciec. Z Cyganami handlowałem, często kradzione sprzedawałem, różne nie całkiem czyste interesy robiłem i rzadko kiedy biłem się za grzechy w pierś i nie za bardzo często przepraszałem za to swego Boga, a jednak mam nadzieję, że w piekle nie będę. Owszem, często bałem się, że mogę znaleźć się w więzieniu, bardzo się tego bałem, ale nigdy piekła. Tak powiadał do mnie mój tatuś, z którego do dzisiaj jestem bardzo dumna.

Lecz musisz, moja droga, wiedzieć, że miałam swoją sławę we wsi, która moją świekrę do szału doprowadzała, przez to zaraz po ślubie wtargnęła do mojej sypialni i dawaj tymi krótkowzrocznymi oczkami moje prześcieradło oglądać. No bo jakże to możliwe, żeby Łabunisza córka, co bezustannie się z mużykami w błocie tarzała, była dziewicą. Wiedziałam, po co przyszła. Chciała, by się okazało, że niejednego Jankusia huśtałam na swoim brzuchu, miała nadzieję, że się okaże, jak ona sobie życzyła i dadzą mi rozwód... Wyciągnęłam prześcieradło, podsunęłam jej pod nos i pokazałam. Świekro – powiedziałam ze złością – macie, powąchajcie. Pachnie dziewicą czy nie pachnie?... Wtedy zwróciłam się do Jankusia: pamiętaj, mężu, zrywasz z nimi raz na zawsze. Mogą pozdychać z głodu, mogą popękać ze złości, mogą powariować, mogą posiwieć pannami, mogą im kłaki ze starości powyłazić, a tobie nic do tego... Leszczem ci plecy wygarbowałam, będąc panną, drągiem kości ci połamię, będąc twoją żoną, gdy będziesz robił tak, jak oni ci każą.

– I nigdy do swojej rodziny nie zaszedł? – spytała Zulenke przerażona.

– Tylko wtedy, kiedy jego ojciec umarł. Ostatecznie jest jego kadyszem.

Zulenke zamilkła, jakby ją sparaliżowało. I ogarnął ją nagle taki lęk, że aż się bała spojrzeć na tę groźną kobietę, która tak otwarcie mówi o swojej nie nader chlubnej przeszłości. A tymczasem świekra, nie przerywając, ciągnęła dalej:

– Nie chcę, moje dziecko, żeby u mnie tak było, ale również nie chcę, żeby mój syn wziął sobie za żonę dziewczynę , która by nie mogła być dumna ze swej czystej dziewiczości... Nie chcę wąchać plam na waszym prześcieradle, jak to robiła moja świekra, lecz będę bardzo szczęśliwa, gdy któregoś dnia pojedziesz ze mną do mikwy. Teraz już rozumiesz, moje dziecko, po co do ciebie zaszłam dzisiaj od samego rana....

„Och, jak ciężko, jak ciężko" – pomyślała Zulenke z przerażeniem i czuła, że nie może pohamować łez, które pieką pod powiekami.

– Co, ty płaczesz? – zdziwiła się świekra, skoro płaczesz, jest to dobry znak, świadczy, że masz miękkie serce. Czy myślisz, że ja bym chciała mieć twardą synową? Byłybyśmy jak te dwa drapieżne koty w jednym worku. Ja bardzo kocham swego syna i wcale bym nie chciała, żebyś go drągiem waliła po plecach, jak ja nieraz swego Jankusia waliłam. Mnie to było potrzebne, ale nie tobie. Ja musiałam swoją wolę siłą wywalczać. Bo ja musiałam wszystko, co chciałam, pazurami wydrapać, często do oczu skakać, gdy wiedziałam, że to, co ja robię jest dobrze, a ktoś chciał inaczej, wtedy na nic nie zważałam i siłą postawiłam na swoim... Za to teraz wszyscy wokoło, nie tylko moje dzieci czy moja bliższa i dalsza rodzina, wiedzą, że ten cały majątek i te wszystkie posagi, które przeznaczyłam nie tylko dla córki, ale i dla wszystkich synów, tą głową i tymi rękami wypracowałam, czy jak kto woli, wydrapałam – wyciągnęła swoje bardzo ładne dłonie o długich opierścienionych palcach. – Z tobą będzie całkiem co innego – pogłaskała ją czule po plecach. – Po pierwsze jesteś bardzo piękna i pochodzisz z wielkiego rodu. Bądź co bądź twój tatuś, choć był biedakiem, to jednak był duchownym, choć jego duchowieństwo nic mu nie dało i do niczego się nie przydało, ale za to mnie się przyda, bo moje wnuki już będą miały talmudystów za dziadków, a to w moim wypadku bardzo się liczy, gdyż ja jestem Łabunisza córką, pochodzę z rodu, w którym ani jeden człowiek nie umiał się podpisać. Tobie, moje dziecko, wystarczy na wszystko. Ty nie będziesz musiała, moje dziecko, tak ciężko pracować, jak ja. Wystarczy, byś tylko słuchała, co do ciebie się mówi i kochała swego męża i urodziła mu tuzin zdrowych synów, może być nawet jedna piękna córka. O, posag będzie miała dobry, kłopotu nie będzie z jedynaczką.

„Wyjdź stąd stara piekielnico. Wyjdź, błagam cię. Zostaw mnie samą. Tatusiu, tatusiu czemuś mnie tak przeklął. Czym ci zawiniłam, żeś nałożył na mnie taką pokutę?" – mówiła bez słów wycierając łzy, które obficie płynęły.

Nagle ktoś wszedł do pokoju stołowego, w którym nikogo z domowników nie było.

– Wstawaj szybko – powiedziała świekra i podała jej żółty w czarne róże szlafrok, a sama wyszła z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Ze wstrętem nakładała bogaty, poranny strój kupiony jej przez męża. Z niechęcią otulała nim swoje ciało, które przestało być jej własnością. „Z jaką rozkoszą nałożyłabym swoją tanią kretonową sukienkę i wróciła do swego głodu" – pomyślała, patrząc w lustro wiszące na ścianie.

Nagle zrobiła parę kroków do przodu, podniosła wysoko głowę, wyprostowała się i szepnęła półgłosem:

– Spełniłam obowiązek wobec ojca, wzięłam ten nieszczęsny ślub, ale przecież nie przysięgałam, że będę z nim żyła. Odejdę stąd, choćby mnie łańcuchami przykuli. Synów płodzić mu nie będę. Choćby nawet przeklęli tę ziemię, na której stoję. Nie chcę być katem własnej duszy. Moje ciało należy do mnie i będę nim rozporządzała według własnej woli.

W pokoju, gdzie stała maszyna do szycia i skrzynia okuta żelaznymi prętami, zamknięta na dwie mocne kłódki, pod starym zegarem na drewnianej ławie siedział Szymen der Bałagóle. Jankuś przechadzał się po obszernym pokoju i drapał się bezustannie po brodzie w klin, która była bardzo rzadka, prześwitywała przez nią śniada skóra.

Wyglądało na to, że Szymen ma jakąś bardzo ważną sprawę, która wymaga zastanowienia. Świekra siedziała na krześle, chrupała czekoladowego cukierka, oblizywała wargi, pilnie śledząc kroki swego męża, jakby je liczyła.

– Nu, reb Jankew, jak będzie? Pożyczysz mi te sto złotych na procent, czy nie pożyczysz? – spytał Szymen, zawiesiwszy swój wzrok na obliczu Jankusia, który w dalszym ciągu chodził zamaszystym krokiem po pokoju, gdzie załatwiało się wszystkie interesy.

– Poczekaj, Szymen, muszę obliczyć i się zastanowić. Czy ty wiesz, Szymen – przerwał nagle Jankuś swój spacer i stanął naprzeciwko Szymena – przecież wiesz Szymenke, że w tym roku poszło u mnie mnóstwo pieniędzy. Niedawno wydałem za mąż swoją Lijke i musiałem jej dać ogromny posag i jeszcze wyposażyć jej dwie szwagierki. Musiałem po prostu kupić jej eleganckiego męża, którego ojciec był niegdyś pierwoj gildii kupiec z prawem zamieszkania w Peterburge. Syna również ożeniłem, który ani grosza posagu nie dostał i jeszcze musiałem wszystkie fatałaszki jej posprawiać. Niemało grosza na to wszystko popłynęło, żeby sprowadzić reb Abruma córkę do swego domu. Więc jak sam widzisz, Szymke, miałem bardzo ciężki rok, jakby się spalił cały mój majątek bez asekuracji...

– E, reb Jankiew, gdybyś nie miał pieniędzy, byś nie brał synowej bez posagu, ani byś zięcia nie kupował, skoro kupiłeś sobie wielkiego kupca, którego ojciec miał kiedyś prawo mieszkać w Peterburge, to znaczy, że miałeś w tym swój rachunek.

– Szymenke! Jaki tam rachunek?... Na moich wrogów taki rachunek, tylko moja żona na stare lata zwariowała i niedługo puści mnie z torbami.

– Nie puści, nie puści. Nie bój się, Jankuś. Ja wiem, co robię – przerwała Symke mężowi i spytała – Dużo chciałeś pożyczyć, Szymenke?

– Całą stówę. Zaraz podpiszę weksel, procent zapłacę z góry.

– A wiesz, Szymenke, jaki procent teraz bierzemy? – spytała Symke.

– Wiem, wiem. Za trzy miesiące zapłacę wam z góry, a jaki sobie odliczycie z sumy, to już wasza rzecz.

– Skoro wiesz, Szymen, to dobrze. Zamiast sto, dostaniesz od nas zaraz tylko osiemdziesiąt, a dług spłacisz nam w ratach.

– Dobrze.

Symke uśmiechnęła się, wkładając do ust drugiego cukierka.

– Dowiedziałem się wczoraj, że Kościenka, Loli Terentiewej bratanek, żeni się z ładną nauczycielką z Malińska – odezwał się Szymen, licząc pieniądze, które pożyczył mu Jankuś.

– Czy przez to, że Kościenka się żeni, musiałeś przyjść do nas po pieniądze? – zahaczył Jankuś.

– Kościenka, by kupić dla swej pięknej narzeczonej nowy faeton i parę karych, rasowych koni, sprzedał kawał łąki swojej ciotki i swój stary zaprzęg, który mi jak raz pasuje. Skoro własnych pieniędzy na ten niezbędny, w dodatku korzystny zakup nie mam, musiałem przyjść do was i pożyczyć stówę na procent. Jakież ja mam inne wyjście? – westchnął, wzruszając ramionami.

Zulenke weszła do kuchni, w której wisiało dużo miedzianych rondli do ryb, do smażenia konfitur. Cała ściana była zawieszona rondlami. Kwarty, kubki, blachy, patelnie w różnych rozmiarach. I duży piec chlebowy z płytą do gotowania, z mnóstwem wmurowanych półek, półeczek i schowków na garnki lub do suszenia łuczywa, czy ziarenek z dyni.

Naprzeciwko pieca było małe okienko wychodzące na podwórko, przez które dostawał się zapach oleju z pobliskiej olejarni, zmieszany z zapachem owczej wełny, która leżała w kącie, przygotowana do czesania.

W drzwiach Zulenke spotkała wchodzącego z podwórka swego męża.

– Już wstałaś? – spytał z radosnym uśmiechem na twarzy. – Tę kuchnię każę odnowić – zwrócił się do niej, patrząc na zakurzone ściany. Po chwili z blaskiem w oczach podszedł do niej i rzekł: – Mam nadzieję, kochana, że najdalej za dwa, trzy dni, kiedy wypoczniesz, pojedziemy do miasteczka. Prawda, że pojedziemy? I zajdziemy do sklepu z porcelanami i kupisz sobie, co tylko będziesz chciała. A to wszystko, co tu wisi – pokazał ręką miedziane garnki – wyrzucimy do spiżarni, tam miejsca jest dosyć, a na tej ramie porozwieszasz emaliowane naczynia i porcelanowe. Pieniędzy, kochana, mam dosyć.

Nagle spojrzał jej w oczy i spytał:

– Co ty, Zulenke, wyglądasz, jakbyś płakała. Gniewasz się na mnie, że wstałem tak rano, że zostawiłem cię samą? Musiałem – powiedział przepraszającym głosem. – Miałem trochę pieniędzy u gospodarzy, które nie wchodziły w gospodarską całość. Nie wszystko musi mój tatuś wiedzieć i brać pięćdziesiąt procent z całego rachunku. Już dobrych parę lat jak handluję po trochu na własną rękę – rzekł z tajemniczą miną i dodał – Och, moja kochana, gdybyś ty wiedziała, jaki jestem szczęśliwy. U mnie bezustannie jest teraz Symchas Tojre, Symchas Tojre – zanucił wesoło, przytulając jej głowę do swej rozłożystej, zalatującej smarem piersi, pocałował ją gorąco w usta.

– Jojsef, czuć ci z ust – krzyknęła odpychając go brutalnie od siebie. – Albo myj zęby, albo pójdziesz do dentysty, albo już sama nie wiem, co zrób – warczała, odpychając go





od siebie. A Jojsef, nie pozwalając, zaśmiał się radośnie i powiedział:

– Za to twoje pachną cudownym zapachem i należą do mnie. Teraz mi już nic nie grozi, ani moje zęby, ani mój smród. Jesteś już wedle boskich przykazań moją żoną. Mieszkasz w moim domu, spałaś w moim łóżku. Całą noc trzymałem w swej dłoni twoje piersi... Aj-jaj, jaka radość – zawołał, kręcąc się wokół niej jak bąk – aj-jaj Symchas Tojre, Symchas Tojre – nucił, podrygując wokół niej w szalonym tańcu. – Czy ty wiesz, Zulenke, że całą noc nie spałem, leżałem obok ciebie i patrzyłem na ciebie? Choć było ciemno, twoja twarz jaśniała, jakby była oświetlona, widziałem, jak oddychasz, jak otwierasz usta przez sen. Spałaś twardo i nie słyszałaś, jak całowałem twoje piersi, twoje pachnące włosy i myślałem, że ta noc i następna, i setna będzie taka sama, że każdy szczegół twego pięknego ciała jest mój, że każda jego cząstka należy do mnie, byłem pewny, że jeszcze na tym świecie wstąpiłem do raju.

Zulenke umyła twarz nad miednicą, taką samą, jaka stała w kuchni jej rodzinnego domu, i zazdrościła mężowi, że osiągnął swój cel i pełną radość z tego faktu. Gdy ona...

– Jojsef, pójdę dzisiaj do swojej matki – powiedziała, patrząc na zakurzone okienko, przez które słabo sączyło się światło.

– Koniecznie już dzisiaj?

– Koniecznie, tęsknię do domu, do mamusi, wprost wytrzymać nie mogę.

– Mnie to nie obchodzi. Mogę nawet zaprząc konia i cię zawieźć, ale moja matka zacznie się gniewać – odparł, patrząc, jak wyciera ramiona szorstkim płótnianym ręcznikiem, jak różowieje skóra na plecach i dodał – Nie chciałbym, żeby już na samym początku między tobą a moją mamą nastąpiły nieporozumienia. Moja mamusia ma dwa serca – dobre i złe. Pragnąłbym jednak, by to dobre należało do ciebie.

– Więc chcesz Jojsef, żebym zapomniała o swej matce? – krzyknęła, a w jej oczach pojawił się ostry blask.

– Skądże. Ja jestem taki szczęśliwy, że mógłbym nie tylko twoją matkę, lecz wszystkie matki przytulić do siebie, jednak moja matka jeszcze nie jest na razie taka szczęśliwa... – stał nad nią i mówił szczerze jak dziecko.

„Boże, pomóż mi, bym go pokochała. Przecież on nie jest winien, że się zakochał, że skierował swe uczucia w niedobrym kierunku". W tej chwili nie wiedziała, co pokona jej sumienie – litość czy nienawiść. Niemniej nie potrafiła wykrzesać cieplejszej iskry, by spojrzeć mu w oczy. Ręcznik, którym się wycierała, pachniał olejem. „Dookoła tu tylko olej i wełna" – pomyślała, patrząc na spotniałą szybkę, przez którą nic nie było widać. Na myśl o wielkich oknach, które czyściła co tydzień, by były przejrzyste na szabes, zrobiło jej się słabo. „Gdyby namówić męża i urządzić się przy matce, może byłoby mi lżej... Ależ nie, skoro ten człowiek stojący tu przy mnie, którego zły los przeznaczył dla mnie na męża, któremu winna jestem mocą nakazu bożego szacunek, któremu mam płodzić synów, a który jest dla mnie wstrętny. Jakaż to będzie różnica, czy w tym domu, czy w tamtym?".

Śniadanie jedli przy stole w jadalni, tylko we dwoje. Jojsef wlewał kakao z wysokiego dzbanka, który miał wykrzywiony dzióbek i zakopcone dno od częstego podgrzewania, gdyż w ich domu rzadko kiedy jedli wszyscy razem i na czas. Każdy, kto przychodził wcześniej, podgrzewał sobie kakao, czy kawę, czy tylko samo mleko i jadł szybko, bo zawsze czekała jakaś robota, którą trzeba było zrobić.

– Pij kakao, smaruj grubo masłem – zachęcał – nie żałuj sobie. Chcę, żebyś była gruba i zdrowa jak moja matka. Musisz spożywać dużo tłuszczu, bo gdy pracują wszystkie maszyny, szczególnie gręplarnia, jest tutaj pełno kurzu. Najwięcej, gdy czeszą się konopne pakuły, wtedy jestem cały zakurzony, nawet pluję kurzem. Poczekaj, zaraz ci opowiem, jak ja się chronię od gruźlicy. Wstaję o świcie i idę od razu do stajni, gdzie kilka naszych kur ma swoje gniazda. Wyciągam trzy, cztery jajka, igłą cioch, cioch, przechylam głowę i gul, gul jak wodę, skorupki – hen, hen za płot i w konopie, mówię ci, gdyby moja mama wiedziała, kto jej jajka z gniazda wybiera, nie wiem, co by za to zrobiła. Czemu tak mało zjadłaś? – spytał pełen troski, głaszcząc ją po twarzy.

– Nigdy dużo nie jem. Nie mogę, poza tym nie lubię – mruczała, połykając z trudem, gdyż naprawdę to jedzenie więzło jej po prostu w gardle.

– To może ja zrobię zaraz jajecznicę? Bo naprawdę ja nie wiem, co ci dać do jedzenia – patrzył na nią zakłopotany.

– Puść mnie, Jojsef, do mojej matki. Ona już będzie wiedziała, co mi smakuje – rzekła, siląc się na spokój.

Jojsef przysunął się bliżej i nachylił się do niej, jakby chciał jej coś powiedzieć na ucho. Poczuła nieświeży zapach jego ciała odwróciła głowę.

– Nie odwracaj się ode mnie – szeptał, przytulając ją do swego policzka. – Chcę, byś tylko patrzyła na mnie – uśmiechał się szczęśliwy.

Z gręplarni dochodził łoskoczący terkot wałów i głos bab wołających jedna do drugiej: „Kręć, kręć Sokirczycho. Czemu ledwo ruszasz korbą?".

– Jojsef! Jojsef – darła się jego matka z głębi – siedzisz tylko przy stole i patrzysz wciąż na żonę jak cielak na malowane wrota, przy wałach nie ma nikogo, a ja słyszę po łoskocie, że coś tam nie w porządku.

Jojsef zerwał się i jak na skrzydłach poleciał do maszynowni.

Świekra spojrzała na synową i bez słowa podążyła za synem. Zulenke wstała prędko, pozbierała naczynia, zaniosła je na kuchenny stół, na którym stało już wiele niepomytych garów. Nagle poczuła oddech świekry za plecami. „Którędy ona weszła? Nie słyszałam wcale kroków" – pomyślała Zulenke z trwogą.

– Cha, cha, cha – zarechotała świekra na cały głos – zaskoczyłam cię? Weszłam jak duch, prawda? Drzwiami nie wchodziłam, a jestem. Figiel, co?

Zulenke wzrokiem szukała ukrytych drzwi, czy jakiegoś innego otworu, przez który weszła świekra.

– Szkoda fatygi, moja droga, nie znajdziesz – machnęła świekra ręką, śmiejąc się do rozpuku. – Twoja świekra powie hokus-pokus i wleci przez komin jak prorok Eljasz. Twój tatuś takich sztuk nie umiał, bo znał tylko Talmud. Ja znam kabałę, przeto fruwam bez skrzydeł – śmiała się od ucha, do ucha.

Przestraszona Zulenke nie zdejmowała z niej wzroku. Diabeł czy co? Wszystko jedno. Niesamowita...

Po chwili świekra podeszła i pogładziła ją po głowie.

– Nie bój się, mała, nie jestem duchem. Jestem żywym człowiekiem i chodzę własnymi nogami. Nie martw się, nie fruwam na skrzydłach. Chodź, pokażę ci, którędy weszłam bezszelestnie – powiedziała świekra, biorąc ją za ramię.

Świekra dotknęła ścianki za piecem, która się odchyliła, odsłaniając zamaskowany schowek.

– Do tego schowka można wejść z ogrodu, gdy zachodzi potrzeba, również z gręplarni – powiedziała poważnym tonem świekra.





Ta zamaskowana komórka nie miała okna, tylko przez szparę w ściance sączyło się trochę światła.

– Gdy się ma taki duży interes – rzekła świekra, zasłaniając sobą wejście – trzeba mieć kilka takich zamaskowanych przejść lub schowków. Czasem zachodzi konieczność, że trzeba się rozpłynąć jak kamfora, zniknąć jak duch. Niejeden raz ta norka była dla nas zbawieniem. Niejeden raz – dodała ze smutkiem i wprawnym ruchem dotknęła deski, która cicho jakby na rolkach zajechała na swe miejsce. – Nigdzie ani znaku, że tam jest próżnia... Ściana, normalna ściana jak tu, jak tam – pokazała oczami kuchenne ściany – to jeszcze mój tatuś, nieboszczyk Łabunisz, tę skrytkę wybudował... Sam, bez niczyjej pomocy. Ani jednego człowieka oprócz niego przy robocie nie było. Przeważnie nocą przy tej zamaskowanej skrytce pracował. Ach, mój tatuś świętej pamięci, mój tatuś to był człowiek – kiwała głową w obie strony – takich ludzi teraz nie znajdziesz. Z taką siłą, z takim rozumem, z takim sprytem, nawet gdy już śmiertelnie zachorował, nie stękał, nie chrząkał, nie leżał pod pierzyną, tylko siedział na krześle, jak siłacz, a gdy poczuł, że umiera, przywołał mnie do siebie i powiedział: „Symkełe, umieram, tylko, córko moja, żadnych płaczów, żadnych lamentów. Lejbisz chce umrzeć tak samo, jak żył... Pieniędzy, Symkełe, zostawiłem ci sporo, lecz pierw weź mnie pod rękę i zaprowadź do kuchni, pokażę ci pewne miejsce i nauczę cię, jak się tam dostać, jak zniknąć. Jest to tajemniczy magazynek, w którym dużo znajdziesz, ale ty, córko, musisz jeszcze dużo pracować, żeby twoje dzieci nie musiały już z takich tajemniczych norek korzystać". Następnie wyprowadziłam go z powrotem, posadziłam na krześle i zaraz za pięć minut umarł. Nie! Nie umarł, zasnął, nawet z pięknym uśmieszkiem na ustach. Pracowałam dużo – rzekła, składając dłonie jak do modlitwy. – Mój tatuś świętej pamięci nie będzie miał do mnie żalu. Skrupulatnie wszystko spełniłam, jak sobie życzył. Nie powiem, że mi Bóg nie pomagał, że nie pomnożyłam majątku... Pomnożyłam, i jeszcze jak, dzięki Bogu pomnożyłam i ani jedno dziecko mi nie umarło. Czworo urodziłam, czworo wychowałam. Szalała we wsi ospa, szkarlatyna. Lejkełe, Awigdorke, Senderyl, Duwidke i Jojsef leżeli w samych strupach. Przywiązywałam im rączki do łóżka, by nie mogły pazurkami rozdrapywać strupów. I dzięki Bogu wyzdrowiały moje kochane dzieci, choć się przyznaję, że przeważnie leżały same, całkowicie bez opieki, gdyż miałam mnóstwo spraw do załatwienia na wsi i musiałam je zamknąć w domu na klucz, a sama lecieć do gospodarzy, z którymi prowadziłam interesy. Po drugie, nie byłam w stanie patrzeć na ich męczarnię. Każdego dnia zaglądałam do tego schowka i ten schowek był dla mnie jakby ukojeniem, w tym schowku modliłam się gorąco do Boga i wzywałam swego tatusia Łabunisza, wołając: „Tatuniu, ty mnie w nieszczęściu nie opuścisz!". Byłam pewna, że po takim wołaniu moje dzieci wyzdrowieją – i wyzdrowiały, pomimo że każdego dnia całe karawany z trumienkami prowadziły na cmentarz – skończyła, zamykając ukryte wejście do schowka, w którym obecnie leżały tylko wały zgręplowanej wełny i stała jakaś blachą obita skrzynia podobna do tej, która stoi w pokoju przylegającym do jej sypialni.

W gręplarni zrobiło się cicho. Wały znieruchomiały. Zakurzone mołodyce otrzepywały wełniane kłaczki ze spódnic i ukradkiem pilnowały zwojów sczesanej wełny leżącej na półce. Świekra zostawiła synową w korytarzu, a sama poszła do domu. Dwie baby, czekając na swoją kolej, przyglądały

się Zulenke i rozprawiały. Po chwili jedna powiedziała:

– Nasza Ulejnicha ma młodą gospodynię.

A druga dorzuciła:

– Oj, hore jej, hore żyć razem ze świekruchą. To tak samo piecze, jakby gołymi palcami żar z pieca wygarniać – i śmiejąc się, dodała – świekrucha to hadiucha, a muż to tak ja wuż [mąż to tak jak wąż].

– Oj, Kataryno, nie gadaj, u Żydów tak się nie biją, jak u mużyków. Widziałaś ty kiedy, żeby Żyd swoją babę kijem łoił?

– Widziałam, widziałam, jak Jaszko, co śledziami handluje, swoją Cyrle prał, że aż strzępy z bundy się sypały, a ona wiździała: a richyn daj tate, tate [przekleństwo żydowskie: żeby zły duch wstąpił w twego ojca], a on pięścią walił tak samo, jak mój Kiryło...

– Jojsef ciebie bił nie będzie, prawda Żydóweczko? – zwróciła się do Zulenke jedna z nich, której Zulenke wcale nie znała, gdyż była mieszkanką innej wsi. Zresztą nie wszystkie baby znała z własnej wsi. – Co by to było, jakby taki paskudny zaczął bić... Od ładnego nie żal oberwać, ale od takiego? Co, Żydóweczko, tobie przyszło do głowy za takiego za mąż wychodzić? – powiedziała, wypluwając ślinę z zakurzonych ust.

Zulenke spojrzała obcym wzrokiem na chłopkę. Czuła ogromną niechęć do całego świata, szczególnie do podłej baby, co rozdrapuje jej rany, które bez jej pomocy dostatecznie krwawią.

Ale z drugiej strony była zadowolona, że nawet ta Ukrainka jest po jej stronie i jakby namawiała do buntu. „Gdy stąd odejdę – przeleciało jej przez głowę – będę usprawiedliwiona nawet w oczach tej kobiety czekającej na swoją kolejkę".

– Kataryno, do czucharni! [gręplarnia] – zawołał Jojsef. – Wały czekają.

– Zulenke, chodź do mnie, zobaczysz, jak się puszcza w ruch maszynę – zapraszał jednocześnie swoją żonę.

Zulenke poszła bez sprzeciwu, choć ciążyło jej całe ciało i od śniadania mdliło ją w dołku, jakby na wymioty. Spojrzała przez drzwi na zegar majtający fitakiem, jakby go ktoś gonił.

Godzina już była dwunasta.

„Niedługo będzie wieczór. Jojsef robotę skończy wcześniej, na pewno wcześniej, bo dzisiaj jest jego Symchas Tojre. Och ta noc, ta nieubłagana noc, co nieubłaganie się zbliża, a którą – gdyby była w stanie – oddaliłaby od siebie raz na zawsze" – pomyślała z goryczą.

Kataryna z tą drugą, rozwiązywały toboły z wełną, stukając się głowami, przeszkadzały jedna drugiej, a maszyna czekała.

– Baby cholerne, prędzej! Maszyna stoi, a one się grzebią. Nie wiecie, jedna z drugą, że ja chcę szybko skończyć robotę? Czy wy nie rozumiecie, czortowe nasienie, że ja teraz mam miodowy miesiąc? – krzyczał Jojsef, śmiejąc się od ucha do ucha, że aż się zaślinił.

– Widzę, widzę. Nie chwal się tak, Żydzie – powiedziała Kataryna, niosąc tobół z wełną przed sobą. I uśmiechając się do Jony, spytała:

– Żydok, czym ty zwabił swoją dziewczynę, że za tobą poszła? Żebyś mnie nawet złotem obsypał, to bym cię nie chciała – zarechotała, patrząc na Zulenke.

– Spytaj moją krasawicę. Ona ci powie, jakim sposobem – pogłaskał czule żonę po policzku. – Nie gadaj tyle, Kataryno, tylko rzucaj prędzej wełnę na wały. A ty – zwrócił się do drugiej – za korbę i tak z rozmachem – krzyknął znowu Jojsef, stojąc z drugiej strony gręplarni.

Kobiety zaczęły miarowo pracować. Kataryna rytmicznie rzucała rozstrzępione kłaczki. Ta druga, naprężając mięśnie, kręciła korbą. Zamachowe koło najpierw pomału, a potem coraz szybciej zaczęło się kręcić, aż maszyna zagadała, napełniając maszynownię terkotem, trzaskiem, jak w piekielnym młynie. Ten wielki turkot, do którego Zulenke nie była przyzwyczajona, jeszcze bardziej ją rozdrażnił. Odniosła wrażenie, że stoczyła się do piekielnej jamy, że zaraz diabły poddadzą ją torturom, że najpierw ją rozszarpią, potem wałami zgniotą i rzucą jak zgręplowaną wełnę...

– Chodź do mnie – poprosił ją pieszczotliwym głosem mąż, przeciskając się za plecami pracujących kobiet. – Chodź, pokażę ci, jak się smaruje tryby, żeby się nie zatarły – powiedział, pokazując jej oliwiarkę z długim dzióbkiem. – Być może, że czasem zajdzie potrzeba, że będziesz musiała mnie przy maszynach zastąpić albo może nieraz zdarzyć się, że będę poza domem lub co innego wypadnie i będziesz musiała sama dopilnować, żeby maszyny sprawnie pracowały. Więc musisz wiedzieć, w które otwory wlewa się oliwę.

Odkręcił doświadczonym ruchem śrubkę, otworzył jakąś klapeczkę, wsadził dziobek oliwiarki w okrągły otworek i niebieskawa oliwa zaczęła spływać równomiernie z blaszanego naczynia.

– Gdyby nie ten smar, wszystkie trybiki w maszynach by się rozpaliły do czerwoności – powiedział, przykręcając śrubokrętem śruby zamykające otwory.

„Nie nauczę się tego i nie będę ci pomagała. Nie chcę... Nie chcę i już" – szeptała w duchu z uporem dziecka sama do siebie.

Pod wieczór Jojsef zamknął gręplarnię i resztę maszyn. Wszedł do domu. Codzienna marynarka, w którą był odziany, była zakurzona – aż biała. Strzępki pakuł wisiały wokół rękawów i na czapce. Zabrudzony, z czarnymi ustami od kurzu wyglądał jeszcze szkaradniej. Nim Jojsef zaszedł do kuchni, by się umyć, zajrzał do sypialni, w której spodziewał się ujrzeć swoją żonę, za którą bezustannie tęsknił, choć ją przed dwoma godzinami widział. W swojej sypialni zamiast żony spotkał swoją siostrę Lijke, która przyjechała w gości na kilka dni.

– Zatęskniłam do was – powiedziała, witając się z bratem, do którego była bardzo podobna. – Gdy tylko wstałam, powiedziałam, że dzisiaj – i to natychmiast – pojadę do swojej mamusi. Śniło mi się tej nocy, żeś mnie mamo wołała – zwróciła się do matki, stojącej w drzwiach. – Obudziłam się i nie mogłam odgonić myśli, że na pewno zatęskniłaś za mną, skoro mi się śniłaś, mamo.

– Pewnie, że tęsknię. Nie zawsze, ale są chwile, kiedy bym chciała, żeby wszystkie moje dzieci były przy mnie. Awigdor, Sender, ty, a najbardziej ten, co znajduje się w dalekim świecie, ale jego chyba już nigdy nie zobaczę – rzekła matka ze smutkiem w głosie.

– Czemu? Może kiedyś przyjedzie nas odwiedzić – rzekła Lijke.

– Och, nie – machnęła matka ręką. – Kto do mojej szwagierki Jobki przyjechał? Przecież Nisił, Cyrałe są już tyle lat w Ameryce, a czy im nawet przez głowę przeszło, by się wybrać do kraju, żeby zobaczyć się ze starą matką? Zresztą, co by mieli tu do oglądania? – dokończyła, przyglądając się Lijke.

Zulenke zauważyła, że ostatnio jej świekra jakby poszarzała, jakby schudła czy postarzała. Po prostu oklapła. Nie wybuchała głośnym śmiechem raz po raz, jak to miała w zwyczaju, prawie do południa chodziła w przybrudzonym szlafroku rozmemłana i ledwo się uśmiechała bezzębnymi dziąsłami, sztuczna szczęka od nocy leżała w szklance z wodą.

Obiad jedli prawie o zachodzie słońca, wszyscy razem w jadalni przy dużym stole. Rozpromieniona Lijke siedziała z prawej strony ojca. Z lewej jej matka, za nią Zulenke,

obok niej na samym końcu jej mąż Jojsef. Ojciec Jojsefa Jankuś w jedwabnej wyświeconej kapocie, drobiąc widelcem kurze mięso, zwrócił się do córki:

– Lejnełe, powiedz mi, jak przyszłaś do swego męża, do domu swego teścia, też byłaś obca? Powiedz nam szczerze, jak to było u ciebie od samego początku albo naucz naszą synową, jak trzeba się zachowywać w domu swoich teściów.

Lijke spojrzała z ukosa na Zulenke, potem przeniosła wzrok na brata, który momentalnie spuścił głowę, nie przerywając nabierania pełnych łyżek rosołu. Zulenke drgnęła. „Widocznie już nie są ze mnie zadowoleni". Wlepiła wzrok w talerz z rosołem i milczała.

– Ja, tatusiu, zachowuję się w domu mego męża tak, jak się zachowuje szczęśliwa żona. Ja już nie mogę większego szczęścia nawet wymarzyć. Mój teść jest taki dobry, gdyby mógł to nieba by mi uchylił. Codziennie rano puka do mojej sypialni i pyta mnie zawsze, jak mi się spało. A mój mąż jest taki piękny, że gdy idę z nim na spacer, gdy prowadzi mnie pod rękę, wszystkie kobiety za nami się oglądają. Do tego tak mnie uwielbiają, że aż się dziwię, skąd u nich bierze się tyle miłości. Moje szwagierki nic mi nie każą robić. Nie tylko, że nie każą... Nie pozwalają. Powiadają: „Lejnełe, jesteś jeszcze dzieckiem, musisz jeszcze rosnąć, a nie robić". A sypialnię mam urządzoną, że nawet nigdy o takiej nie śniłam – rozłożyła ręce przed siebie. – Urządzona jestem po wielkomiejsku. Modernie. Wszystkie meble z jasnej kaukaskiej brzozy. Przepych, mówię wam, przepych – zaśmiała się perlistym śmiechem, obejmując całą rodzinę swoimi wodnistymi, aczkolwiek umalowanymi oczami. – Mój Słomka przywozi mi zawsze ładne prezenty z Równego, z Warszawy. Ostatnio przywiózł mi z Łodzi komplet stołowej bielizny tak pięknej, że nie wiem, jak ją na stół położyć i do tego jeszcze piękniejszy serwis obiadowy na dwanaście osób; postawiłam go za szklaną szybą w kredensie i nic nie robię, tylko patrzę na moją piękną zastawę. Więc dlaczego miałabym być obca w ich domu, skoro ten dom jest dla mnie taki dobry? Może nawet sto razy lepszy niż nasz – dodała spoglądając na rodziców. – Zulenke, pamiętasz, ile razy ja nie przychodziłam do kowalowej Mirki, u której zbierały się wszystkie dziewczęta ze wsi na tańce, gdyż jakieś przewinienie w domu? – zaśmiała się przyklejonymi rzęsami. – W domu mego męża nikt mnie nigdy nie zamyka. Na przykład wstałam dzisiaj rano i mówię do swoich: miałabym ochotę pojechać do swojej mamy. Teść od razu: „Czemu nie? Około drugiej Bałagółka będzie wracał do domu, pojedziesz z nim, wystarczy, że tylko pójdę na postój i każę mu podjechać pod nasz dom. Pobędziesz u swoich rodziców ze dwa dni i wrócisz do nas z powrotem". Tylko mój Sioma kręcił nosem i powiedział, że będzie za mną bardzo tęsknił, że wystarczy mi jeden dzień, by z rodziną się nagadać.

– Nasza synowa jest smutna – przerwał potok słów płynących z ust Lejke jej ojciec. – Spodziewałem się, że nasz dom się rozweseli, gdy przyjdzie do nas młoda zdrowa kobieta, czy gospodyni, pomoże nam w pracy, zajmie się gospodarką, wniesie trochę wesołego szczebiotu, wleje trochę życia w nasze stare kości, a ona snuje się po domu, jakby to nie był dom jej męża, a tylko więzienie – mówił, kręcąc w palcach kulki z chleba.

„Żebyś wiedział, że więzienie" – przeleciało Zulenke przez głowę i równocześnie spojrzała na Lijke, która rzeczywiście tak wypiękniała, że mimo woli ukłuła ją igła zazdrości pod same żebra.

– Od was i od Jojsefa zależy, żeby nie była smutna – powiedziała Lijke, zwracając się do brata, który pił łapczywie śliwkowy kompot wprost z wysokiego dzbanka. – Jojsef, czemu jej nie rozweselisz, nie masz czasu czy co? – szturchnęła go w bok, chichocząc. – Jak sam nie potrafisz, przyjedź do nas – zapraszała go, kiwając palcem – poradź się mego męża, on cię nauczy, co masz robić, żeby ją radość rozpierała jak mnie rozpiera – klepała się po wypiętej piersi pod zielonym jedwabiem. – Powiedz mu, Zulenke – zwróciła się do szwagierki – że on nic nie jest warty, skoro nie potrafi cię rozweselić. Pamiętam – pogłaskała pachnącą dłonią szwagierkę po twarzy – że byłaś naj, naj, śpiewałaś, tańczyłaś, słowem – okaz piękności. Ja koło niej, och mój Boże, czupiradło – zarechotała łoskotliwym śmiechem, jak nieraz jej matka. – Widzicie, jaka byłam, a jaka jestem? Z czupiradła przeistoczyłam się w piękną damę. Czy nie tak? – mówiły jej oczy z przyklejonymi rzęsami.

– A czego jej brak? – spytał Jankuś, szturchnąwszy synową wskazującym palcem. – Jeżeli u swojej matki miała marcepany z miodem... Kto jej zabroni tutaj nasmażyć. Sam chętnie zjem, gdy moja synowa nasmaży i poda mi na talerzu. Syme! – zawołał – ty zdaje się masz słój z miodem, daj jej, niech pokaże, jakie frykasy umie przyrządzać – drwił, mrużąc swoje maleńkie, czarne rozbiegane oczy.

– Tate! Już zaczynasz pokazywać swoje mądrości. Kto cię prosi, żebyś wtykał swoje trzy grosze? – rzekł Jojsef, objąwszy żonę ramieniem.

Pomimo niechęci, jaką czuła do swego męża, była mu wdzięczna, że przerwał przemądrzałemu ojcu i nie pozwolił mu w żywe oczy z niej kpić.

„Boże, spełnij moją jedyną prośbę, o którą cię błagam. Pomóż mi wszechmogący Boże, żebym się do swego męża przyzwyczaiła, jak nie do niego, to choć do jego dobroci... Żebym mu mogła odpłacić, jak nie uczuciami, to chociażby odrobiną ludzkości".

Po obiedzie, który się ciągnął prawie do wieczora, powstawali od stołu. Jankuś, wstając, mruczał zatłuszczonymi ustami modlitwę. Dziękował panu Bogu za smaczny obiad, za dobre zdrowie i samopoczucie i przyglądał się swej córce Lijke, tej brzyduli, którą jakby dopiero co spostrzegł i odkrył.

„Zielona jedwabna w nikłe białe kropeczki suknia leżała na niej, jakby przyrosła do jej ciała, nigdzie zmarszczki, ani załamania, ani zbędnej fałdy, istny paryski model i sama Lijke, ta moja biedna niegdyś brzydula, wygląda jak prawdziwa dama z żurnalu. Och, co może zrobić pieniądz – uśmiechnął się do własnych myśli. – Pieniądz cuda czyni, za jego pomocą brzydota pięknieje, głupota mądrzeje. Dziękuję ci, Boże, żeś moje pieniądze podwajał, potrajał. Za moją żonę Symę, za jej miłość, której mi nie szczędziłeś, za twoją dobroć, której mi nie żałowałeś, nawet za teścia Łabunisza, który nauczył swoją córkę pracować i mieć głowę do interesów" – aż westchnął z błogości.

„Tylko to jedno – objął wzrokiem synową, która siedziała sztywna i zamyślona zupełnie bez życia. – Czego jej u nas brak? U swoich rodziców była przecież głodna, kawałka chleba nie miała, ani odrobiny cukru, nawet kartofla. Nie mówiąc już o przyzwoitej sukience na grzbiet. Jedyne, co miała, to swoją urodę... A czy ta jest wieczna? Jeszcze tylko dwa, może trzy lata i po wszystkim.

U nas, chwała Bogu, ma wszystko. Czy jadła kiedyś taki obiad nawet w uroczyste święta? Jestem pewien, że nie. Była pieczona kura, był miód, był złoty rosół, były placuszki z miodem. Dostała duży kawał mięsa kurzego i czego się jeszcze krzywi? Boże mój, spraw, żebym się dowiedział, co dolega tej dzierlatce" – zastanawiał się, wycierając usta chusteczką wyjętą z kieszeni i spoglądał na swoich, czy czasem nie odgadli jego ukrytych myśli. Nie chciał, żeby się domyślano, że

poświęca tyle uwagi synowej, co jest mniej warta niż kłak pakuł spod grępiarni. Lecz jego myśli wciąż się kręciły wokół synowej, która mimo przygnębienia była piękna i wbrew jego woli zajmowała dużo miejsca w jego myślach.

„Muszę porozmawiać z tym moim Jojsefem, z tym durniem. Może on się w łóżku źle sprawia? Aż się żachnął, gdy o tym pomyślał. Zdarzają się przecież takie braki, których za majątek nie kupisz. O tym nie pomyślałem" – ze złością trzepnął połę kapoty i wyszedł z pokoju.

Po obiedzie, już prawie o zachodzie słońca Lijke zwróciła się do Zulenke, żeby poszła z nią na spacer, na świeże powietrze.

– Tak tu duszno – rzuciła Lijke – chodź, Zulenke, przejdziemy się. Może uda mi się wycisnąć z ciebie ten przykry smutek?

„Wątpię – szepnęła w duchu i wróciła myślą do dawnego Jom Kipur, kiedy mała dziobata Lijke przyszła do niej z pudełkiem, w którym leżała lalka ubrana w jedwabne koronki. – A oto stoi przede mną jako bogata mężatka, kochająca i kochana. Szczęśliwa... Ja jednak widzę tamtą Lijke, małą, brzydką z wodnistymi oczami jak serwatka, bez rzęs, bez brwi z twarzą podobną do jastrzębia. Czy stałam się zła? Czy zazdrość mnie oślepia? Świętej pamięci mój tatuś mówił, że największym złem jest zazdrość, przez nią Bóg zniszczył naszą ojczyznę. Za to, że Żydzi sobie zazdraszczali i nawzajem się pożerali".

Lijke poszła do drugiego pokoju, z szafy wyjęła piękny wełniany szal, okryła nim plecy i spojrzała w stare lustro wiszące na ścianie. Z grymaśnym uśmiechem na ustach zwróciła się do swej matki:

– Mame, mogłabyś już to przedpotopowe lustro wyrzucić i na to miejsce powiesić nowe. Już mój mąż się śmiał. Mój Siome powiedział, że to zierkało [lustro], mamusiu, pamięta jeszcze twego pradziadka – zachichotała, malując grubą krechą usta.

– Lijke, twój mąż niech się rządzi w swoim domu, a nie w moim, niech nie zapomni, że pieniądze, za które kupuje swoje modne lustra dostał ode mnie. Gdyby nie moja córeczka i moje dolary, przeglądałby się nie w modernych lustrach, tylko... już nie chcę powiedzieć w jakich – zaśmiała się Lijke matka jadowicie.

– Sza, sza, mame! Nie złość się. Mój Siome ma rację. Jeździ często do Warszawy, do Lwowa czy do Łodzi, zatrzymuje się u bogatych kupców, widzi, jak są umeblowani i chciałby, byśmy im dorównali. Być może trzeba będzie kiedyś ich zaprosić do siebie, i jakbyśmy wyglądali w ich oczach? Nie jak kupcy, z którymi handlują, tylko jak pośledni żebracy, do których nie można mieć zaufania, a nasze interesy, jak również i wasze, wymagają nie tylko zaufania, ale i szyku – wydęła swoje grubo uszminkowane wargi.

Matka Lijke zamilkła. Jankuś wykrzywił z dezaprobatą usta, podrapał się po hiszpańskiej bródce w klin i połknąwszy słowa, które miał ochotę rzucić córce, której według niego całkowicie się w głowie przewróciło, spojrzał na zegar i zaczął go nakręcać, żeby nie słyszeć słów córki, przyszywającej sobie maniery tej miasteczkowej hołoty, która jeszcze nie tak dawno jadła żebraczy chleb, a teraz dzięki jego krwawicy bawią się w wielkomiejskich kupców. „Ciekawy tylko jestem, na jak długo im wystarczy ten wielki Lijke posag" – westchnął, podciągając zardzewiałe łańcuchy z ciężarkami.

– Gdyby to ode mnie zależało – rzuciła Lijke, stojąc w drzwiach – ten stary zegar razem z lustrem też bym na śmietnik wyrzuciła. Ty, tate, jeszcze go nakręcasz. Po co trzymać w domu ten zardzewiały szmelc? Czy nie lepiej by było, żeby wam mój Siome przywiózł z Równego jakiś ładny zegar?





A nie to sczerniałe paskudztwo, co tylko zajmuje miejsce i ściany szpeci.

– Ten zegar, Lijke, przywiózł twój dziadek Łabunisz z Kijowa – wtrąciła się jej matka. – Ten zegar był świadkiem niejednego zdarzenia. I pokąd ja żyję – uderzała się ręką o pierś – pamiątka po moim drogim ojcu będzie wisiała w tym samym miejscu, gdzie teraz wisi. Niech nawet wszędzie dzwonią najpiękniejsze nowomodne zegary, ten stary zostanie na tym samym miejscu, gdzie jest i basta. Ani słowa więcej na ten temat – powiedziała zirytowanym głosem Lijke matka.

– I ty tu, Zulenke, wytrzymasz? – wśród tych przedpotopowych gratów? Nie zazdraszczam ci, Zulenke, przebywania wśród tych staroświeckich kufrów i rozsypujących się szaf, które pamiętają króla Ćwieczka. Musisz ten cały dom przemeblować, a jeśli tego nie zrobisz, przysięgam, że nigdy do tego domu ze swoim mężem nie zajrzę – zwróciła się tym razem do szwagierki.

– Idźcie już wreszcie na ten spacer – odezwał się z głębi pokoju Jojsef. – Lijke, szkoda, że nasza mama obsypała cię dolarami, gdybyś miała tyle posagu, co moja Zulenke, to ten twój Siome uciekłby od ciebie tam, gdzie pieprz rośnie. Moja piękna madame, gdyby nie nasze pieniądze, których najwięcej dostałaś od nas wszystkich, to byś do końca życia mieszkała w tym domu i przeglądałabyś się w tym lustrze i byłabyś nawet zadowolona, bo byś niezupełnie swoją szpetotę widziała.

– Cicho! – krzyknął Jankuś – gdy tylko się zejdą, gryzą się jak te psy – plunął ze złością i wytarł usta chusteczką.

– Jesteśmy tacy podobni do ciebie – odparł, uśmiechając się Jojsef. – Ty, tate, też ze swoimi siostrami się nie głaszczesz. Kiedy byłeś u babci? Rok, dwa, trzy lata temu? Dużo się nimi interesujesz? Czy spytałeś kiedyś swoją matkę, czy ma mąkę na chały? Ha? Czy twój chory brat ma pieniądze na lekarstwa? Słyszałem, że któregoś dnia chciał naszą babcię w ataku furii udusić! – wymawiał Jojsef swemu ojcu ze złością.

Już było zupełnie ciemno, gdy Lijke ze swoją szwagierką wyszły z domu. Lijke wyglądała całkiem spokojnie, choć rozmowa z rodziną przybrała dosyć nieprzyjemny ton.

– W którą strony pójdziemy, w tę czy w tamtą? – spytała Lijke spokojnym głosem.

– Dla mnie wszystko jedno, czy w stronę lasu, czy pola – odrzekła Zulenke.

– No to w takim razie pójdziemy w stronę osadników, bliżej mego domu. Wiesz, Zulenke, aż się dziwię, gdy niektórzy mówią, że tęsknią do swojej rodziny czy rodziców lub za domem, w którym wyrośli. Jeśli ja tęsknię – pogłaskała się po piersiach – to tylko za swoim mężem i za jego domem. A dom moich rodziców już się w ogóle nie liczy. Co ja miałam w tym domu, w którym się urodziłam i dorastałam? Tylko chustki, zapaski, wełna, olej, makuch, kurz, kłaki, śledzie i ciągłe kłótnie, bójki i szarpanina. Moja mama wciąż darła i szarpała, szarpała i darła. Stale tylko interesy i geszefty, i nie zawsze uczciwe. Ja od urodzenia nie znałam, co to jest ciepła matczyna ręka. Co to dziecięca zabawa, choć nie powiem, czasem ktoś ze wspólników, z którymi handlowali, coś mi przywiózł. Pamiętam, dostałam raz piękną lalkę ubraną w koronkową sukienkę, którą nie miałam prawa się bawić, żeby się broń Boże nie zepsuła. Więc zabawka przywieziona mi przez obcego człowieka została mi odebrana i gdzieś schowana, a gdy zaczęłam wrzeszczeć, żeby mi moją lalkę oddali, dostałam pasem takie lanie, że aż cały tyłek mi opuchł. Pamiętam, że tylko raz, w Jom Kipur, kiedy moja mama szła do bożnicy, kazała mi wziąć lalkę i pójść do ciebie. Nie wiem, czy pamiętasz, Zulenke, że przyszłam z lalką do ciebie i nie pozwoliłam ci się do niej

dotknąć. A ty patrzyłaś na nią z zachwytem i z ogromną zazdrością, a mnie z tego powodu aż rozpierało z radości. Czy ty wiesz, Zulenke, że moja mama mnie nigdy nie pocałowała? Że ja nie wiem, co to jest prawdziwy gorący pocałunek matki? Ja znam tylko ten wieczny pośpiech, tę bezustanną gonitwę, która nie ustawała ani rano, ani wieczorem, ani w południe. Trwała wiecznie, a gdy się nie siedziało nad maszyną i nie szyło spódnic i zapasek, biegało się z koszykiem pod pachą na wieś. Nigdy w domu, nigdy przy dzieciach, tylko wciąż poza domem, ciągle jakieś sprawy do załatwienia, aż do północy, a potem obliczanie, ile przybyło pieniędzy i narady, co to jeszcze trzeba zrobić, kogo przechytrzyć, komu wydrzeć, żeby tych pieniędzy było więcej – wyrzucała z siebie Lijke oskarżycielskie słowa bez tchu. – Za to w domu mego męża takiego diabelskiego kołowrotu nie ma – ciągnęła dalej. – Żyją bez pośpiechu, lecz za to uczciwie i oni wszyscy żyją godnie i się bardzo kochają, przez to ich bardzo szanuję i jest mi z nimi bardzo dobrze, a na dowód, że mówię prawdę, spójrz na mnie i zobacz, jak wypiękniałam... No nie?

Zulenke aż przystanęła, tak ją zadziwiła szwagierka i spojrzawszy na nią wnikliwym spojrzeniem. spytała:

– Ty, Lijke, nie godzisz się z tym, co się dzieje w twym domu rodzinnym?

– Sama nie wiem, jaką ci dać odpowiedz – westchnęła Lijke, patrząc zamyślona w dal. – Z jednej strony ich potępiam, gdyż mi się zdaje, że obdarli mnie z dzieciństwa. Z drugiej zaś strony, gdyby nie zgromadzili dla mnie dużego posagu, kto by się ze mną ożenił? – rzekła spokojnie bez odrobiny tej chełpliwości czy dziwacznej roli, którą odgrywała przed rodziną niespełna godzinę temu. – Ponadto, żeby uzbierać tyle pieniędzy, by starczyło wyposażyć wszystkie dzieci, nie zawsze można do nich dojść prostą drogą – uśmiechnęła się krzywo, przeglądając się w lusterku, które wyjęła z jedwabnej zielonej torebki z frędzelkami, co było wówczas szczytem mody. Torebka pasowała do jej zielonej sukienki, którą miała na sobie.

Szły udeptaną ścieżką obok chłopskich chat. W powietrzu unosił się zapach słoniny, którą gospodynie smażyły na kolację.

– Otóż to, Lejke, miałaś pieniądze, czyli ładny posag, wyszłaś za mąż za chłopca, którego bardzo kochasz i jesteś szczęśliwa. Ponieważ ja nie miałam posagu, musiałam się wyrzec miłości, nawet nikłej nadziei, którą po cichu nosiłam w sobie, aż do dnia wyjścia za mąż za twego brata. Powiedz mi, Lijke, kogo ja mam potępiać? Swego tatusia, który nie darł, nie kłamał, tylko żył po bożemu, sadzał mnie na kolanach, opowiadał mi bajki o Jerozolimie, o rzece Sambation, o królach, prorokach i całował moje włosy? Miał biedak tyle dla mnie czasu, że aż mama krzyczała na niego: „Abrum, wolałabym, byś śmierdział wiatrem, a nie dymem".

– Ale mimo wszystko, Zulenke, jesteś ode mnie wiele bogatsza – zaśmiała się Lijke, ściskając ją za rękę. – Ty masz piękną twarz – rzuciła twardo – ona nieprędko się zaćmi... Ty masz błyszczące oczy, własne rzęsy, a nie przyklejone, nie obce, jak również twoje łukowate brwi niepodkreślane ołówkiem, tylko boską ręką. I kiedykolwiek zajrzysz do lustra, widzisz, że jesteś piękna i nie myślisz, że kupili ci męża za duże pieniądze. A mnie często przechodzi przez głowę, że mój Sioma jest kupiony i wtedy miałabym ochotę zajrzeć do jego duszy i przekonać się, czy on naprawdę mnie kocha, czy tylko dobrze gra swoją rolę. Mój brat Jojsef ciebie bardzo kocha i kochał cię jeszcze wtedy, gdy do szkoły chodziłaś. Już wtenczas szalał za tobą po cichu. Ty na pewno nie wiesz, co się u nas działo, kiedy matka się dowiedziała, że





Jojsef ma zamiar ożenić się z tobą, wiedząc, że nie masz nawet grosza posagu. W naszym domu była w owym czasie Sodoma i Gomora. Aż szyby w oknach drżały od tego krzyku, a z garnków tylko skorupy leżały na podłodze, tak fruwały w powietrzu, gdy mama rzucała nimi na upartego syna, który się odważył sam o sobie zadecydować. A Jojsef się uparł i powiadał: „Albo ta, albo żadna, a gdy mi zabronisz, zostawię wam ten cały wasz kram i skoczę z mostu do wody i zostawię wam kartkę, że przez was targnąłem się na swoje życie, że za mało wam było pieniędzy". No i matka się przestraszyła – zaśmiała się Lijke. – Ty chyba, Zulenke, sama wiesz, że bez Jojsefa to tak jak bez prawej ręki. Kto tak będzie tyrał jak on? Kto się nażre byle jakiej papki? Kto by nosił tygodniami niepraną koszulę? Nasz wymuskany Awigdor? Ten nasz ukochany starszy brat lubił czekoladę, jedwabne eleganckie koszulki i żeby dwie złote koronki błyszczały w roześmianych ustach. A ile go kosztowała Fredke? Setki złotych, a to przecież był tylko niewinny flirt, dlatego mama wolała go nie mieć przy sobie. Dała mu kilkaset dolarów na pierwszy start i wyprawiła go do powiatowego miasta, tam go ożeniła i powiedziała: „Niech się o niego jego żona martwi". A najstarszego syna Nachmana pognała aż w dalekie kraje. Najpierw do Paragwaju, następnie on już sam z Paragwaju, gdzie się bardzo źle czuł, wyjechał do Brazylii. Nachman również nie był skory do tyrania, choć nawet był nieco skromniejszy niż Awigdor, ale jednak wolała zostawić Jojsefa na pniu. Bo Jojsef jest mało wymagający, zdrowy jak koń, bardzo posłuszny i pracowity. Będzie robił za trzech, a najważniejsze, że zadowoli się byle jakim ochłapem. Przez to mama z tatusiem uradzili, że Jojsef zostanie na miejscu. Będzie harował, pokąd będą chcieli, a potem, gdy postanowią, że nadszedł czas, by go ożenić, znajdą mu starą zapleśniałą pannę, co będzie miała duży posag. W samych Tryskiniach są chyba ze cztery takie panny, co chętnie by się za Jojsefa wydały. Wyobrażasz sobie, Zulenke, co się u nas działo, gdy Jojsef oświadczył, że będzie tak jak on chce, a nie tak jak oni?

– Nic o tym nie słyszałam – odrzekła Zulenke zdumiona. – Pamiętam doskonale, jeszcze mój tatuś był zdrowy. Jeszcze w naszym domu było wszystko jak trzeba, przyszedł nasz sąsiad Bachniuk i powiedział: „Szykuj się Małko! Niedługo do twej córki przyjdzie najbogatszy Żyd w swaty. Był u mnie wczoraj Jojsef i powiadał, że wkrótce będzie się żenił i ma zamiar wziąć za żonę twoją córkę. Następnie inni przychodzili z różnymi na ten temat wiadomościami, ale nikt nie mówił, że jego rodzice stawiają opór. Och, gdybym wiedziała – zacisnęła dłonie, że aż palce zatrzeszczały i spojrzała na Lijke, podnosząc brwi do góry.

– Co byś, Zulenke, zrobiła? – spytała Lijke, patrząc jej głęboko w oczy.

– Nie wiem – zagryzła mocno wargę, że aż został ślad po zębach. Czuła, że zalewa ją fala niesamowitej złości.

– Ja bym ci radziła, Zulenke, gdybyś tylko chciała mnie posłuchać, żebyś się koniecznie od moich rodziców wyprowadziła. Byle gdzie, nawet do małego mieszkanka, wtedy twoje życie się jakoś ułoży, a tak w tym diabelskim młynie, wśród tych kłaków, oleju i starych przedpotopowych gratów zginiesz. Nawet gdy na głowie staniesz, nie dojdziesz z moją matką do ładu. A Jojsefa będą dotąd kuli, aż go na swoje kopyto nie przekują.

Zulenke, trzymając swoją szwagierkę pod rękę, notowała każde słowo, które wychodziło z jej ust. Nie mogła pojąć, czemu Lijke nie znosi swojej matki. „Dlaczego tak źle się o niej wypowiada? Choć tyle jej zawdzięcza, zrobiła wszystko, by zapewnić jej wszechstronny dobrobyt i szczęście. Błymełe, Mun-

ke, Fradke i każda jedna dziewczyna we wsi i z drugiej, i w całej okolicy powie, że drugiej takiej matki ze świecą się nie znajdzie, co by tak ciężko pracowała, żeby walczyła ze wszystkimi na pięści, byle tylko dzieci porobiły doskonałe partie, czyli weszły w dobre koligacje" – zastanawiała się Zulenke.

– Nie rozumiem, Lijke – odezwała się Zulenke po dłuższym milczeniu. – Powiedz, tylko szczerze. Czemu się boczysz na swoich rodziców? – spytała, spojrzawszy jej głęboko w oczy. – Przyjeżdżasz do nich dosyć często, opowiadasz o swoim doskonałym życiu, o swoim wielkim szczęściu, a mimo wszystko czujesz jakąś podskórną zadrę, która cię niepokoi, a za ten niepokój jakbyś obarczała winą swoją matkę, do której czujesz urazę.

– Owszem, czuję urazę i to bardzo wielką – odrzekła, spuszczając głowę. – A chcesz wiedzieć dlaczego? Dlatego, że kiedy tylko spojrzę do lustra, widzę swoją dziobatą twarz, wtedy ogarnia mnie niesamowita złość i jeszcze większy strach, że moje szczęście nie jest trwałe, że po jakimś czasie mój mąż się ode mnie odwróci, dlatego że jestem szpetna, że skóra na miej twarzy jest chropowata, jest podobna do tartki, na której się trze kartofle – dodała chrapliwym ze wzburzenia głosem.

– No, a powiedz mi, Lijke, jaką winę ponosi za to twoja matka?

– Owszem, ponosi winę i to bardzo wielką – rzuciła Lijke, przystając. – Gdyby wtedy, kiedy tylko zachorowałam na ospę, nie zostawiała mnie samej, a siedziała nad łóżeczkiem jak wiele innych matek i trzymając moje rączki chłodziła moje rany, nie zdrapałabym siódmej skóry z mojej nieszczęsnej twarzy, byłabym taka sama piękna, jak ty... I dla mnie też znalazłby się ktoś, kto by chciał się ze mną ożenić bez posagu lub skoczyć do wody z miłości, lecz moja mama chwali się tym, że nawet wtedy, kiedy jej dzieci ciężko chorowały na ospę i kiedy całymi karawanami wywozili dziecięce trupki na cmentarz, ona myślała tylko o interesach, jak by lepiej zarobić, żeby tylko więcej przybywało pieniędzy. A gdy czasem zajrzała do domu, uciekała do swego tajemniczego schowka i tam odprawiała jakieś tylko sobie znane nabożeństwa, bo, jak później twierdziła, z tego schowka jej modlitwa prędzej docierała do Boga – uśmiechnęła się ironicznie. – A mój mąż powiada, że można było zapobiec, że można było moje rączki zabandażować grubo bandażem i uchronić moją twarz. A tak, zobacz, Zulenke – nachyliła twarz ku szwagierce. – Czy mam ja gładkie, białe czoło jak ty? Czy mam ja długie rzęsy? Nic z tych rzeczy. Ja mam tylko tarczę zegarową na czole i oczy bez rzęs, które są wyłupiaste i wyglądają jak okna bez zasłon – powiedziała Lijke łzawo.

– Nie mów tak, Lijke. Nie grzesz. Wszyscy ci zazdraszczają. Nawet Michel mi niedawno powiedział, że widział cię na spacerze, że tak wypiękniałaś po zamążpójściu, że nie mógł cię wcale poznać.

– To prawda, Zulenke, że wypiękniałam – kiwnęła głową Lije. – A to dlatego, że cała rodzina mego męża, na czele z nim, staje na głowie przed moim wyjściem na spacer, czy do sklepu. Siome, jego siostry, nawet mój teść się do nich przyłącza i nakłada okulary, bierze moją twarz w swoje dłonie i długo się jej przygląda, by broń Boże niczego nie przeoczyć, by mojej szpetoty nikt nie zauważył, by ludzie się nie śmiali, że Siome się sprzedał... Na początku mnie to bawiło. Nawet się cieszyłam, że tyle uwagi poświęcają Lijke, którą własna matka miała za nic, poniewierała, która milczała całe dnie zamknięta w ciemnej komórce bez jedzenia. Lecz później zaczęło mnie to męczyć. Co u licha? Myślałam. Czy nigdy nie będę mogła narzucić płaszcza na ramiona, zajrzeć do lustra lub wyskoczyć na rynek, czy na dół do sklepu po ciastko? Okazało się jednak, że nie, że muszę przejść przez komisję całego domu... Czy rzęsy są dobrze przyklejone, czy tusz na brwiach się nie rozmazuje, czy dostateczna ilość pudru, różu i ta cała reszta kosmetyków jest dobrze nalepiona. A mój mąż, jego siostry, mój teść wciąż mnie musztrują, pouczają, by broń Boże nie zapiekać, broń Boże, Lejkełe, na deszczu. Nie daj Boże dymu od papierosa, bo makijaż się rozmaże. „Wtedy, moje drogie dziecko, będziesz niekorzystnie wyglądała" – mówi teść. „A ludzie na ten temat będą mieli swoje zdanie" – dodaje Siome. „Nam bardzo zależy, byś była bardzo piękna" – dorzucają jego siostry.

Nagle Lijke złapała się za usta i szepnęła z rozpaczliwym grymasem na ustach: – Boję się, Zulenke, strasznie się boję, że gdy przejedzą moje pieniądze, przestaną mnie kochać – rzekła rozżalona, ściskając mocno przegub Zulenke.

Zulenke chciała jej przerwać. Chciała, by skończyła ten uzasadniony, czy nieuzasadniony, żałosny potok słów, który brzmiał jak wielka skarga na wszystkich.

– Nie przerywaj mi, niech skończę – krzyknęła, jakby była w transie. – W moim domu, to jest w domu mego męża – ciągnęła dalej Lijke – u rodziny mego męża jest inaczej niż u moich rodziców. Oni nie liczą się z pieniędzmi. Oni tylko wydają i wydają – machała dłonią. – Oni się wcale nie interesują rachunkami. Oni się nie zbierają przy stole i nie rozmawiają o interesach, jak na przykład u mojej matki. Oni, jak mają jakiś wydatek, idą do kasy i biorą. Wszyscy biorą. Teść, Siome, jego siostry i nikt nikogo nie pyta dlaczego. Potrzebują, więc biorą, a ja na to patrzę i myślę, że moje pieniądze szybko się rozpłyną, a oni znowu wrócą do swojej nędzy. Wówczas Siome się obejrzy, że jestem brzydka, że żeniąc się ze mną, nie zrobił wcale dobrego interesu i na ostatek zechce ten cały interes zamknąć – kończyła rozgoryczona.

– Nie rozumiem cię, Lijke – odezwała się Zulenke ubawiona. – Z jednej strony masz żal do swoich rodziców, że wiecznie gonią za pieniędzmi, a z drugiej masz pretensje do męża, że wcale o nie nie dba – zaśmiała się Zulenke, patrząc na rozzłoszczoną szwagierkę, której w żaden sposób nie mogła zrozumieć.

– Tak, masz rację. Tak to wygląda, ale tylko powierzchownie – rzekła z naciskiem Lijke. – Głęboko w duszy jednak mam swoje uzasadnienie: gdybym była choć w połowie taka ładna jak ty, wcale by mnie nie obchodziło, czy są u mnie pieniądze, czy ich nie ma. Mam swego pięknego Siomę i to by mi w zupełności wystarczyło, lecz skoro jestem, jaka jestem, inaczej myśleć nie mogę, bo wciąż widzę swego męża wzdychającego do innej, a siebie poniewieraną, a w końcu porzuconą. Czy w naszym miasteczku mało takich małżeństw, które trzymają się tylko na włosku? Nie muszę daleko szukać, ot, choćby ten drogerzysta, co mieszka obok mnie. Jawnie kręci romans z właścicielką obuwniczego sklepu i bezwstydnie paraduje z nią w biały dzień na oczach wszystkich. To nic, że ma żonę, że ma dzieci, przecież jego żona jest o niebo ładniejsza ode mnie, a jednak...

– Pozwól mi, Lijke, powiedzieć ci parę słów do rozsądku, żebyś się nie martwiła na zapas, a następnie cię poprosić, byś się nie obraziła, gdyż mam ochotę ci powiedzieć parę słów prawdy, które przyszły mi do głowy w czasie twoich nieuzasadnionych skarg. Bo mi się zdaje, że tkwi w tobie ta sama natura, co u twojej matki, choć ty o tym nie wiesz, ale podświadomie myślisz tak samo, jak twoja mamusia. Od urodzenia żyłaś w waszym

domowym mętliku i zrosłaś się z nim tak mocno, że stał się zupełnie niezauważalny... Właśnie ten twój domowy mętlik nie daje ci spokoju. To on nasuwa ci te niespokojne myśli, bo nie możesz obejść się bez tej domowej pogoni, bez liczenia pieniędzy, bez pośpiechu, który w waszym domu był nieodłączny.

Lijke, milcząc, wyciągnęła rękę spod ramienia szwagierki, pogładziła palcem podkreślone tuszem brwi i nie odzywając się słowem, szła, marszcząc tylko czoło, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała. Zajęte swoimi myślami, doszły prawie do ogrodu wiejskiego batiuszki. Zulenke zatrzymała się, wdychając zapach maciejki, który wieczorną porą intensywnie drażnił nozdrza i przyglądała się innym kwiatom o różnych odcieniach, kołyszących się za podmuchem wiatru.

Zulenke, zachwycając się pięknem roztaczającym się wokół oświetlonego domu, przystanęła. Zapomniała na chwilę, że obok stoi jej szwagierka Lijke. Zdawało jej się, że biegnie ze szkoły i zatrzymuje się na tym samym miejscu i przygląda się rozszerzonymi oczami, licząc różnokolorowe róże, astry, puszyste dalie w niezliczonych odcieniach, kwiaty ciężko zwisające złotymi serduszkami do dołu.

„Od tego czasu minęło sporo lat. Wiele się zmieniło, tylko ten oświetlony jaskrawym światłem dom batiuszki i ten ogród pozostały takie same, jakby nikt nie ruszył ani jednego krzaczka, ani nikt nie zmienił rabatek. Obrzeżone cegłą, pomalowane białą kredą koła, serca, kwadraty leżą w tej samej kolejności. Nawet mój zachwyt pozostał niezmieniony, jest taki sam...".

Dopiero w drodze powrotnej, gdy już odeszły kawałek drogi, Zulenke nadmieniła o swoich uczuciach.

– Chciałabym – powiedziała, przyciągając szwagierkę do siebie – nie być tak kochana przez twego brata. Chciałabym mieć spokój – rzekła wpatrzona w dal, zamyślona. – Cóż z tego, że mnie nie martwi moja przyszłość, skoro mnie niepokoi dzisiejszy wieczór, skoro ja myślę, jak się wyślizgnąć z jego ramion, jak się uwolnić z jego ust. Jak mu wytłumaczyć, żeby on pojął, że nasze małżeństwo jest tylko głupią formalnością, że nie jesteśmy dopasowani do siebie – wyrzuciła jednym tchem gorzkie słowa z ust, oddychając szybko, jakby się zmęczyła.

– To tak to wygląda – przerwała jej Lijke, cedząc słowa przeciągle i zachichotała nerwowo, że aż się pochyliła. – Och, jak moja matka dowie się o tym – kręciła głową, chichocząc – walnie głową o ścianę. Och, trzymajcie mnie, bo zaraz zemdleję. Cha, cha, cha, zaraz zemdleję ze śmiechu, bo już widzę, jak rondle się tłuką, tylko jeszcze nie wiem, na czyjej głowie, ani kto pierwszy oberwie. Czy Jojsef? Czy ojciec? Czy ty, Zulenke? Lecz jestem pewna, że najwięcej oberwie mój bogaty, biedny i bardzo głupi brat, że się odważył i zrobił coś wbrew Łabunisza córce i ten jego czyn okazał się mniej warty niż funt kłaków. Cha, cha, cha, aż mnie kolki spierają ze śmiechu, gdy pomyślę, co się będzie działo, gdy Łabunisza córka się przekona, że ktoś nie kocha jej kadysza i w dodatku ma czelność do tego się przyznać – dokończyła ostrym głosem, nie przestając się śmiać.

W jej śmiechu już nie było wesołości ani ironii, tylko gniew, lecz nie na matkę, ale na Zulenke, która ośmielała się tak źle traktować jej brata i bez żenady wypowiadać głośno, że ich małżeństwo jest tylko głupią formalnością. Zulenke, patrząc na chichoczącą Lijke, poczuła jakiś lęk i bliska płaczu powiedziała:

– Lijke, otworzyłaś przede mną swe serce, pożaliłaś, powierzyłaś mi swoje rozterki. Powiedziałaś mi bardzo dużo o swoim nieszczególnym życiu... Chciałam cię uspokoić, pocieszyć, powiedzieć ci, że być przez kogoś gorąco kochaną i nie być w stanie taką samą miłością się odwzajemnić jest jeszcze czymś gorszym niż... niż... – nie dokończyła, patrząc na szwagierkę, która okryła się nagle szkarłatem i stała się bardzo podobna do swojej matki z tamtych lat, kiedy zamaszystym krokiem chodziła po wsi w zgrzebnej dawno niepranej koszuli.

– Radzę ci, Zulenke – odezwała się Lijke rozdrażnionym głosem – więcej takich rad mi nie udzielać. Jojsef jest moim bratem i musisz wiedzieć, że jego los nie jest mi obojętny. Nie mogę się z tym pogodzić – kręciła głową, patrząc na Zulenke bezbarwnymi oczami, w których czaiła się złość, czy nagle powstała wrogość, której Lijke już nie była w stanie ukryć. – Nie mogę się z tym pogodzić – powtórzyła, nie zdejmując wzroku ze szwagierki, która szła ociężałym krokiem obok niej, jakby raptem zasłabła – by mój brat kładł się do łóżka z nieżyczliwą, a może nawet wrogą mu kobietą.

– Lijke, nie jestem mu wrogiem – krzyknęła Zulenke z zapałem. – Chciałabym bardzo, żeby Jojsef był szczęśliwy. Zwracam się codziennie do Boga z gorącą modlitwą i proszę go, jak tylko potrafię, by mi pomógł pokonać moją niechęć, żeby jego pieszczoty przestały odrażać. Gdyż ja bardzo cenię jego szlachetną miłość. Jestem pewna, że on nie pozwoli, by mała drobinka kurzu spadła na moje stopy, tylko że nasz dobry Bóg nie chce mnie wysłuchać, przez to jestem nieszczęśliwa, a ty, Lijke, mówisz, że jestem mu nieżyczliwa. Jak nawet takie słowo może ci przejść przez głowę, że jestem wrogo ustosunkowana do twego brata? Ja tylko nie chcę być zakłamana. Nie chcę ani udawać, ani tylko brać i w zamian nic nie dawać. Ja chcę kochać i być kochana, a moje nieszczęście polega na tym, że jestem tylko kochana – powiedziała, wycierając łzy, których już nie mogła ukryć.

Po tej rozmowie, mającej je bardzo do siebie zbliżyć, pozostał tylko wielki niesmak i jakby wzajemna niechęć, której obie nawet nie starały się ukryć.

W powrotnej drodze już nawet nie szły pod rękę, tylko nieco oddalone od siebie. Lijke szła dosyć szybko, nie odzywając się do Zulenke, wyraźnie gniewna czy obrażona. Jej twarz na skutek gniewu stała się ponura, zwłaszcza że jej murzyńskie usta z grubą warstwą krwistoczerwonej pomadki jeszcze tę ponurość potęgowały.

„Po co ci się zwierzałam?" – myśli Zulenke, ciągnąc nogi, które raptem straciły swą giętkość. „Co teraz będzie?" – zastanawia się, a wyobraźnią widzi drapieżną twarz świekry i niemal czuje trzask rozbitych garnków na swej głowie i słyszy krzyk: „Uwolnij mego syna, ty łajdaczko! Patrzcie ludzie, kogo wzięłam do swego domu? Oto siedzi wróg przy moim stole i żre mój ciężko zapracowany chleb i jeszcze gardzi moim synem, moją krwią, wnukiem wielkiego Łabunisza".

Na szczęście do tego nie doszło. Widocznie Lijke postanowiła tę sprawę poruszyć w innym, czy w odpowiedniejszym czasie. Może nie chciała tak od razu robić awantury. Zresztą Zulenke w ogóle nie mogła pojąć, jaka w rzeczywistości jest Lijke. W przeciągu tylko jednego dnia zdążyła się przekonać, że Lijke składa się z kilku odrębnych postaci: Lijke zarozumiałej, chwalącej się swoim szczęściem, Lijke wrogo nastawionej do wszystkiego, co ma jakiś związek z jej rodzinnym domem, Lijke nieszczęśliwej, niepewnej jutra, drżącej ze strachu o miłość swego męża, którego uwielbia, Lijke rozsądnej, analizującej problem pieniądza połowicznie rozwiązujący problemy życiowe, i wreszcie Lijke godnej gałęzi z Łabuniszew-

skiego korzenia, tkwiącej całą duszą w tej glebie, z której wyrosła.

Tego wieczoru już nic więcej się nie działo. Zjedli kolację, a przy herbacie była tylko rozmowa na temat listu od Nachmana, który nadszedł z Brazylii. Nachman pisał, że kupił sobie motocykl i często objeżdża na nim swoich znajomych. Ostatnio był u Szmulika w gościach, że Szmulik się ożenił i za posag żony założył sklep obuwniczy, że w Brazylii jakoś by się żyło, gdyby nie te upały, co są bardzo dokuczliwe, zwłaszcza dla tych, co się urodzili na wschodzie i pamiętają te nasze śniegi i mrozy. „A tu jestem zmuszony chodzić prawie nagi". Na ostatek: „Czy Lijke dostała tę paczkę, co została wysłana przez jego żonę na ślubny upominek?".

Jojsef, siedząc przy stole, cały czas zaglądał przez ramię do listu, który Jankuś trzymał w palcach i szukał jakiejś wzmianki, czy są pozdrowienia dla niego, ale widocznie nic nie zauważył, bo by się pochwalił, że brat Nachman nas pozdrawia i życzy nam mazł tow...

Dopiero jak byli w swoim pokoju, Jojsef powiedział:

– Myślę, że wkrótce dostaniemy oddzielny list i parę dolarów w prezencie, chyba mu mamusia napisała, że się z tobą ożeniłem. Ciekawy jestem, czy Nachman cię pamięta? Sądzę, że nie, bo byłaś jeszcze bardzo mała, kiedy on wyjechał. Jestem pewny, że z pięćdziesiąt dolarów wkrótce dostanę – zatarł ręce, parskając śmiechem.

– Ja też jestem pewna – kiwnęła Zulenke głową. – Z pieniędzmi to tak jak z pluskwami, jak się zagnieżdżą, mnożą się bez przerwy, nawet spod ziemi, więc dlaczego mają nie przypłynąć zza oceanu. To tylko u mojego tatusia nie chciały tak sobie w żaden sposób założyć gniazda. Co by nie robił, jak się o to nie modlił, Pan Bóg nie stwarzał im sprzyjających warunków. Ginęły w zarodku...



# Słowniczek

**a am orec** (jid.; hebr. am ha-arec) – ignorant, nieuk, analfabeta
**a richyn daj tate** (jid.) – właściwie „a ruech in dajn tate", przekleństwo żydowskie: żeby zły duch wstąpił w twego ojca, odpowiednik polskiego „żeby szlag trafił..."
**Adonai** (hebr.) – Pan, Bóg
**archyrej** (ros.) – właściwie arhijerej, biskup w kościele prawosławnym
**baczyty** (ukr.) – widzieć
**bałaguła** (hebr.) – woźnica
**batko** (ukr.) – ojciec
**Boh** (ukr.) – Bóg
**cheder** (hebr.) – dosł. pokój; tu: dawna elementarna żydowska szkoła religijna, w której dzieci uczyły się modlitw i Biblii
**choziajstwo** (ros.) – gospodarstwo
**cymes** (jid.) – słodki deser z marchwi i suszonych owoców, używane także w znaczeniu czegoś wyjątkowego
**czteronulowa mąka** – mąka najwyższej jakości
**czucharnia** (biał.) – gręplarnia
**di maszymejdeste** (jid.) – prawdopodobnie zniekształcona żeńska forma od słowa meszumed – wychrzta, apostata, także łajdak
**diadina** (ukr.) – ciotka, także forma zwracania się do kobiety
**diaku tobi** (ukr.) – właściwie „diakuju tobi", dzięki ci
**dobry deń** (ukr.) – właściwie „dobryj deń", dzień dobry
**gewałt** (jid.) – odpowiednik polskiego „gwałtu, rety", „biada", okrzyk, wołanie o pomoc
**giłgul** (hebr.) – właściwie „gilgul" (wędrówka dusz, metempsychoza), tu: w znaczeniu dybuka, duszy grzesznego nieboszczyka wstępującej w ciało żyjącego człowieka
**Goteniu** (jid.) – dosł. „Boziu"; zwrot do Boga (Got) w formie zdrobniałej
**hadiuka** (ukr.) – żmija
**hore** (ukr.) – biada
**Jabłoczko kuda ty kotysia** (ros.) – właściwie *„Ech, jabłoczko, kuda ty kotiszsia"*, piosenka oraz taniec rosyjskich marynarzy, rozpowszechniła się po rewolucji październikowej
**jak raz** (ukr.) – właśnie, akurat
**jiches** (hebr.) – rodowód, dobre pochodzenie
**Jom Kipu**r (hebr.) – dzień pojednania, jedno z najważniejszych świąt w kalendarzu żydowskim
**kadisz** (hebr.) – powszechna modlitwa codzienna, ale zazwyczaj modlitwa za zmarłych
**kimbałka** – tradycyjne dla Polesia nakrycie głowy mężatki
**krom** (ukr.) – właściwie „krim", oprócz
**kryszme** (hebr.) – Krijat Szema – wyznanie wiary, modlitwa odmawiana przynajmniej raz dziennie
**lentaj** (ros.) – właściwie „lentiaj", leń
**mazł tow** (hebr.) – dosł. „dobry los"; słowa wyrażające życzenia i gratulacje z okazji radosnego wydarzenia

**mechuteneste** (hebr.) – matka panny młodej w stosunku do rodziców pana młodego
**mełamed** (hebr.) – nauczyciel w chederze
**miaśnica** (ukr.) – okres po poście, kiedy wolno jeść mięso, ale również brać ślub
**mużyk** (ros.) – chłop, wieśniak
**mykwa** (hebr.) – łaźnia przeznaczona do kąpieli rytualnych
**opołonka** (ukr.) – przerębla
**Pesach** (hebr.) – dosł. „pominąć", najważniejsze i najstarsze święto żydowskie obchodzone na pamiątkę wyjścia Izraelitów z niewoli egipskiej
**Purim** (hebr.) – dosł. „losy", święto upamiętniające ocalenie Żydów przed zagładą szykowaną im ze strony Hamana, biblijnego dostojnika perskiego.
**radno** (ukr.) – grube prześcieradło lub koc
**reb** (hebr.) – tytuł grzecznościowy, podkreślający uczoność mężczyzny, używany przed imieniem, nie przed nazwiskiem; może służyć także jako odpowiednik polskiego „pan"
**semie** (ros.) – nasiona, najczęściej konopi
**sopernica** (ros.) – rywalka
**spirt** (ros.) – spirytus
**Symchas Tojre** (hebr.) – radosne święto związane z zakończeniem rocznego cyklu czytania Tory
**szabas** – też: szabat, szabes (hebr.) – siódmy dzień tygodnia, dzień odpoczynku trwający od piątkowego do sobotniego zachodu słońca
**szadchen** (hebr.) – swat
**szejgec** (jid.) – pejoratywne określenie młodego nie-Żyda; łobuz
**szojchet** (jid.) – rzezak dokonujący rytualnego uboju zwierząt
**świekrucha, świekra** (ukr.) – matka męża
**świekrucha to hadiucha, a muż to tak jak wuż** (ukr.) – teściowa to żmija, a mąż to jak wąż
**Tateniu** (jid.) – tatusiu, zdrobnienie od tate (ojciec); tu w odniesieiu do Boga
**wajber** (jid.) – kobiety
**wiżdżać** (ros.) – wrzeszczeć
**zadnica** (ros.) – dupa
**zazula** (ukr.) – właściwie „zozula", kukułka
**ziemlanka** (ros.) – ziemianka
**zierkało** (ros.) – lustro
**żuć żwaczkę** (ukr.) – przeżuwać (o krowie i innych przeżuwaczach)





# Archiwum Zofii Grzesiak

Archiwum Zofii Grzesiak obejmuje kilkanaście tysięcy stron rękopisów i maszynopisów, w tym m.in. siedem powieści (tylko jedna została opublikowana), kilkanaście opowiadań, pamiętniki, dzienniki oraz korespondencję.

## Powieści

### *Marynia*

Rękopisy:
12 zeszytów w formacie A4, każdy po ok. 200 stron.

### *Mitia*

Rękopisy:
7 zeszytów w formacie A4, każdy po ok. 200 stron.

### *Pajka*

Rękopisy:
*Pajka*, tom I: 11 zeszytów w formacie A4, każdy po ok. 200 stron.
*Pajka*, tom II: 8 zeszytów w formacie A4, każdy po ok. 200 stron.
*Pajka*. *Córka Pajki*: 3 zeszyty A4, każdy po ok. 200 stron.
Maszynopisy:
*Pajka*: 12 stron maszynopisu (4 egzemplarze).
*Abrum Ślimazł*: fragment powieści *Pajka*, 6 stron maszynopisu.
*Paschalne dzwony*: fragment powieści *Pajka*, 6 stron maszynopisu (2 egzemplarze).
*Pajki*: fragment powieści bez tytułu, 14 stron maszynopisu.
*Pajka. Córka Pajki.* Narodziny Pajki: fragment powieści, 4 strony maszynopisu (2 egzemplarze).
*Pajka. Córka Pajki*: maszynopis (kopia) z naniesioną korektą, strony 225–480.
*Pajka. Córka Pajki*: maszynopis (kopia) z naniesioną korektą, strony 481–701.
*Pajka. Córka Pajki*: maszynopis (oryginał), strony 684–699, 700–788.
*Pajka. Córka Pajki*: maszynopis (oryginał) z naniesioną korektą, strony 208–442.
*Pajka. Córka Pajki*: maszynopis, teczka z notatkami i fragmentami powieści, opisana przez Autorkę jako dot. oryginału.
*Pajka. Córka Pajki*: maszynopis, strony 708–798.
Materiał bez tytułu, będący częścią *Pajki* lub *Córki Pajki*: 220 stron maszynopisu.

### *Między Horyniem a Słuczą*

Maszynopisy:
T. II: strony 1–890.
Fragment powieści, strony 149–224.
*Szpajchet*: fragment powieści, strony 1–31.

Fragment powieści bez tytułu, strony 1–17 z naniesioną korektą.
*Powrót z obozu*: nieopublikowany fragment powieści.

### *Przekleństwo posagu*
Maszynopisy:
Tom II: strony 1–304 (3 egzemplarze).
Tom II z częściowo naniesioną korektą.

### *Wyspa nad Horyniem*
Maszynopisy:
Tom I: strony 1–674.
Tom I: strony 1–211 z naniesioną korektą.
Tom I: strony 1–674, kopia maszynopisu z naniesioną korektą.
Fragment powieści, 50 stron bez tytułu.
[Powieść bez tytułu opisana jako „Historia cioci Judki"]
Rękopis: 7 zeszytów w formacie A4, każdy po ok. 200 stron.

## Opowiadania

### *Abrum Ślimazł*
Maszynopis:
strony 1–5.

### *Bajdolina*
Maszynopisy:
strony 1–34
strony 1–8.

### *Fańcie*
Maszynopisy:
strony 1–6 stron (2 egzemplarze).
strony 1–6 stron z naniesioną korektą, opatrzone podpisem Autorki.

### *Gitla*
Rękopis:
strony 1–18.

### *Mętna woda*
Maszynopis:
strony 1–7 (2 egzemplarze).
strony 1–6.





### *Spotkanie z rabinem*
Maszynopis:
strony 1–8 stron (2 egzemplarze).

### *Stan małżeński*
Maszynopis:
strony 1–7 (2 egzemplarze).

### *Sześć córek*
Maszynopisy:
strony 35–49 (2 egzemplarze).
strony 1–15.
strony 1–4.

### *W leśnej ziemlance*
Maszynopisy:
strony 1–13.
strony 1–14.
strony 1–16.

### *Zulenke*
Maszynopis:
strony 1–12, angielski przekład Krzysztofa Garbowskiego; na ostatniej stronie nota biograficzna.

### [Opowiadanie bez tytułu]
Maszynopis:
strony 1–12.

## Zapiski osobiste

### Pamiętniki
Rękopisy:
3 zeszyty w formacie A4, każdy po ok. 200 stron (słabo czytelne, bez możliwości określenia dokładnej daty, zawierają również m.in. opis dzieciństwa Autorki pióra Tadeusza Grzesiaka).

### Dziennik
Rękopisy:
15 zeszytów w formacie A4, każdy po ok. 200 stron; poszczególne zeszyty obejmują okresy: grudzień 1964, 1972, 1973–1974, 1974, 1974, 1974, 1975–1976, 1976–1977, 1977–1988, 1979–1980, 1980–1981, 1981–1982, 1983, 1984, 1985–1986.

# Bibliografia


## Powieść:

*Między Horyniem a Słuczą*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1992. Z wstępem A.Z. Makowieckiego pt. *Gdzie ten Horyń, gdzie ta Słucz...* (s. 5–8). Książka ukazała się pod nazwiskiem Zofia Grzesiakowa i jest dedykowana mężowi Tadeuszowi.

## Teksty opublikowane w czasopismach:

*Dzwony paschalne*, „Akcent" 1990, nr 1/2, s. 117–121.
*Małka*, „Akcent" 1987, nr 3, s. 7–12.
*Mętna woda*, „Akcent" 1990, nr 1/2, s. 121–126. Z posłowiem M. Adamczyk-Garbowskiej (s. 126–7).
*Pajka*, „Akcent" 1986, nr 2, s. 14–22.
*Pajka* (fragment powieści), „Akcent" 1996, nr 1, s. 51–61.
*...nie pozwolił mi skonać ze strachu*, „Kamena" 1991, nr 3/4, s. 31–34.
*Stan małżeński*, „Więź" 1983, nr 4, s. 40–44.
*Sześć córek*, „Fołks-Sztyme" 1990, nr 13, s. 8–9 i nr 14, s. 8.
*Ten umarł, ta zwariowała, tamtego zabili w więzieniu* (fragment powieści *Przekleństwo posagu*), „Kamena" 1990, nr 1, s. 17–22.

## Przekłady na język angielski:

*Marriage*, przeł. C. Garbowski, „KFARI: The Jewish Newsmagazine of rural New England and Québec" 1990, nr 6, s. 4, 14–15. Przekład jest poprzedzony krótką notą biograficzną.
*Marriage*, przeł. C. Garbowski, [w:] *Contemporary Jewish Writing in Poland. An Anthology*, red. A. Polonsky i M. Adamczyk-Garbowska, University of Nebraska Press, Lincoln & London, 2001, s. 145–151. Przekład jest poprzedzony notą biograficzną (s. 143–4).

## Omówienia twórczości, teksty biograficzne i inne:

M. Adamczyk-Garbowska, *Pożegnanie. Zofia Grzesiak (1 września 1914 – 1 sierpnia 2004)*, „Gazeta Wyborcza. Lublin", 4 sierpnia 2004, s. 6.
D. Niewiadomski, *Życie przed życiem Zofii Grzesiakowej*, „Kamena" 1992, nr 3/4, s. 58.
M. Niezabitowska, *Przymiarka do tematu*, „Więź" 294 (1983) 4, s. 28–39.
M. Niezabitowska i T. Tomaszewski, *Ostatni. Współcześni Żydzi polscy*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1993.
M. Niezabitowska i T. Tomaszewski, *Remnants. The Last Jews of Poland*, przeł. William Brand i Hanna Dobosiewicz, Friendly Press, New York 1986.
M. Niezabitowska i T. Tomaszewski, *Die letzten Juden in Polen*, Edition Stemmle, Schaffhausen 1987.
Z. Skrok, *Żydowsko-polska tragedia na Wschodzie*, „Nowe Książki" 1992, nr 6, s. 21.
K. Śliwonik, *Radość czytania*, „Słowo Powszechne" 1992, nr 153, s. 7.
T.J. Żółciński, *Biografia wpisana w historię*, „Słowo Żydowskie" [Dos Jidisze Wort] 1992, nr 10, s. 13.
L. Żuliński, *W dorzeczu Prypeci*, „Literatura" 1992, nr 7, s. 57.

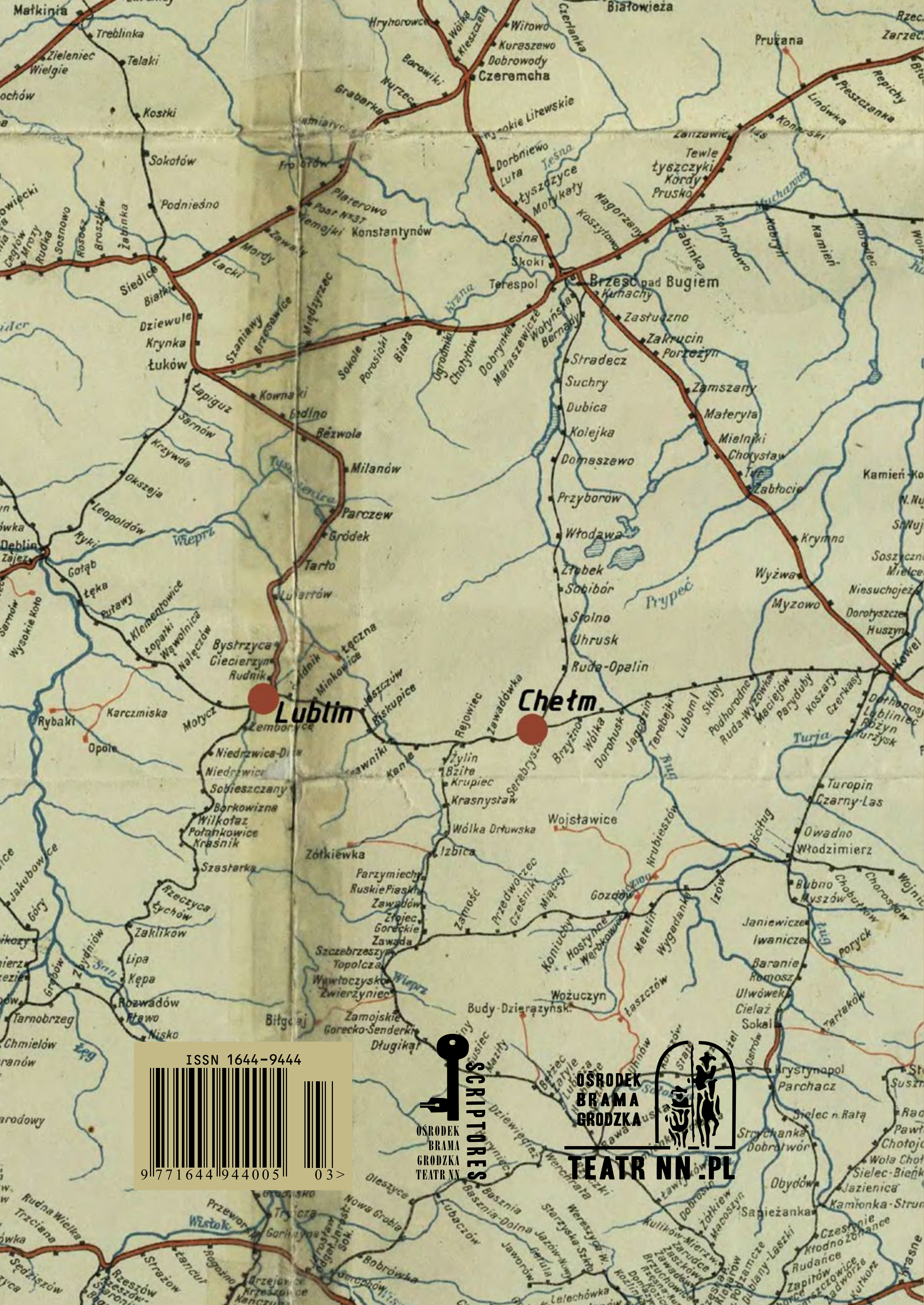


ISSN 1644-9444
9 771644 944005 03>

SCRIPTORES
Ośrodek Brama Grodzka Teatr NN

Ośrodek Brama Grodzka
TEATR NN.PL